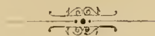


HISTORYA LWOWA



Dr. Fryderyk Papée



HISTORYA MIASTA LWOWA

W ZARYSIE

Z 24 ILLUSTRACYAMI



LWÓW
NAKŁADEM GMINY KRÓL. STOŁ. MIASTA LWOWA
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1894

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Juliusza Birkenmaiera

SŁOWO WSTĘPNE.

Pielęgnowanie dziejów miejscowych ożywia nietylko przywiązanie do rodzinnego gniazda, ale jest także potężną podnietą dla uczucia miłości ojczyzny. A jeżeli gdziekolwiek powinno się nie zapominać o tej prawdzie, to przedewszystkiem w naszem mieście, w którem jeszcze dotychczas tak silnie daje się odczuć brak tradycyi, i w którem dopiero w ostatnich latach poczęto się raźniej krzątać około jej wskrzeszenia.

Rada miejska, idąc w tym względzie chwalebnym torem przodków, popiera usilnie podjęte w tym kierunku usiłowania. Pragnie owszem, aby znajomość sławnej przeszłości naszego grodu kształciła i zagrzewała nietylko serca małej garstki badaczy, ale jak najszerszych warstw naszego miasta. W tej myśli przyjęła z radością i uchwaliła jednomyślnie (18 września 1890) przedłożony jej przez Sekcyę V wniosek przewodniczącego tej Sekcyi prof. Dr. Bronisława Radziszewskiego, aby wydano nakładem miasta treściwy rys historyi Lwowa, któryby mógł się znaleść

w ręku każdego oświeconego obywatela naszego grodu, a w szkołach miejskich posłużyć mógł jako podręcznik dla nauczycieli i jako upominek szkolny dla dojrzalszych uczniów.

Wybrana na ten cel komisya, w której skład weszli prócz wnioskodawcy jeszcze z grona Rady miejskiej pp. Dr. Antoni Małecki, Ludwik Dziedzicki, Dr. Gustaw Roszkowski i ś. p. Dr. Aleksander Ogonowski, a z poza grona pp. Władysław Łoziński i Dr. Aleksander Semkowicz, wezwała podpisanego do wypracowania tego rysu historycznego. Autor postawił sobie w przyjętym przez powyższą komisyę programie jako zadanie: dać przystępny wykład historyi Lwowa na podstawie wydanych dotychczas źródeł i opracowań, z wyłączeniem jednak studyów archiwalnych. Jeżeli mu się powiodło to zadanie wypełnić, to zawdzięcza to w znacznej części cennym wskazówkom wymienionych panów, którym tutaj złożyć najgoretsze podziękowanie uważa sobie za obowiązek.

Lwów, 12 stycznia 1894.

Dr. Fryderyk Papée.

CZĘŚĆ I.

LWÓW STARODAWNY.

(1250—1527).

1.

KRAJOBRAZ LWOWSKI.

rzez całą wschodnią Europę, od gór uralskich aż do niemieckiej ziemi Lüneburgu, przechodzi na wskos jedna wielka, tu i ówdzie tylko rzekami poprzerzynana, wyżyna, na której także nasz Lwów jest położony. Wyżyna ta od obu kresów swoich nosi nazwę uralsko-lüneburskiej, a porównaną być może do jakiejś olbrzymich rozmiarów ławicy. Jest bowiem przy tej nadzwyczajnej długości zaledwie kilkanaście mil szeroką. W naszych stronach na południu sięga do Dniestru, a na północy koło Żółkwi suchem brzegowiskiem ku nizinie opada*.

Lwów leży prawie na samym środku wyżyny, lecz nie zajmuje jej najwyższego punktu. Najwyższy punkt znajduje się w Królestwie polskiem, w ziemi sandomierskiej, a jest nim

* Geologia, czyli nauka o ziemi, przypuszcza, że po opadnięciu pierwotnych wód, które w najdawniejszych czasach pokrywały naszą okolicę, a których śladem są skamieniałe zęby rekinów (ludojadów), muszle i inne szczątki stworzeń morskich, znajdowane w naszych piaskach, nastąpił okres bardzo zimny, czyli t. z. epoka lodowa. O niej znowu świadczyć mają kości mamuta i innych zwierząt strefy zimnej (wykopywane głównie w pokładach gliny), które oglądać można w muzeum Dzieduszyckich. Otóż w epoce lodowej, przed tysiącami lat, zesuwały się, zdaniem geologów, z podbiegunowej północy olbrzymie lodniki aż w pobliże naszych okolic — i one to wypłukały owe suche brzegowisko, oznaczające dzisiaj północną granicę naszej wyżyny.

Łysa góra ze sławnym klasztorem świętokrzyskim, wzniesiona ponad powierzchnię morza 611 metrów. Nasz Wysoki Zamek liczy ich tylko 400, ale początek niziny oznaczamy dopiero poniżej 150ciu. Ma więc i tak Lwów dość wyniosłe ponad niziną położenie, a widok z Wysokiego Zamku należy do bardzo rozległych. W pogodne dni wrześniowe, kiedy powietrze szczególnie jest przejrzystem, rysują się z kopca, hen za doliną Dniestru, rąbki Karpat, odległych od nas o mil piętnaście! Kiedy niedawno temu gorzało miasto Stryj, dostrzedz było można z zamkowej góry w nocy lekką jasność od łuny dalekiej; nawet pożar Stanisławowa zabarwił u nas przed laty brzeg widnokręgu. Najstarsza zaś o Lwowie wzmianka (w kronice wołyńskiej) powiada, że widziano stąd w r. 1259 odblask płonącego Chełma, który jest jeszcze dalej od nas położony niż Stanisławów. Tak szerokim jest widnokrąg Lwowa!

Za ten widok rozległy przyszło nam brakiem rzeki zapłacić. Wiadomo, że rzeki są największemi w nizinach: w górach i na wyżynach właśnie dopiero powstają. Góry i wyżyny podobne są w tym względzie do dachów, na których się woda nie zbierze, tylko na prawo i lewo w dół ścieka. A tak wierzchami idzie zawsze granica, która rozdziela od siebie wody na jedną i na drugą stronę płynące, t. j. wierzchy tworzą dział wód. Lwów właśnie leży na takim dziale. Dział wodny rozgraniczać może potoki do tej samej rzeki wpadające, albo też wody płynące do różnych rzek, ba nawet do mórz odmiennych. Wtenczas mamy przed sobą dział wód wielki, i na takim wielkim dziale wód, na dziale europejskiego znaczenia, jest nasze miasto położone. Wszystkie wody, które spływają na tę stronę naszej wyżyny, którą przed sobą ze Zamku widzimy, dążą do Bugu, Bugiem do Wisły a Wisłą do morza Bałtyckiego. Te zaś, które mają swój spadek w stronę przeciwną, w kierunku południowym i zachodnim, te płyną do Dniestru, a z nim do morza Czarnego.

Zaraz za dworcem kolejowym powstaje potok biłohorski, którego wodę wraz z innemi staw rudnieński (Strychowalec)

przez Starą rzekę i Wereszycę posyła do Dniestru. Na południe od Lwowa, w Basiówce, powstaje Szczerzyca, a w Kozielnikach, tuż za Zieloną rogatką Zubrza; obie pod Mikołajowem także do Dniestru spływają. I oto jest całe nasze nachylenie czarno-morskie. Należą do niego przestrzenie zamiejskie od rogatki Janowskiej przez Gródecką aż do Zielonej, a w mieście tylko sam dworzec kolei.

Zresztą wszystko we Lwowie należy do Wisły. Co prawda niewielki to dopływ, którym zasila królowę rzek naszych okolica lwowska — ta nasza rodzinna Pełtew — ale i jej przy opisie krajobrazu lwowskiego pominąć nie można. Jest między Wulecką a Stryjską rogatką, przecięty linią kolei, niewielki lasek dębowy, dawniej piękny, dziś już po większej części wytrzebiony — w tym lasku powstaje Pełtew. Zaledwie jeden kilometr upłynąwszy, tworzy cały szereg wcale pokaźnych stawów, najprzód Wulecki potem Sobka, wreszcie Pełczyński i Panieński. Natrafia bowiem na kilka jarów po drodze, które wprzód musi wypełnić, zanim się dalej posunie. Wychodząc ze stawu Panieńskiego, zakreśla Pełtew łuk aż pod ogród Jabłonowskich, i dopiero potem skręca do miasta ku Akademickiej ulicy. Pod »murowanym mostem«, obok ogrodu Jabłonowskich wpada do Pełtwi »Żelazna woda«, a pod mostem św. Jana na Akademickim placu Pasieka, która od Pohulanki i Rur przybywa. Po złączeniu się swojem z Pasieką płynie Pełtew dalej przez ulicę Akademicką, plac Maryacki, ulicę Karola Ludwika i plac Gołuchowskich: nie widać jednak jej biegu ponieważ jest zasklepiona. Dopiero za ulicą Rzeźną na t. z. Opałkach znowu na jaw wychodzi, a okrążając w pewnej odległości górę zamkową, przecina żółkiewski gościniec — i wprowadza wreszcie mętne swe wody w podmokłą i bagnistą dolinę, która jej własnym jest wytworem.

Kiedy ze szczytów Wysokiego Zamku wzrok nasz pada na rozległą równinę ku północy, wydawać się może, że stoimy na brzegu wyżyny, że tam u stóp góry zamkowej już się rozściela nizina. Tak jednak nie jest: koniec wyżyny naszej

przypada znacznie dalej, aż poza Żółkwią — a to co z Zamku widzimy jest tylko miejscową przerwą. Za tą przerwą następuje znowu wywyższenie, potem znowu przerwa i tak po kilka razy. Kto jechał gościńcem do Żółkwi, ten wie, że ciągle droga to się do góry podnosi, to znowu w dół opada. Owe zagłębienia czyli przerwy w wyżynie utworzyły rzeczki wzdłuż niej płynące, a pierwszą z tych przerw, tę właśnie, którą ze Zamku widzimy, wypłukała Pełtew. Nie jest to zatem nizina, tylko dolina Pełtwi; dolina wznosząca się nad poziom morza 250 metrów, a 150 metrów niżej leżąca od szczytu kopca.

Ale nie na tę tylko jedną dolinę u stoków Zamku ograniczyła się działalność Pełtwi i jej dopływów. Ktokolwiek zna tylko trochę z wycieczek okolicę Lwowa, przypomni sobie zapewne te liczne malownicze wąwozy i jary, które wzdłuż i wszerz przecinają nasze gaiki. Na dnie każdego z nich prawie sączy się jakiś leśny strumyczek. Te strumyki to właśnie wytworzyły te jary. Na wypłukanie ich składały się setki i znowu setki lat, nieprzeliczone burze i ulewy. Ma swój jar Pełtew, ma Pasieka, mają Żelazna woda i inne mniejsze dopływy; a gdy się ze sobą połączą te jary, wtedy powstaje jedno większe zagłębienie, które kotliną lwowską się zowie. Lwów cały leży w kotlinie: widać to idąc z którejkolwiek rogatki, że się zstępuje do dołu. Na jednej tylko rogatce Żółkiewskiej jest przestrzeń równa; lecz to jest właśnie owa przerwa, przez którą Pełtew między zamkową a katowską* górą z kotła lwowskiego do swojej własnej doliny przechodzi.

Okazuje się tedy, że bliższe poznanie choćby najmniejszych strumyków bardzo się znacznie do zrozumienia rodzinnego zakąta przyczynia. Całe urozmaicenie, całą piękność swoją ma właśnie okolica lwowska tym lichym rzeczułkom do

---

* Tu od najdawniejszych czasów tracono skazanych na śmierć, stąd nazwa góra katowska, góra tracenia lub góra sprawiedliwości. Dzisiaj pospolicie ją nazywają górą hyclowską.

zawdzięczenia. Nie tylko piękność — owszem pewne nawet widoczne korzyści wypłynęły z tego utworzenia kotliny, którego u nas dokonała Pełtew. Jest w tej kotlinie lwowskiej powietrze zawsze łagodniejsze niżeli na otwartem miejscu wyżyny — a spostrzeżenia na uniwersytecie wykazują zawsze mniej zimna, mniej gorąca i mniej wiatru niżeli spostrzeżenia na technice. Bardzo dobrze uwydatnia tę różnicę porównanie z Warszawą, z którego wynika, że klimat wyżyny lwowskiej jest ostrzejszym, ale klimat miasta Lwowa jest łagodniejszym od warszawskiego klimatu*.

Przed kilkoma wiekami był u nas według wszelkiego prawdopodobieństwa klimat jeszcze łagodniejszy. Naprowadza na myśl tę ta okoliczność, że udawała się winna latarośl. Od stoków góry piaskowej aż ku Krzywczycom ciągnęły się lwowskie winnice: z nich sto beczek lekkiego wina do swoich piwnic spuszczali mieszczanie. Nie inna mogła być tego przyczyna jak tylko większe zalesienie. Las bowiem jak gdyby przerzucone ubranie okrywał boki pagórków, chroniąc od wiatrów, łagodząc mróz w zimie a w lecie upały.

Jeszcze dzisiaj mieszkaniec Lwowa szczęśliwym nazwać się może, że ma te liczne za miastem laski, gdzie w czasie

---

* Klimat Lwowa należy w ogóle do tej samej strefy środkowo-europejskiej, do której z miast naszych prócz Warszawy także Kraków i Poznań są zaliczone. Jednakże Lwów leży na samych kresach tej strefy, bo już od Tarnopola, a na północy od Wilna, zaczyna się dziedzina wschodnio-europejskiego klimatu, który się większym chłodem a mniejszą ilością opadów odznacza. Jest więc u nas chłodniej a suszej nieco niźli w Krakowie albo w Poznaniu, a więcej ciepła i więcej opadu niż na Podolu albo na Litwie.

Największe gorąco, jakie u nas w nowszych czasach zauważano, doszło do + 34·5° C (w lipcu 1867), największe zimno do — 30·5° C (w lutym 1870). Gdyby gorąco i zimno rozdzielić jednostajnie na wszystkie dni roku, to wypadłaby temperatura przeciętna + 8° C na każdy dzień. Wiatr jest u nas najczęściej zachodni lub południowo-zachodni, rzadko północny lub wschodni.

letnich skwarów swobodnego używa wytchnienia. Jeden z tych lasków nawet tuż do rogatki przytyka i aż do samych Winnik bez przerwy się ciągnie. Ale czem jest to wszystko wobec tych borów, które dawnemi laty tu rosły! Za czasów Kazimierza Wielkiego las aż do murów miejskich dochodził, aż do miejsca gdzie dzisiaj Szkarpy i gdzie bernardyńskie budynki. A także i lewy czyli zachodni brzeg Pełtwi, choć już mniej silnym z powodu licznych moczarów, ale równie rozległym, porastał lasem. Tylko na bagnistą dolinę pod Zamkiem, tylko na północ, widok szeroki w dal się otwierał.

I było co spojrzeć wówczas na owe lasy. Dzisiaj wysmukły grab przeważa u nas pod Lwowem, a czasem zadowolnić się trzeba tylko brzozą, osiką lub olchą. Dawniej trafiały się znacznie częściej obszerne kępy potężnych dębów, a głównie barwę krajobrazowi nadawał dorodny buk ze swym wesołym jasnozielonym liściem. Za króla Jana III. cała góra brzuchowicka szumiała lasem bukowym. Jeszcze zaś dawniej, za ruskich kniaziów, musiało podobnie wyglądać świętojurskie wzgórze, gdyż pierwsza cerkiew tego miejsca z bukowych wybudowaną była kloców.

Las jednak nie tylko ciepła, lecz także i wilgoci przysparza; jest on jakby naturalnym zbiornikiem wilgoci. W lesistych okolicach więcej jest wód płynących i stojących i częstsze bywają opady. Dziś z małych naszych rzeczułek słońce na otwartych przestrzeniach ostatki wody wysusza. Nie tak im było dawniej, kiedy wśród leśnych cieniów płynęły. Inna wtedy była tych wód natura, inna obfitość. I Pełtew miała swe młode lata, kiedy czystym płynęła strumieniem, a po wezbraniu w bystrym pędzie zrywała mosty i domy, szerokie pokrywając przestrzenie. Kiedy przed 400 laty nastąpił wylew wód po deszczach, to zdarzyło się i we Lwowie, że od krakowskiej bramy do ulicy św. Stanisława na czółnach trzeba się było dostawać. Wtenczas jeszcze brudna dzisiaj Pasieka na miano »Srebrnego potoka« zasługiwała. Było też w obrębie dzisiejszego miasta wiele strumyków, z których obecnie i ślad nie

pozostał; były stawy później wyschłe lub zasypane, były moczary na miejscu dzisiejszych placów i gmachów. Gdzie plac Maryacki, gdzie teatr, gdzie jezuicki ogród, tam niegdyś kaczki na bagnach strzelali nasi dziadowie. Plac Chorążczyzny był stawem; mnóstwo ich było na Janowskiem i na Żółkiewskiem, na Rurach i na Piekarskiej ulicy — a już owa północna dolina u stoków Zamku tak była podmokłą, że żadne wojsko tam się rozłożyć nie mogło.

W tych dawnych lasach lwowskich, osłaniających od zimnych powiewów, zraszanych obficie wilgocią, o ileż roślinność musiała być bardziej powabną i bujną! Zrobiono już w naszych czasach to spostrzeżenie, że roślinna szata zamkowej góry zmieniła się nie do poznania, odkąd to niegdyś nagie zbiorowisko piasku przekształcone zostało w park wspaniały. Zamiast piaskowych burzanów i ostów, rozpleniły się wszędzie leśne rośliny. Tem większa jest różnica między nowymi a dawnymi czasy; tem bardziej przeważała wówczas leśna roślinność — a także i moczarowa — ponad stepową. Dziś jest to dla nas prawie niespodzianką, kiedy znajdziemy na Czartowskiej skale białe, strzępiaste gwoździki lub niebieskie goryczki, lub koralowe bzu karpackiego jagody — a znowu wodne lilie na stawach: dawniej tego wszystkiego bywało pod Lwowem dostatkiem.

I jeszcze większy dostatek był rozlicznego zwierza. Nie tylko lisów, zajęcy i rogaczy mnóstwo, nie tylko wilki, niedźwiedzie i dziki, ale prócz tego rzadkie już teraz bobry, i rzadsze jeszcze — dziś tylko białowieskiej puszczy mieszkańce — żubry. Ich stada w naszej się Zubrzy poiły, która od tego, jak Bóbrka od bobrów, ma swoje nazwanie. Bywały pod Lwowem jeszcze przed 400 laty łowy na żubra. Władcy Czerwonej Rusi trzymali tu nawet dla pilnowania zwierzyny służbę osobną, tych kozielników i sokolników, od których wsi po dziś dzień noszą nazwiska. Był także w stawach tutejszych ryb rozmaitych dostatek — zwłaszcza szczupaków i karpi — a ze spróchniałych dębów miód się na ziemię przelewał. I prę-

dzej człowiek mógł się w słodyczy utopić, niżby się do dna takiej miodowej krynicy domacał. A ponad barwnym kwiatów kobiercem i pod zielonym z liści namiotem ruchliwe śpiewaków leśnych gromadki: czyżyków, szczygłów, pokrzewek i tych słowików, których się nie mógł dosyć Jagiełło na Rusi nasłuchać.

Kiedy to było, to wszystko? — Za królów polskich, za ruskich kniaziów i jeszcze przed nimi — im głębiej w przeszłość tem bardziej pierwotna puszcza, bo słusznie proste przysłowie powiada: »był las nie było nas« i pięknie się pewien starodawny poeta wyraził, że

»...dawniej lasy niż miasta nastały,
Prędzej Bóg stworzył drzewo niż człowieka«*.

2.

POWSTANIE LWOWA.

»W roku 981 po narodzeniu Chrystusa Pana wyprawił się Włodzimierz na Lachów i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są aż do tego dnia pod Rusią«. Tak napisał w 130 lat po tym wypadku najstarszy kronikarz ruski Kijowianin Nestor, i dał nam przez to pierwszą historyczną o naszych stronach wiadomość. Dowiadujemy się z niej, że Przemyśl a nawet Czerwień, który aż w chełmskiej ziemi był położony, i inne tutejszych okolic grody należały pierwotnie do Polaków. Wyraźnie to i z innych miejsc Nestora wynika, że granicę między polskim a ruskim szczepem stanowił naówczas Bug. Wszystka ziemia po lewej czyli zachodniej stronie Bugu, a więc także dorzecze Pełtwi, była dziedziną polskiego plemienia w tym czasie, kiedy nad Rusią Włodzimierz a nad

---

* Klonowicz: Roxolania czyli poemat o Rusi w tłómaczeniu Syrokomli. Wilno 1851. Str. 27.

Polską Mieszko (Mieczysław), pierwsi chrześcijańscy tych ziem książęta, panowali.

Jednakże Nestor w drugiej części swej wiadomości powiada, że grody przez Włodzimierza zajęte zostały już odtąd przy Rusi. I rzeczywiście, jakkolwiek tak dzielni monarchowie polscy jak Bolesław Chrobry i Śmiały, a później Kazimierz Sprawiedliwy i Leszek Biały, odzyskiwali nie tylko te grody lecz zdobywali jeszcze Kijów lub Halicz, to jednak zawsze tylko na krótki czas, a ostatecznie utrzymali się w ich posiadaniu Rusini. Odtąd kresy Rusi od strony polskiej posunęły się od Bugu aż po San i po Wisłok, a nasza rodzinna okolica skutkiem zaboru Włodzimierza z polskiej ziemi granicznej stała się ruską graniczną ziemią.

Ziemia graniczna dwóch walczących ze sobą szczepów — to znaczy w owych czasach pole ciągłych najazdów, spustoszeń i mordów. Rzecz zrozumiała, że w tych historycznych warunkach nie powstało tu żadne wybitniejsze ognisko osadnictwa. Głębiej na wschodzie urządzali swoje stolice książęta Czerwonej Rusi: najprzód w Trębowli a potem w Haliczu. Nawet o jakiejkolwiek, chociażby mniejszej, osadzie u źródeł Pełtwi nie słychać nic ani za Mieszka i Włodzimierza, ani za czasów Nestora, ani nawet o dalszych lat 130 później. Przesuwają się wojska nad Zubrzą i nad Szczerzycą, pod Dźwinogrodem i Gródkiem — lecz o kotlinie nad Pełtwią milczą kroniki.

Jednakże są jeszcze inne źródła, do których możemy się udać wówczas gdy milczą pisane dzieje. Człowiek żył już na świecie zanim się pisać nauczył, zanim budował domy, nim nawet poznał użytek kruszców. Musiał pierwotnie zadowolnić się jaskinią lub szałasem do mieszkania, skórą zwierzęcą do ubrania, kamiennem narzędziem do łowów i wszelakiego użytku domowego, niezgrabnem w ręku tylko ukleconem a na słońcu osuszonem naczyniem z gliny do zbierania mleka. Kamienne narzędzia i gliniane czerepy przechowane w łonie ziemi — oto jedyna spuścizna wielu minionych pokoleń, z której archeologia umie czytać dzieje żywota przedhistorycznych ludów.

Cóż o przeszłości naszej okolicy powiada archeologia? — I u nas wykopują się niewątpliwe ślady jakiejś pierwotnej ludności. Okrzeski krzemienne, groty, czasem siekierki z kamienia znachodzono na kopcu, pod Czartowską skałą, na Łyczakowskiej rogatce, na górze cytadelnej, na Bajkach i na Janowskiem t. j. na wzgórzach i wyżynach lwowskich. Mnóstwo się także glinianych czerepów wykopuje pierwotnego wyrobu, świadczących o tem, że w naszej okolicy obfitującej w glinę już od prawieku musiało kwitnąć garncarstwo. Ale są to tylko ślady jakichś luźnych koczowisk, które o stałej osadzie jeszcze świadczyć nie mogą. Muszą one z bardzo odległej — zapewne jeszcze z przedsłowiańskiej — pochodzić doby*. Z czasów późniejszych, kiedy już ludzie stałe zajęli siedziby, kiedy poznali kruszcowe narzędzia, kiedy przez nasze ziemie dążył kupiec grecki i rzymski po bursztyn nad Bałtyk, przynosząc nawzajem swoje wyroby i swoje pieniądze — słowem ze starosłowiańskich czasów nie znaleziono u nas jeszcze żadnego poważniejszego wykopaliska.

A jednak wykopuje się przedmioty z tej epoki w znacznej ilości w innych stronach kraju naszego, nad Wartą, nad Wisłą, nad Dniestrem, nawet nad Bugiem. Nic dziwnego, bo pierwsze stałe osady budowały się nad wodami, często nawet na wodach (na palach), a większe rzeki były naturalnymi gościńcami w przedhistorycznych czasach. Nasza zaś lwowska okolica nie posiada ani większej rzeki ani jeziora, azatem nie mogła pociągać do siebie ludności w owych zamierzchłych wiekach.

A więc ani historya ani archeologia nie dają żadnych śladów stałej osady u źródeł Pełtwi aż do połowy XIII wieku. Nie było tu ani historycznych ani naturalnych warunków osa-

---

* Archeologowie przypuszczają, że już w czasie t. z. epoki lodowej przebywali w naszych stronach ludzie, sposobem życia i pochodzeniem swojem najbardziej zbliżeni do dzisiejszych mieszkańców okolic podbiegunowych: Lapończyków lub Samojedów.

dnictwa. Jednakże warunki historyczne podlegają zmianom, a są często silniejsze od przyrodzonych. Nie mogą one wprawdzie przeistoczyć natury, ale mogą taki sprowadzić przewrót, że to co dawniej było niedogodnem, staje się później znośnem lub pożądanem. Taki przewrót zdarzył się w naszych stronach w pierwszej połowie XIII wieku — i wówczas dopiero wybiła godzina dla Lwowa.

Nastąpił napad Tatarów. Z głębi Azyi, tego odwiecznego rojowiska narodów, wysypała się nowa nawała ludów, prawdziwa plaga dla wschodu Europy. Byli bowiem Tatarzy narodem nad wszelki wyraz dzikim, który mieszkał na koniu, żywił się końskiem mięsem i mlekiem, i konno wykonywał jedyne swoje rzemiosło: rabunek. Odrażającym był widok takiego Tatara o skośnych oczach i kościstej twarzy, odzianego w kosmaty kożuch barani, zbrojnego w łuk i krzywą szablę i w pęta na jeńców u siodła. Biada ziemi przez którą przeszła nawała tatarska; czego tylko nie mógł unieść ze sobą lub do niewoli popędzić Tatar, to palił i rżnął bez litości. I stąd powstało przysłowie, że nawet trawa nie wzrośnie, kędy noga tatarskich koni postała. Z prawdziwem przejęciem czyta się słowa ruskiego kronikarza: »że żywi zazdrościli spokoju umarłym«.

Przeszli Tatarzy jakby szarańcza Ruś, Polskę i Węgry; z Polski i Węgier wrócili znowu, ale na Rusi zostali nadal. Strasznem było to jarzmo dla Rusi: robili Tatarzy co chcieli, brali co zapragnęli, a po grzbietach książąt ruskich na koń wsiadali ich władcy. Wówczas zniszczały największe tutejsze grody, a Halicz, główna stolica, już odtąd się więcej nie podniósł.

Widząc to spustoszenie król ruski Daniło, który właśnie nad Rusią Czerwoną i nad Wołyniem panował, postanowił pomyśleć o nowych osadach. Nie można już teraz było dobierać dogodnych warunków — chodziło właśnie o trudno dostępne schronienia. Daniło przeniósł swoją stolicę do Chełmu: a gdy pomyślał o połączeniu Chełma z Haliczem, zauważył właśnie u źródeł Pełtwi najwyższą na tej przestrzeni górę,

a przy niej miejsce odludne, jarami i moczarami poprzerzynane a gęsto zarosłe lasem. Takie miejsce właśnie było trudno dostępne dla jazdy; tu więc zbudował Daniło gród i oddał go swemu synowi, któremu na imię było Lew. A tak się »Lwi gród«, czyli Lwów narodził, co się zdarzyło około roku 1250 po narodzeniu Chrystusa Pana.

3.

LWÓW ZA RUSKICH CZASÓW.

Zaledwie się Tatarzy o założeniu Lwiego grodu dowiedzieli, zaraz go napowrót rozrzucić kazali. Kazali go »rozrzucić« — był bowiem z drzewa i z wałów ziemnych jak wszystkie podówczas na Rusi. Ale Lew upodobał sobie to miejsce, przeto po niejakim czasie silniejszy niż dawniej gród odbudował i na zawsze już w nim swoją uczynił stolicę. U stóp zaś grodu i pod jego osłoną utworzyła się w krótkim czasie stała osada.

Gdzież był ten prastary, ten ruski Lwów położony? Trzeba się tylko rozglądnąć uważnie ze szczytów góry Zamkowej, aby samemu znaleść odpowiedź. Tam gdzie na małej przestrzeni najwięcej skupia się cerkwi — na dzisiejszem przedmieściu żółkiewskiem — był ruski Lwów zbudowany. I rzeczywiście jedyne to było wówczas pod górą Zamkową miejsce przydatne do zamieszkania. Od północy jest jak wiadomo grunt jeszcze dzisiaj wilgotny, od wschodu i od południa szedł las i prawdopodobnie aż do miejsca gdzie teraz rynek dochodził, a przytem jest ta strona zanadto nierówną i spadzistą. Natomiast na stronie zachodniej grunt lekko od góry Zamkowej ku Pełtwi się skłania, nie jest więc ani zbyt nierównym ani też mokrym, bo wody mają naturalny odpływ do rzeczki. Ten zatem szmat ziemi pomiędzy zachodnim stokiem zamku a Pełtwią, gdzie dzisiaj Sieniawszczyzna, Stary Rynek, ulica Żół-



Fig. 1. Oblężenie grodu ruskiego w XIV. wieku.

kiewska i Zamarstynowska — to było przez samą naturę wskazane miejsce starego Lwowa.

Na której części góry zamkowej stał gród książęcia Lwa, to się dziś z całą pewnością oznaczyć nie da, lecz wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tą częścią, która nad samem Żółkiewskiem się wznosi t. j. za wierzchołkiem nad grotą *. Część ta, zwana za polskich czasów górą Łysą *(mons calvus)* czyli Kalwaryą, niegdyś wybitniej od reszty góry się oddzielała, ponieważ tam gdzie dzisiaj domek ogrodnika szedł jar, który dopiero w naszym wieku zasypano.

Wśród grodu stał drewniany dwór księcia, a odległa zaledwie o kilkaset kroków cerkiew św. Mikołaja była nadworną książęcą cerkwią. W pobliżu wybudowali swoje domostwa dworzanie, dostojnicy książęcy i bojarzy, a dalej nieco drobniejszy gmin rzemieślników oraz przekupniów. Dla tej to ruskiej ludności powstały z czasem coraz liczniejsze cerkwie: najprzód bazyliańska św. Onufrego, dalej cerkiew św. Teodora, gdzie dzisiaj plac tej nazwy, a jeszcze dalej i później cerkiew Zmartwychwstania Pańskiego i zaraz obok św. Piatnycia: wreszcie cerkiew NP. Maryi »na Ternawce«, czyli dzisiejszej Zborowskiej ulicy **. To wszystko był ruski środek starego Lwowa.

A zaś na lewo od książęcego dworu inna się już zaczynała dzielnica i inni się koło kościółka św. Jana Chrzciciela skupiali mieszkańcy. — A więc istniał już łaciński kościółek św. Jana, i jakże się dostał tutaj aż tak daleko w głąb Rusi?

---

* Przypuszczenie, że pierwotny Lwów stał tam, gdzie dzisiaj Zniesienie, a gród Lwa na górze, skąd piasek obecnie biorą, niema dostatecznego uzasadnienia. Na górze kopcowej była może za ruskich czasów jakaś strażnica, lecz zamek tam wybudował dopiero Kazimierz Wielki.

** Z tych nie istnieją już dzisiaj prócz cerkwi św. Teodora, także cerkiew Zmartwychwstania i cerkiew N. Panny »na Ternawce«.

Istniał — a początek swój zawdzięcza małżonce księcia Lwa, która nie pochodziła z Rusi lecz z Węgier, a więc do łacińskiego kościoła należała. Była nią Konstancya, córka króla Beli a rodzona siostra naszej św. Kingi, niewiasta, o której powszechnie mniemano, że dla swej pobożności w poczet Błogosławionych po śmierci musiała się dostać. A także córka Lwa i Konstancyi Świętochna w klasztorze sądeckim jako zakonnica bogobojnie żywot zakończyła. Otóż naturalną jest rzeczą, że tak świątobliwa pani jak księżna Konstancya wyjednała u męża swego pozwolenie na wybudowanie kościoła według swojego wyznania dla siebie i dla swej córki. Niema już kawałka drzewa ani kamienia z tych czasów w dzisiejszym kościółku św. Jana, lecz położenie i wielkość dotychczas nadworną kaplicę przypominają. Nie było przy nim świeckich księży naówczas lecz tylko mnisi Dominikanie, którzy za przykładem św. Jacka pierwsi się odważyli ponieść naukę katolickiego kościoła w głąb Rusi.

W kościółku św. Jana schodzili się na nabożeństwo prócz dworzan księżny także i Niemcy, którzy dla handlu lub dla rzemiosła do nowej osady przybyli. Byli to zaś ludzie do wszelkich rękodzieł daleko od tubylców wprawniejsi i przedziwne wyroby do Lwowa przywozili z Niemiec i z Włoch i z dalszego jeszcze zachodu. A stąd na placu przed kościółkiem św. Jana najlepszych można było dostać wyrobów i plac ten stał się rynkiem pierwotnego Lwowa, jako po dziś dzień nazwę starego rynku zachował. Mieli zaś już wtenczas ci Niemcy pewien samorząd przyznany; mianowicie ten, że nie sądzili ich urzędnicy książęcy, ale ich właśni wójtowie, według przepisów niemieckiego prawa.

Tymczasem w stronie całkiem przeciwnej, na prawem skrzydle dawnego Lwowa, tam gdzie gościniec żółkiewski około góry zamkowej na północ się skręca, t. j. na dzisiejszem Podzamczu, całkiem odmienny świat się otwierał. Tu się krzątali mężowie o czarnych włosach i śniadej a wyrazistej twarzy, we wschodnie szaty ubrani i wschodnim mówiący językiem.

U nich wszelkie bogactwa Azyi były na składzie, drogie korzenie i złociste tkaniny. To wygnańcy z odległej Armenii, która w Azyi już niedaleko ziemi św. jest położona. Przed naciskiem Greków a później Turków ustępując, musieli ci ludzie opuścić rodzinną ziemię, by na dalekiej Rusi szukać i znaleść gościnny przytułek. We Lwowie od najpierwszych początków już byli. Mieli swój najdawniejszy kościółek wraz z monasterem pod wezwaniem św. Anny na miejscu gdzie dziś na Żółkiewskiej ulicy jest łaźnia. Wyznawali bowiem także religię chrześciańską tylko w odrębnym obrządku, który bardziej był do ruskiego niż do naszego zbliżony. Mieli także Ormianie swą własną starszyznę i własne swoje jeszcze po królach ormiańskich prawa, które ze sobą z dawnej ojczyzny przynieśli. — Obok nich w tej samej stronie Lwowa jeszcze się także Tatarstwo w swych lichych lepiankach gnieździło; a i Żydów już wówczas nie brakowało we Lwowie.

Gdyby kto z ludzi dzisiejszych przenieść się mógł w owe czasy i stanął na górze sprawiedliwości, skąd najlepiej cała kotlina lwowska wzrokiem ogarnąć się daje — jakże odmienny miałby przed sobą widok! Zamiast białych kamienic i domów — zielone drzewa i krzewy, zamiast placów, które dziś przerwy stanowią — połyskujące wody moczarów. To wszystko na pierwszym planie — tło zaś stanowi góra zamkowa niezalesiona a tylko pokryta murawą, którą miejscami przerywa szmat białawego piasku. Na jednym ze szczytów góry gród z drzewa i ziemi, u stoków w półkole osada jak pstra gąsienica o pień rodzimego drzewa owinięta. Wszystko od wsi nie większe i też jak wieś nieznaczne. Domy drewniane, dwór księcia drewniany, kościoły i cerkwie też z drzewa. Drobna osada, lecz drzemią już w niej ukryte siły żywotne; jednem ramieniem o wschód się oparła, drugiem zachodu sięga. Połączenie pierwiastków zachodnich i wschodnich żywiołów na gruncie rodzimym ruskim — to tajemnica przyszłej wielkości Lwowa.

Ale teraz spoczywał jeszcze wśród ciszy, w zieleń rodzimych gajów spowity. Do małej osady rzadki tylko pospiesza wędrowiec i nieliczne ku niej toczą się wozy. Na taki ruch kilka tylko gościńców wystarczy. Przedmiejskie cerkwie ówczesne są nam jakby drogoskazami owych pierwotnych gościńców. Więc naprzód ów cały szereg cerkwi na dzisiejszem Żółkiewskiem przedmieściu, oto kierunek najstarszej zapewne ze Lwowa drogi, którą książę Lew połączył się z królem Daniłą, Lwi gród z ojczystym swym Chełmem. Dalej cerkiew św. Jura, dawniej monaster bazyliański — ten wskazuje na Gródek, na Przemyśl, na drogę ku której oczy zwracała Konstancya. Bo czyto do siostry Kingi w stronę Krakowa lub Sącza, czy ku ojczystym Węgrom pociągała ją w drogę tęsknota, zawsze tym jednym tylko mogła ze Lwowa wyjeżdżać gościńcem. Z Przemyśla bowiem dopiero na Sanok skręcał najstarszy z Rusi szlak na Węgry *. — W kierunku wprost od św. Jura przeciwnym, gdzieś w okolicy Lonszanówki (»Kaiserwaldu«) dzisiejszej, wznosiła się starodawna cerkiew św. Krzyża. Tędy prowadził gościniec gliniański, ulubiona ormiańskich mężów ku wschodnim krajom droga. Wreszcie u spływu Pasieki i Pełtwi, w dzisiejszym ogrodzie Fredrów, stała od dawien dawna »bohojawłeńska« cerkiew Trzech Króli, jakby drogoskaz południowego tych czasów ze Lwowa szlaku: przez Sichów i Bóbrkę ku Haliczowi.

Nie należy też sobie choć w przybliżeniu wyobrażać tego licznego wieńca siół, który dziś naszą stolicę otacza. Nie było ani Brzuchowic, ani Lesienic, ni tego całego szeregu wiosek, które ze Zamku albo z Czartowskiej skały widzimy. Na 100 wsi pode Lwowem jest ledwie kilka takich, które za ruskich kniaziów istniały, wszystkie inne późniejszemu, polskich już czasów, osadnictwu swój zawdzięczają początek.

---

* Jeszcze nie było Stryja ani też stryjskiej drogi, tak samo jak jeszcze nie istniał Janów ani janowski gościniec.



Fig. 2. Dzwon świętojurski z r. 1340.

A zatem cztery główne gościńce na cztery świata strony: do Chełma, do Glinian, do Gródka i do Halicza; nad nimi przedmiejskie cerkwie jak forty strażnicze przed twierdzą, i dalej kilka wsi na miejscu dzisiejszych kilkudziesięciu — wszystko wśród licznych lasów i gajów — oto jest przybliżony obraz ówczesnej lwowskiej okolicy. Zdawałoby się, że życie tutaj spływało w pierwotnym spokoju i szczęściu. Ale myliłby się ktoby tak sądził; zapomniałby chyba o owej gwieździe złowrogiej, która nad kolebką Lwowa świeciła — o strasznem jarzmie Tatarów, ciężącem wówczas nad Rusią.

Raz już się Lwów był rozpadał na straszny rozkaz chanowy, później się znów odbudował, lecz plaga tatarska wciąż nad nim groźnie wisiała. Za długo byłoby i za rozwlekle wszystkie gwałty tutaj wyliczać — lecz jeden obraz objaśni wszystko. Było to ledwie w 30 lat po założeniu naszego grodu; tatarski wódz Telebuga powracał z nieudałej do Polski wyprawy, wrząc gniewem i nienawiścią. »I pójdzie nazad na lwowską ziemię, na gród na Lwów. I stali na lwowskiej ziemi przez dwie niedziele karmiąc się nie wojując i nie dawali ludziom wynijść do zagród. Kto zaś wyjechał z grodu tych zabijali, a drugich imali, a innych złupiwszy puszczali nago, a ci od mrozu marli, bo była zima wielce luta. I uczynili pustą wszą ziemię« *. Sceny te pełne grozy nie jeden raz musiały się później powtarzać — słowem nikt nie był ani życia ani też mienia pewnym.

Jeszcze sam książę Lew zdołał się jakoś utrzymać i po długoletnich rządach w spokoju życia dokonać (1301). Ale już jego synowi i wnukom krótkie tylko było przeznaczone panowanie. Syn Jur, czyli Jerzy I. nie żył już w r. 1315, obaj zaś wnukowie Lew II. i Andrzej w 9 lat potem, prawie równocześnie, ponieśli śmierć z ręki Tatarów (1324). I wy-

---

* Kronika wołyńska (Litopis po ipatiewskomu spisku) pod rokiem 1283.

ginął ród kniaziów ruskich w tej ziemi i zdawało się, że to już koniec przychodzi dla Lwowa — lecz to się tylko koniec zbliżał ruskiej epoki.

Nie zajęli wprawdzie naszej książęcej stolicy Tatarzy, ale już się wyraźnie zaznaczył dla Lwowa czas przejścia pod innych władców. Oto po raz pierwszy zajmuje książęcy tron w Lwim grodzie monarcha z polskiego rodu Piastów. Wyginął był wprawdzie ród Lwa po mieczu, ale zostały jeszcze dwie z książęcego rodu niewiasty. Jedna wydana była za Lubarta, syna bohaterskiego księcia Litwy Giedymina, a druga za Trojdena Piastowicza, mazowieckiego księcia. Trojden mazowiecki i ruska księżniczka z rodu Lwa mieli kilku synów — z tych najstarszego Bolesława wezwali teraz Rusini na tron książęcy we Lwowie. Bolesław Trojdenowicz, który odtąd przybrał imię Jerzego II., przybył na Ruś i dzielnie rządy sprawował, ale nie spodobało się bojarom ruskim, że był gorliwym kościoła łacińskiego krzewicielem. Więc pozbyli się go po niejakim czasie za pomocą trucizny. Myśleli zapewne, że teraz księstwo obejmie wyznawca wschodniego kościoła Lubart — lecz nie w ich ręku były dalsze tej ziemi losy.

4.

PRZYŁĄCZENIE DO POLSKI.

Ciężka zbrodnia popełniona przez bojarów na księciu Bolesławie-Jerzym krwawe i długoletnie pociągnęła za sobą wojny. Polska, Litwa, Tatarzy a wreszcie i Węgrzy — wszystkie te potęgi wystąpiły teraz do walki o opróżniony tron książęcy na Rusi.

Najbliższe prawa obok Lubarta mieli bracia zabitego księcia: te same co i on, bo byli synami tej samej co Bolesław ruskiej księżniczki. Ale jako książęta mazowieccy byli oni za słabi aby urzeczywistnić te prawa. Za zgodą ich podjął się zatem obrony praw tych Kazimierz, król polski, jako

naczelnik rodu Piastów, który zresztą i przez dawniejsze związki rodzinne spokrewniony był z książętami Rusi. To prawo dziedziczne nie było jednak jedynem, na którem się opierał Kazimierz. Wszakże ziemie te aż po Bug do plemienia polskiego niegdyś należały i tylko przez zabór oderwane zostały od Polski. A oprócz tego, poparcie jedynej władzy moralnej, którą nad sobą uznawały podówczas państwa zachodu, jak dziś n. p. uznają uchwały wspólnych kongresów — poparcie powagi papieskiej było po stronie Kazimierza. Ojciec św. wzywał Piastów, by się podjęli pięknego posłannictwa obrony chrześciańskiej Rusi od pogańskiego zalewu. Czy można wobec tego wszystkiego mówić o gwałcie przez Kazimierza Wielkiego dokonanym na Rusi? — Z pewnością że nie. — Było to raczej zasługą Kazimierza wobec Rusi, że nie dopuścił, aby kraj ten dostał się w ręce Tatarstwa albo pogańskiej Litwy i że w ten sposób ocalił go dla chrześciaństwa, dla cywilizacyi Europy.

Kazimierz Wielki działał stanowczo i szybko. Zaraz tej samej wiosny, w której zginął książę Bolesław-Jerzy, przedsięwziął na Ruś wyprawę (1340). Zajął kraj i Lwów jego stolicę, objął skarb książęcy jako dziedzictwo po Piastowiczu w posiadanie i odebrał od bojarów przysięgę wierności. Ale się wówczas jeszcze nie zdołał utrzymać na Rusi. Utrzymał się przy pomocy Tatarów bojar (Detko) Dymitr, który uznał tylko zwierzchnictwo króla Kazimierza, za co mu poszanowanie obrządku i zwyczajów ruskich ze swojej strony monarcha polski zaręczył. Panowanie Kazimierza nad Rusią było wówczas tylko imiennem, a w rzeczywistości rozciągało się chyba na graniczące z Polską ziemie (n. p. Sanocką). We Lwowie Dymitr prawie samodzielnie władał, a gdy jego nie stało, rozporządzał się tutaj Lubart. Dopiero gdy w r. 1349 Litwini ponieśli ciężką klęskę od Krzyżaków nad Strawą, skorzystał z tego Kazimierz i rozpoczął drugą wojnę o Ruś. W tej wojnie spłonął wprawdzie Lwów od ogni Lubarta. ale Kazimierz Wielki utrwalił już nad ziemią przemyską, lwowską i halicką

t. j. nad całą Czerwoną Rusią rzeczywiste swe panowanie. Po kilkunastu latach pokoju wybuchła jeszcze trzecia wojna o Ruś (1361), ale tym razem już nie o ziemie czerwonoruskie, tylko o włodzimierską na Wołyniu chodziło. Wówczas Kazimierz i tam się utrzymał i panował nad temi wszystkiemi ziemiami aż do końca swojego życia.

Od roku zatem 1349 Ruś Czerwona wraz z Lwowem przeszła już trwale pod rządy Kazimierza Wielkiego. Szczęśliwe były zaprawdę kraje podlegające berłu owego króla-gospodarza, o którym współczesny kronikarz napisał »że więcej za jego czasów w lasach, borach, gajach i dąbrowach powstało wsi i miast, niźli ich dotąd było w całem królestwie polskiem«. Toż i Ruś odetchnęła nareszcie po tylu i takich przewrotach. Na obszarach nigdy nie zaludnionych lub spustoszonych przez Tatarstwo świeże wyrosły osady i w krótkim czasie zakwitły jak najpiękniej. A przytem odrębność kościoła i zwyczajów ruskich, jako był przyrzekł zachować, tak święcie zachował Kazimierz. Hojną ręką szafował puste obszary tak samo między Polaków jak i Rusinów, a kiedy wyposażał nowe biskupstwa łacińskie na Rusi, niczem przy tem praw cerkwi ruskiej nie naruszył, owszem tą samą, istnie ojcowską, otoczył ją opieką.

Lecz jeśli który stan, to prócz włościan jeszcze najbardziej mieszczanie niezgasłą po wszystkie czasy wdzięcznością winni otoczyć pamięć wielkiego króla. »Albowiem jakby drugi Salomon wspaniałemi uczynił swym trudem miasta, zamki w nich tudzież domy zmurował«. — Szczodrze je nadaniami i przywilejami obsypał. Już zaś szczególnie Lwów z wszystkich najwięcej zawdzięcza temu królowi. On go na nowo założył po pożarze ręką Lubarta wznieconym, i w takie go wyposażył warunki, które tu zgromadziły z czasem bogactwa zachodu i wschodu. Jakąkolwiek będziemy w następnych rozdziałach śledzili stronę miejskiego życia we Lwowie, wszędzie i zawsze jakby do fundamentów do Kazimierzowych przyjdzie nam sięgać czasów. Toż nic bardziej słusznego jak to, co już

najstarszy historyk Lwowa w łacińskim wierszu wyraził, kiedy napisał:

»Jako przez Kazimierza żyją Lwowianie
Tak też przez Lwowian niechaj żyje Kazimierz« *.



Fig. 3. Kazimierz Wielki.

Niestety po 20-letnich błogich rządach Kazimierza nastały dla Lwowa i dla Rusi gorsze czasy. Zdawało się, że te stosunki, które się tak szczęśliwie już ułożyły, znowu innej

* Zimorowicz: Kronika (w tłómaczeniu Piwockiego wydana we Lwowie r. 1835) str. 117.

ulegną odmianie, że nowy kraj nasz czekają przewroty. Nie od strony Tatarów lub Litwy już teraz groziło niebezpieczeństwo, ale pozostał dotychczas na widowni dziejów jeden jeszcze współzawodnik o Ruś niepokonany i niezaspokojony — pozostali Węgrzy.

Dawnych jeszcze sięgały uroszczenia węgierskie czasów. Jeszcze za ruskich kniaziów, którzy w ciągłych żyli ze sobą sporach, znaleźli Węgrzy sposobność wmieszania się w sprawy ruskie, popierając jednych książąt przeciwko drugim. Na kilkadziesiąt lat przed założeniem Lwowa (1188) zajął król węgierski Bela III. Halicz, lecz zamiast go oddać temu księciu, za którym się ujął, zatrzymał go raczej dla syna swego Andrzeja. Wprawdzie Rusini wkrótce wygnali Andrzeja, ale odtąd żaden król węgierski nie zaniedbał się tytułować także królem »Galicyi i Lodomeryi« t. j. halickiej i włodzimierskiej ziemi.

A oto właśnie teraz, po śmierci Kazimierza Wielkiego, obejmował rządy nad jego krajami węgierski król Ludwik (1370). Dawno to już było umówione; jeszcze za życia swego Kazimierz Wielki, nie mając syna, przeznaczył za zgodą narodu następstwo po sobie Ludwikowi, który był jego siostrzeńcem. Odtąd doznawał Kazimierz we wszystkich sprawach skutecznej pomocy od Ludwika. W wyprawach ruskich, zacząwszy już od pierwszej, walczyły zastępy węgierskie dzielnie obok polskich. Pomoc ta nie była jednak bynajmniej bezinteresowną. Bo nie tylko wiedział już Ludwik, że zostanie następcą Kazimierza, ale prócz tego, na wypadek gdyby Kazimierz miał jeszcze syna, zabezpieczył sobie przynajmniej posiadanie Rusi. Wówczas miał tylko zapłacić Polsce 100.000 dukatów, a Ruś zatrzymać dla Węgier. Wypadek ten wprawdzie nie nastąpił, ale ktokolwiek wiedział, jak dobrze Ludwik o węgierskich roszczeniach do Rusi pamięta, ten mógł się słusznie obawiać, co dalej z tego wyniknie.

I rzeczywiście Ludwik, choć był tak dobrze królem polskim jak i węgierskim, korzyść Węgier zawsze na pierwszym

miał względzie. Tak i w tej sprawie już z góry to sobie ułożył, by Ruś od Polski oderwać a z królestwem węgierskiem zjednoczyć. Od razu tego uskutecznić nie było można, bo Polacy byliby nader silny stawili opór; postanowił tedy Ludwik powoli kroczyć do celu. Uczynił więc naprzód Ruś jakby osobnem królestwem od Polski i od Węgier niezawisłem, a rządy jej oddał Władysławowi księciu opolskiemu. Nowy namiestnik, który tak rozległą piastował władzę, że go słusznie wicekrólem Rusi nazwać wypada, pochodził z Piastów, ale ze szląskich t. j. zniemczonych, i był więcej Węgrom niźli Polakom przychylny. Ale to wszystko jeszcze nie wystarczyło Ludwikowi. Kiedy się przeto nadarzyła sposobność, że opróżnionem było księstwo Dobrzyńskie nad Wisłą, oddał Ludwik Władysławowi Dobrzyń za Ruś, a Ruś Węgrami poobsadzał (1378).

Była to chwila wielce dla Polski niebezpieczna. Szczęściem że jej Opatrzność w takiej chwili zesłała dar mądrej rady. Ludwik umarł niebawem, a ponieważ zostawił tylko dwie córki, więc rządy na Węgrzech objęła starsza Marya, a w Polsce młodsza Jadwiga. Jadwiga była za życia ojca zaręczona z arcyksięciem Wilhelmem austryackim, lecz kiedy objęła rządy w Polsce zgłosił się o jej rękę wielki książę litewski Jagiełło. Idąc za głosem rady koronnej na zamku krakowskim zrobiła Jadwiga ofiarę z miłości swej do Wilhelma i przyjęła rękę Jagiełły (1386). Przez to nie tylko Litwa pozyskaną została dla wiary chrześciańskiej i dla związku z Polską, ale się także i losy Rusi rozstrzygły. Takiej potędze jak zjednoczona Polska i Litwa nie mógł się oprzeć żaden nieprzyjaciel. Toż kiedy Jagiełło w Wilnie nawracał Litwinów, młoda, piękna i dzielna królowa na czele świetnego zastępu polskiego rycerstwa wkraczała w mury Lwowa, by go wraz z całą Rusią na zawsze Węgrom odebrać (1387).

Ruś przyjmowała Jadwigę z otwartemi ramiony, i nawzajem »królowa polska witała Ruś swobodami«. Lwów otrzymał od Jadwigi wkrótce po jej przybyciu potwierdzenie swych

przywilejów. W tem potwierdzeniu powiedziano między innemi, że cokolwiekby miastu bezprawnie było zabranem ma być zwrócone i że ustać mają wszystkie cła i daniny, które po śmierci Kazimierza niesłusznie zostały ustanowione. Oto wskazówka wyraźna, w jakiej były pamięci rządy węgierskie na Rusi. Starostowie węgierscy dbali przedewszystkiem o własną korzyść, uciskali podatkami, ba nawet kilka grodów Litwinom zaprzedali. Toż nic dziwnego, że z taką radością witano Jadwigę, kiedy kres kładła rządom węgierskim na Rusi. I niemniej radosnego doznał także przyjęcia Jagiełło, skoro wkrótce po swej małżonce na Ruś zawitał. Lwów uprosił sobie od niego znowu potwierdzenie swych praw, a wkrótce potem ciekawy bardzo dokument, który wśród najcenniejszych swych przywilejów przechował. W tym dokumencie nic więcej nie było powiedzianem, jak tylko to, że Lwów i ziemia lwowska nigdy żadnemu księciu ani panu oddane nie będą, ale po wieczne czasy z koroną królestwa polskiego nierozdzielną stanowić mają całość. Lwów żadną miarą nie chciał gdzieindziej należeć, jak tylko do tego związku państw, które szczęśliwa obrączka Jadwigi w jedno potężne mocarstwo złączyła. Wracał z upragnieniem do polskiej korony, wracał na stałe — wśród jeszcze szczęśliwszych niż dawniej warunków.

5.

KRÓLEWSKIE PRZYWILEJE.

Połączenie z Polską przyniosło młodej stolicy Rusi nie tylko ustalenie stosunków, nie tylko obronę od nieprzyjaciół, lecz jeszcze udział w tych wszystkich swobodnych urządzeniach, które się już były rozwinęły na całym zachodzie. Przyniosło jej przedewszystkiem prawo magdeburskie — urządzenie takiej doniosłości, że się od niego zaczyna dopiero właściwe życie Lwowa jako miasta.

W czasach starodawnych władza monarchy, a więc i władza powierzona przezeń jego urzędnikom, była w Polsce, jak wszędzie zresztą, nieograniczoną. Później dopiero wyrobiły sobie pojedyncze stany swoje swobody. Działo się to za pomocą przywilejów, którymi królowie i książęta przelewali dobrowolnie część własnych praw na obdarzonych. Najprzód uzyskało przywileje duchowieństwo, potem szlachta, aż nareszcie przyszła też kolej na mieszczan. Po przerzedzeniu się i tak jeszcze nielicznej ludności w Polsce skutkiem napadu Tatarów, sprowadzali monarchowie polscy nowych osadników z Niemiec, szczególnie do miast. Ale w Niemczech miały już i miasta swoje swobody, więc nowi osadnicy przybywali tylko pod warunkiem, że im takowe będą zachowane. Ponieważ te wolne urządzenia miejskie przychodziły do nas z Niemiec, gdzie kwitły szczególnie w Magdeburgu, przeto objęto je u nas nazwą niemieckiego albo magdeburskiego prawa. W Polsce przy końcu XIII. wieku już było niemieckie prawo zupełnie rozwiniętem, kiedy na Rusi, gdzie wogóle władza książęca pozostała dość samowolną, zaledwie było w początkach. We Lwowie za ruskich czasów żyli mieszkańcy pod nieograniczoną władzą księcia i jego urzędników, a tylko garstka Niemców i Ormian miała część samorządu, mianowicie udzielne sądownictwo. Dopiero Kazimierz Wielki obdarza Lwów prawem niemieckiem, czyli zupełnym samorządem miejskim. Odtąd osada ta z paska książęcej opieki uwolniona samodzielne dopiero zaczyna życie — z wielkiej wsi staje się miastem w właściwem tego słowa znaczeniu. Nastąpiło to w r. 1356.

Nieograniczona władza urzędnika królewskiego czyli starosty objęła teraz we Lwowie tylko dawne ruskie miasto — odtąd »przedmieście Zamkowe« (Krakowskie) — tudzież wieśniaków na rozległych dobrach królewskich na Rusi. Ci byli poddanymi starostwa — w mieście Lwowie byli już tylko wolni obywatele, nad którymi władza starosty wykonywała jedynie królewskie zwierzchnictwo. Zresztą się sami rządzili, według prawideł, które poznamy bliżej.

Najdawniejszym dostojnikiem miejskim był jak wiadomo sędzia gminy, zwany wójtem (Vogt), od łacińskiego wyrazu advocatus, co znaczy obrońca prawny. Pierwszym wójtem był najczęściej ten przedsiębiorca, biegły w niemieckiem prawie, który za wolą księcia lub króla rozgraniczał i urządzał nową osadę. To prawo mianowania wójta zachowywał sobie panujący zwykle i nadal. Tak też było z początku we Lwowie: wójtowstwo otrzymywano przez nadanie monarchy. Dopiero Władysław Opolczyk pozwolił mieszczanom na wolny wybór wójta. Wójt w otoczeniu swojem miewał zawsze doradców, czyli tak zwanych ławników, bez których nie mógł żadnego wydać wyroku. Ci byli we Lwowie od samego początku wybieralni, z tą różnicą, że zrazu wybierano ich tylko pięciu, a później jedenastu. — Ława lwowska używała zawsze wysokiego poważania; to też prawa jej z czasem znakomicie rozszerzyli Jagiellonowie. Pozwolili jej sądzić nie tylko swoich lecz także obcych kupców, a złoczyńców niepokojących gościńce ścigać nie tylko w swojem mieście ale po całej Rusi — czynności które zrazu przysługiwały starostom. Wszystkie zaś miasta, większe i mniejsze, całej prowincyi miały się w razie odwołania od własnych sądów udawać po drugi wyrok do Lwowa.

Taką była władza sądownicza w mieście. Ale władzę sądowniczą, choć nie tak niezawisłą i nie tak obszerną, mieli już za czasów ruskich mieszczanie swoją własną. Po raz pierwszy jednak otrzymali od Kazimierza także własną władzę wykonawczą. Dawniej ją sprawował starosta — teraz cały zarząd miasta objęła wybierana przez mieszczan corocznie rada miejska, która sama z pomiędzy siebie wyznaczała burmistrza. Starosta królewski tylko zatwierdzał wybranych i przysięgę wierności od nich odbierał. Potem już sami utrzymywali porządek w mieście, zarządzali majątkiem gminnym, ściągali podatki. Większy to był nawet zakres działania niż dzisiaj, bo i obrona miasta, nad którą obecnie czuwa wojskowość, należała wówczas do rady. Nie należy sobie tylko wyobrażać,

że zasiadało w radzie miejskiej tak liczne grono obywateli jak dzisiaj. W najstarszem rozporządzeniu rady miejskiej występuje ona w składzie sześciu wszystkiego członków. I później nie więcej jak sześciu obywateli wybierano corocznie do rady, jednakże rajcy przeszłoroczni, zwani »starymi« rajcami, zapraszani bywali w ważniejszych wypadkach do udziału w czynnościach.

Jednakże zdarzały się czasem sprawy tak nowe i niezwyczajne, że ani dawnych rajców, ani ławników zdanie nie wystarczało jeszcze radzie miejskiej do powzięcia uchwały. Zaglądano do księgi prawa magdeburskiego, którą zwykle już



Fig. 4. Pieczęć radziecka z r. 1353.

pierwszy wójt ze sobą do miasta przynosił, tak jak misyonarz ewangelią. I w księdze prawa nie wszystko mogło być przewidziane. Zachodziła potrzeba ustanowienia całkiem nowego prawa. Wówczas zapytywano jeszcze o zdanie poważniejszych obywateli, szczególnie cechmistrzów, a nawet powoływano przed ratusz wszystkich wogóle mieszczan i pytano o zgodę. W ten sposób przyjęta ustawa nazywała się wilkierzem. To więc najobszerniejsze grono, które uchwalało wilkierz, ten »ogół obywateli« wykonywał władzę prawodawczą dla jednego miasta, tak jak ją dzisiaj sejmy dla całych krajów wykonują.

Miało więc miasto Lwów — jak zresztą wszystkie ówczesne — nie tylko samorząd w sądownictwie i w zarządzie, lecz także i w prawodawstwie.

Prócz Niemców, którzy wówczas właściwe mieszczaństwo Lwowa stanowili, znajdowali się jeszcze w naszem mieście, jak wiadomo, Ormianie, Rusini, Żydzi i Tatarzy. Należącym do tych narodowości mieszkańcom pozwolił Kazimierz, w razie jakiego sporu, albo do miejskiego udawać się urzędu, albo też używać własnych, na podstawie dawnych zwyczajów urządzonych, sądów — jednakże pod nadzorem władzy miejskiej. Tak więc samorząd udzielony przez Kazimierza naszemu miastu pojęty był jak najszlachetniej i najobszerniej, bo uwzględniał nawet odrębności pojedynczych części składowych Lwowa.

Ale samorząd, choćby jak obszerny, stanowił tylko jedną stronę królewskich nadań. Drugą stronę stanowiło wyposażenie, które dla miast polegało w gruntach, w pobieranych opłatach, a przedewszystkiem w prawach handlowych. Rzecz naturalna, bo każde kółko społeczne, kraj czy gmina, czy nawet stowarzyszenie potrzebuje do wykonania swoich celów jakowychś środków.

Miasto Lwów otrzymało od króla Kazimierza 70 łanów gruntu w posagu, które król później do całej setki uzupełnił. Zajmowały te łany przestrzeń od murów miejskich aż do dzisiejszych rogatek, ze wszystkich stron naokoło Lwowa, z wyjątkiem strony północnej, która należała do zamku. Władysław Jagiełło znakomicie tę posiadłość ziemską miasta rozszerzył, dodając mu poza owymi łanami aż do granic wsi sąsiednich jeszcze tak zwane »obszary«. Odtąd własność Lwowa zajęła blisko milową przestrzeń w promieniu, od rynku licząc na wschód, na zachód i na południe. Prawda, że owe łany Kazimierza były to tylko »lasy, gaje, łąki i pastwiska«, a te obszary Jagiełły tylko »pustkowia«, ale miasto mogło je wykarczować, obrobić i wogóle na jakikolwiek użytek obrócić, pomnażając przez to ich wartość. Trzeba było z nich tylko

mały czynsz do zamku opłacać, ale i ten wkrótce został zniesiony.

Dochody z pobieranych przez miasto Lwów opłat trzy miały główne źródła. Najważniejszem był podatek domowy, który pobierano od ilości okien frontowych. Stąd to dawne domy lwowskie mało posiadały okien od ulicy, zwykle nie więcej jak trzy. Drugiem źródłem dochodu miejskiego była propinacya t. j. wyłączne prawo sprzedaży gorących trunków: piwa, miodu, wina a później i wódki, odkąd ona powstała t. j. od XVI. wieku. Tylko miasto mogło handlować napojami, albo ten kto odeń za pewną opłatą otrzymał na to pozwolenie. Wreszcie trzeciem źródłem dochodu były rozliczne opłaty okolicznościowe, jako to: targowe, mostowe, rogatkowe (przy bramach miejskich): dalej opłata od wagi miejskiej, od wosku. który trzeba było wówczas cechować jak dzisiaj złoto — i wiele jeszcze innych.

Jednakże z wszystkich tych nadań, które zawdzięczali hojności Kazimierza i Jagiellonów niczego sobie tak bardzo nie cenili Lwowianie jak swoje prawo handlowe. Mniejsza o przywileje na jarmarki doroczne, bo te otrzymywała każda mieścina, ale prawdziwem okiem w głowie dla lwowskiego kupca było prawo składowe jego miasta. Polegało ono na tem, że każdy kupiec jadący przez Ruś (tam czy napowrót), obowiązany był wstąpić do Lwowa i tutaj swój towar najprzód wystawić na sprzedaż. Dopiero to, czego mu przez 2 tygodni nie wybrano we Lwowie, mógł sobie powieźć dalej. Można sobie wyobrazić, że mało który miał w takich warunkach ochotę wyprawiać się dalej jak do Lwowa. Stąd zaś wynikło, że wszystkie najcenniejsze towary wschodu otrzymywała Polska i Niemcy tylko przez Lwowian, a nawzajem wszystkie najlepsze wyroby zachodu otrzymywał wschód także tylko przez naszych kupców. Jest to nie co innego, jak monopol, czyli wyłączny, od wszelkiego współzawodnictwa obcego zabezpieczony, przywilej na handel wschodni. Istniał ten przywilej już za Kazimierza Wielkiego, ale go następni królowie

tak rozszerzyli i zabezpieczyli, że żadne inne miasto w Polsce nie mogło się tak obszernem poszczycić prawem składowem. Było to niewyczerpane źródło bogactwa dla Lwowa — prawdziwy przekaz na skarby wschodu.

Okres przywilejów królewskich trwał dla Lwowa właściwie tylko przez jeden wiek t. j. za Kazimierza i za dwu pierwszych Jagiellonów. Jednakże to co wówczas udzieliła hojna, ojcowska dłoń naszych królów, to były tak dobre podwaliny, że na nich najpiękniejsza mogła się oprzeć budowa. Mogła się oprzeć tem bardziej, że jeszcze owa szczodra ręka królewska była dość silną, aby zapewnić należyte wykonanie swoim nadaniom. Nie śmiał wdzierać się bezkarnie w posiadłości miejskie starosta, ani celnik wybierać nieprawnych opłat po drodze od kupca, ani usuwać się od ciężarów miejskich ksiądz czy też szlachcic mający dom we Lwowie. Mieszczaństwo lwowskie znalazło się tak na zewnątrz jak i na wewnątrz w doskonałych warunkach — trzeba było tylko dołożyć żwawej i zapobiegliwej pracy, aby jak najlepszych módz się spodziewać owoców.

6.

PIERWSZY ROZKWIT LWOWA.

I rzeczywiście nie opuścili rąk dawni Lwowianie. Mając tak korzystne dla życia miejskiego, a szczególnie dla rozwoju handlu i przemysłu, warunki, wzięli się z zapałem do pracy. Zrozumieli dobrze, że handel i przemysł to właściwe dla miasta pole działania, że od rozwoju tych dwóch gałęzi pracy społecznej zależy bogactwo, od bogactwa okazałość, znaczenie i potęga miasta.

Dwa były od najdawniejszych czasów, jakby od samej natury wskazane, handlu lwowskiego kierunki — te które się ku dwom najbliższym morzom zwracały, ku Czarnemu i Bałtyckiemu. Przystanie bowiem nadmorskie gromadzą w sobie towary rozległych światów. Nad Czarnem morzem znachodził

kupiec wszelakie płody wschodnich krajów, a nad Bałtyckiem w Gdańsku wyroby przemysłu z całego zachodu.

Jednakże za ruskich czasów dzieliły Lwów od jednego i od drugiego morza litewskie lub pruskie ziemie. Ażeby zapewnić swobodny przejazd kupcowi, trzeba było osobne zawierać umowy z Litwą i z Krzyżakami. Teraz runęły te wszystkie szranki; Litwa złączyła się z Polską, a ich zjednoczone siły powaliły o ziemię zakon krzyżowy i odebrały mu całe zachodnie Prusy. Nadto złożyli hołd książęta wołoscy Jagiellonom. Odtąd i w jedną i w drugą stronę aż do samego kresu szło się tylko krajami Jego królewskiej Mości. Dodajmy do tego przywilej składowy, a potrafimy zrozumieć, co za widoki otwierały się teraz dla handlowego rozwoju Lwowa!

Najbardziej ważnym był szlak czarnomorski; tędy spływał do Lwowa pokupny towar wschodu, tu dał się najlepiej wyzyskać przywilej składowy. Trzeba było sobie ten szlak udogodnić ile możności; trzeba było przedewszystkiem uzyskać korzystne warunki na Wołoszczyźnie. Zaczęły się więc z Wołochami układy, aż nareszcie wysłali Lwowianie swych najdzielniejszych mężów do Suczawy: Jana Sommersteina i Mikołaja Rusina i Ormianina Januszka, zwanego Tłómaczem (1407). Ci posłowie zawarli szczęśliwie obszerny traktat handlowy z mołdawskim wojewodą Aleksandrem; w dwa zaś lata później przyszedł podobny układ do skutku z księciem Mirczą, panującym w dalszej Wołoszczyźnie, czyli Multanach *. Treścią obu układów było, że za złożeniem niewielkiego cła, które do Suczawy mniej (6%), a w razie dalszych podróży więcej (10—18%) wynosiło, wolno jest kupcom lwowskim handlować po całej mołdawskiej i multańskiej ziemi wszystkimi towarami,

---

* Dzisiejsza Rumunia dzieli się na Mołdawię z głównem miastem Jassami i na Wołoszczyznę ze stolicą Bukaresztem. Dawniej Wołoszczyzną nazywano całość obu krajów, a dzisiejsza Wołoszczyzna zwała się Multanami. Dlatego żadną miarą nie można Mołdawii i Multan uważać za jedno i tosamo.

z pewnem tylko ograniczeniem co do koni szlachetniejszych, wosku, srebra i kun. — Późniejsi wojewodowie wołoscy potwierdzili owe przez Aleksandra i Mirczę zawarte umowy, a nawet rozszerzyli je na kupców »wszystkich innych miast Jego królewskiej Mości«. A tak Lwowianie nie tylko swojemu miastu ale i całej Rzeczypospolitej znakomitą oddali przysługę.

Rozwinął się tedy w XV. wieku bardzo ożywiony ruch handlowy po całej ziemi wołoskiej, a rej w nim zawsze wodzili Lwowianie. Toczyły się ciężkie wozy ormiańskie i małoco lżejsze niemieckie ze Lwowa, wiozące materye wełniane i aksamitne, sukno polskie i obce, płótno krośnieńskie albo litewskie i »mądre płótno« t. j. delikatniejsze zagraniczne, wreszcie rozmaitego rodzaju »kramne towary«. Do nich zaliczano: czapki, nogawice, pasy, płużne żelaza, sierpy, kosy i miecze, cynowe misy i dzbanki. Przez Halicz i Śniatyn prowadziła droga nad Prut, który pod Czerniowcami na promach przebywano. Z Czerniowiec kupcy nasi przybywali do Suczawy. W Suczawie mieli Lwowianie swój dom handlowy i swój własny wygodny zajazd, bo był w tem mieście główny skład wszelkich wołoskich towarów. Tutaj każdy swój towar nasamprzód wystawiał na sprzedaż, tu mógł się nawzajem zaopatrzyć w piękne wołoskie bydło, albo w rozliczne towary ze wschodu: w klejnoty, korzenie, tkaniny i w ozdobne wyroby ze skóry. Z »korzeni« kupowano najbardziej pieprz, imbir, muszkat, »kwas grecki« (cytryny), tymian (kadzidła), wreszcie owoce i wina; z tkanin jedwabie i kobierce a ze skórzanych wyrobów siodła i inne przybory na konia.

Niejeden kupiec poprzestał już na Suczawie, lecz bardziej przedsiębiorczy znacznie szli jeszcze dalej. Dążyli przez Jassy i przez Łopusznę do Białogrodu czyli Akermanu, gdzie Dniestr do Czarnego morza dopływa. Tam na granicy Mołdawii od Tatarów lepszy był niż w Suczawie wybór wschodniego towaru. A kto się jeszcze tatarskiem nie zadowolił pośrednictwem, ten jechał aż do Kaffy, kolonii genueńskiej na Krymie, która nad całym handlem czarnomorskim panowała.

Nadzwyczaj liczne i częste były stosunki Lwowian z Kaffą: niejeden sobie o niej i na śmiertelnem łożu przypomniał i opatrzył szczodrze tamtejsze kościoły. To była droga Dniestrowa. — Ale nie każdy kupiec, który dążył poza Suczawę wybierał drogę Dniestrową: niejeden wolał się raczej trzymać Dunaju. Taki wzdłuż Seretu spieszył ku ujściom tej rzeki, do Gałacu, Braiły i Kilii. W tych miastach portowych był niepośledni dostatek ryb lądowych i morskich, które wybornie we Lwowie przyrządzać umiano. Beczki ryb marynowanych, lewkiem tutejszym opatrzone, był to towar nie tylko w Polsce ale i za granicą poszukiwany nie mało. Niektórzy znowu tego naddunajskiego szlaku kupcy raczej się w górę rzeki puszczali, do Targowicy multańskiej po wosk, a stąd po srebro do siedmiogrodzkiej ziemi. Tych widywano potem, jak prowadzili swe małe górskie koniki, ciężko sakwami objuczone, przez dzikie wąwozy Karpat.

Cóż to za ruch był wówczas we Lwowie, gdy nasi kupcy z tem wszystkiem do rodzinnego gniazda wrócili! Szczególnie rojno było na rynku lwowskim w czasie dwóch wielkich jarmarków, po św. Agnieszce (21. stycznia) w zimie i po św. Trójcy (w czerwcu) w lecie. Wtenczas prócz szlachty okolicznej można było zobaczyć przybyszów z przeróżnych stron świata: Niemców w poważnych szubach, krótko opiętych Francuzów lub Włochów — zwłaszcza Genueńczyków — i kupców wschodnich w powłoczystych szatach. Ta różnobarwność tłumu dawała wówczas naszemu miastu jakiś prawdziwie wschodni charakter. A i to jeszcze wschód przywodziło na pamięć, że największe skarby mieściły się w lichych, często drewnianych kramach, jak się to dzieje po dziś dzień w sławnych bazarach Stambułu. Nawet apteki i księgarnie rozkładały swój towar w jarmarcznych budach na sprzedaż.

Kończył się jarmark i Lwów powracał do zwykłego spokoju, ale ruchliwy kupiec nie myślał o odpoczynku. Ładował na wozy pozostałe towary wschodnie, spędzał bydło, skupował zboże i kręgi wosku, dobierał kosztownych futer — i ruszał

pod jesień w przeciwną stronę, na północ. Tam w Prusiech, w Toruniu albo też w Gdańsku, wszystko się dało dobrze spieniężyć. Nawzajem były na sprzedaż norymberskie towary, postawy sukna z Holandyi lub z Anglii i przepiękne bryły bursztynu — słowem wszystko, co znowu Bałtyckie morze na swoich falach z zachodu przyniosło.



Fig. 5. Scena z życia miejskiego w XV. wieku.

Rozpatrując się w owym bogatym handlu lwowskim, narzucamy sobie prawie mimowolnie pytanie, czy handel ten o ile nie dotyczył zboża i innych płodów ojczystej ziemi, był wyłącznie handlem przewozowym? Czy kupiec lwowski rozporządzał tylko obcym towarem rękodzielniczym — czyli się także zasilał wyrobem rodzimego przemysłu? Słowem, czy za tą gromadką ruchliwych kupców stały także we Lwowie szeregi zręcznych rzemieślników? Bezwątpienia handel lwowski nosił przeważnie cechę przewozową, ale i to również nie

ulega wątpliwości, że posiłkowały go rozliczne gałęzie przemysłu, nawet takie, których dzisiaj nie mamy we Lwowie. Były postrzygalnie sukna, rozwinął się znacznie wyrób czapek, ale szczególnie zakwitły niektóre gałęzie przemysłu metalowego. Igły pierwszy raz w Polsce we Lwowie wyrabiać zaczęto, wylewano tu dzwony a nawet działa — a miecznicy tutejsi takiej używali sławy, że nie był uważany w naszej ojczyźnie za dobrego mistrza, kto się nie uczył we Lwowie, albo w Krakowie. Wszystkie te wyroby znachodziły szeroki odbyt na Wołoszczyźnie. Nawet złotnictwo już się coraz bardziej podnosić zaczęło, a kiedy Lwów za Kazimierza i Jagiellonów posiadał swoją własną mennicę, to nie zabrakło także i domorosłych mincarzy. Owe półgroszki z lewkiem bite dla Rusi i dla Lwowa wyrabiali nasi tutejsi Ormianie. —



Fig. 6. Półgrosz lwowski z lat 1404—1405.

Wszystkie te rzesze rzemieślników łączył w zwarte szeregi związek cechowy. Cechy na wewnątrz pilnowały dobroci wyrobu a na zewnątrz strzegły interesów stanu. We wszystkich ważniejszych sprawach powoływano wówczas cechmistrzów do rady.

Azatem nie tylko handel, ale i przemysł rozwinął się pięknie we Lwowie już w średnich wiekach. Lwów owoczesny był ożywiony przemysłem i handlem, był bogatym i z swem bogactwem bezpiecznym poza silnymi murami; stąd nic dziwnego, że nie małem się cieszył w swem społeczeństwie znaczeniem. W późniejszych czasach szlachcic z ukosa patrzał na mieszczan i nie chciał bliższych z nimi nawiązywać stosunków. Mieszczanom nie wolno było kupować dóbr ziemskich, ani

mieszać się do spraw ogólno-krajowych, które wyłącznym stały się udziałem szlachty. Ale za dobrych czasów Lwowa liczne są między mieszczaństwem a szlachtą małżeństwa, właściciele wsi mieszczańskiego pochodzenia nie rzadko się w ówczesnych aktach napotyka, a czasem nawet mieszczanin z wyboru samej szlachty piastuje urząd ziemski na Rusi. Że zaś także w sprawach krajowych nie odsuwała szlachta od udziału mieszczan, ale szła z nimi ręka w rękę, o tem liczne świadczą szczegóły — ale najbardziej z wszystkich wypadek, który jest znany w dziejach naszego kraju pod nazwą konfederacyi ruskiej.

Działo się to w roku 1464. Można rodzina Odrowążów ze Sprowy, która od lat kilkudziesięciu skupiła w swem ręku największe bogactwa i najwyższe urzędy na Rusi, nadużyła swojej potęgi do ucisku zarówno szlachty jak i mieszczaństwa lwowskiego. Wspólny interes zbliżył do siebie tem bardziej obydwa stany. Zjeżdża się tedy szlachta do Lwowa na radę i zawiera z miastem formalne przymierze — przymierze równych z równymi. Zastrzegając na czele dokumentu nieskazitelną wierność dla króla i korony polskiej, zobowiązują się »sprzymierzeni współbracia«: szlachta ruska i mieszczanie lwowscy, do wspólnej obrony przeciw każdemu nieprzyjacielowi, w razie jakiejkolwiek czyto procesowej, czy zbrojnej napaści. W razie walki orężnej cała szlachta pospolitem ruszeniem pospieszyć ma pod Lwów, a nawzajem wspólną twierdzą sprzymierzonych będzie to miasto, »na które się cała ziemia ruska w razie ostatecznej potrzeby jako na swoją ucieczkę ogląda«. Żaden sejmik szlachty nie może się odbyć bez udziału lwowskich rajców.

Przymierze szlachecko-miejskie wkrótce doprowadziło do pożądanego celu, 300 pozwów jak gdyby gradem spadło na Odrowążów. Król sam uznał za rzecz konieczną zjechać osobiście do Lwowa dla rozsądzenia sprawy. Wówczas Lwowianie znakomicie się do zwycięstwa sprzymierzonych przyczynili. Ziemia lwowska oddaną była Odrowążom w zastaw za pewną

koronie wypożyczoną kwotę. To sprzeciwiało się owemu przywilejowi z r. 1389, mocą którego obiecał król Jagiełło nikomu tej ziemi nie oddać w dzierżenie, lecz zawsze ją w bezpośredniej zachować łączności z koroną. Szlachta o tym przywileju zapomniała, ale mieszczanie dobrze go w swojem archiwum przechowali — i oto teraz w stanowczej chwili rozwinęli cenny pergamin przed królewskim sądem. Sprawa Odrowążów była przegrana — chodziło tylko o złożenie dłużnej sumy, aby się pozbyć ciemięzców. Podjęła się tego chętnie szlachta. Ziemia lwowska wykupioną została z rąk Odrowążów, a starostwo lwowskie, główna podstawa ich władzy — znacznie pod względem obszaru i władzy okrojone — dostało się w inne ręce. Taki był doraźny skutek przymierza: na przyszłość zaś ugruntowało ono jeszcze na długie lata powagę mieszczaństwa lwowskiego w stosunku do szlachty. Jeszcze po dziś dzień przechowuje się w archiwum miejskiem okazały dokument konfederacyi wydany miastu przez szlachtę i kilkudziesięcioma jej pieczęciami obwieszony, jako cenna pamiątka potęgi i znaczenia Lwowa w Jagiellońskich czasach.

7.

WIDOK ŚREDNIOWIECZNEGO LWOWA.

W historyi konfederacyi lwowskiej mieliśmy właśnie sposobność poznać jak wiele Lwów średniowieczny zawdzięczał temu, że był fortecą. W owych czasach ognisko przemysłu i handlu musiało się obwarować, aby być i dla siebie bezpiecznem i przez sąsiadów cenionem jako ucieczka w razie potrzeby. To też pozór forteczny to główna cecha średniowiecznego Lwowa. Wszystko tu skupione i w obronnej pozycyi, wszystko ciasne, mocne i ciężkie — zacząwszy od murów i zamków a skończywszy na domach, a nawet wewnętrznem ich urządzeniu. Dopiero poza bramami twierdzy uśmiechały się pośród wesołej zieleni swobodnie rozrzucone domki — lecz

to już nie była część miasta, a tylko jemu podległa posiadłość.

Kiedy w czasie drugiej wojny o Ruś Lubart z dymem puścił stolicę ruskich kniaziów, postanowił Kazimierz Wielki na innem miejscu Lwów odbudować. Z Podzamcza przeniósł go tam gdzie dotychczas stoi śródmieście. Wówczas wytyczono nasz rozległy rynek, a w pewnej odeń odległości zakreślony był z czterech stron obwód miasta wałami. Te wały jeszcze po dziś dzień się zachowały od wschodu i od zachodu, chociaż już przemienione na miejsce przechadzki. Natomiast od północy, na placu Strzeleckim, niema z nich ani śladu, a na południu na ulicy Wałowej jeszcze tylko kawałek szkarpu wzdłuż bernardyńskiego gimnazyum widoczny. Przed wałami od strony zachodniej płynęła Pełtew, a z innych stron wykopane były głębokie fosy, do których napełnienia użyto dwóch płynących dawniej przez plac Strzelecki i plac Bernardyński strumieni.

Na fosie i wałach lub palisadach drewnianych kończyło się za ruskich czasów obwarowanie — obecnie otrzymał Lwów, wzorem zachodnich miast, jeszcze i mury. Mur był przed wałem (od strony miasta), więc jeden bok ciągnął się tędy gdzie dzisiaj szereg kamienic Podwala, drugi gdzie ulica Skarbkowska, trzeci gdzie Hetmańska a czwarty gdzie Sobieskiego ulica. Na tem obwarowaniu, które stało już za czasów Kazimierza Wielkiego, nie poprzestały jednak wieki późniejsze. W epoce Jagiellońskiej wzmocniono mur miejscami drugim murem, wały palisadami, a całość 17ma potężnemi basztami. Przez 35 lat trwała budowa, mimo hojnej pomocy królewskiej: dopiero w r. 1445. rozdano pod opiekę i obronę cechów wykończone już baszty *.

---

* Baszty te w następujący sposób były rozłożone: 1. Kusznierska (na Krakowskiej bramie). 2. Miechowników, mydlarzy i blacharzy (naprzeciw kościoła NP. Maryi). 3. Mieczników. 4. Tkaczów. 5. Czapników i siodlarzy. 6. Piwo- i miodowarów. 7. Ry-

W całem tem murowanem zamknięciu fortecznem dwie tylko zostawione były do miasta bramy: jedna zaraz za przecięciem ulicy Halickiej z ulicą Sobieskiego, druga na Krakowskiem tuż za dzisiejszą nową cerkwią. Rozumie się, że każdej bramie odpowiadała druga zewnętrzna w wale, tak że obydwie były podwójne, tak Halicka jak i Krakowska brama.



Fig. 7. Wysoki Zamek za polskich czasów.

Oprócz wałów, murów i baszt wchodziły jeszcze w skład warowni lwowskiej dwa zamki. Zamiast dawnego drewnianego grodu książęcia Lwa, wymurował Kazimierz Wielki na najwyższym szczycie lwowskiej góry (na szczycie dzisiaj kopco-

---

marska (róg Dominikański). 8. Murarzy, powroźników i tokarzy. 9. Szewska (róg Bernardyński). 10. Garncarzy i kotlarzy. 11. Krawców (na Halickiej bramie). 12. Złotnicza. 13. Rzeźnicka. 14. Stolarzy, bednarzy i stelmachów. 15. Kowali, ślusarzy i iglarzy. 16. Kramarzy. 17. Piekarska (której resztki w r. 1836. przy stawianiu teatru Skarbka rozebrano).

wym) zamek z kamienia i cegły. Kształt jego »do muzycznej lutni podobny, której wierzch węziej nad miasto się wznosi, środek zaś obszerniejszy pomieszkania i sypialne izby zawiera«*. Tu składy sprzętów i przyborów wojennych, stąd czujnem okiem warta połowę Rusi ogarnia. Główna to starosty lwowskiego warownia. Ale nie sposób na Wysokim Zamku stale zamieszkać, bo wicher po kilka razy do roku kawałki dachu obrywa, a przytem dokucza brak wody. Dlatego na mieszkanie starosty przeznaczył Kazimierz drugi zamek, który na dole w obrębie murów miejskich zbudował (zamek niski). Zajmował on północno-zachodni narożnik miasta, na przestrzeni od szkoły przemysłowej aż do teatru (plac Castrum). Tu znajdowały się pokoje królewskie, które monarcha w czasie pobytu we Lwowie zajmował, tutaj mieszkanie i kancelarya starosty i kaplica pod wezwaniem św. Katarzyny. W kancelaryi starostwa czyli grodu lwowskiego złożone były akta tudzież księgi grodzkie i ziemskie, w których szlachta całej ziemi lwowskiej swe sprawy sądowe, a starostowie tutejsi królewskie i swoje własne zarządzenia spisywali.

Wchodzimy do miasta, aby je oglądnąć, takiem, jakiem było za Jagiellońskich czasów. Lwów bowiem Kazimierzowski, Lwów drewniany, spłonął znowu do szczętu w r. 1381. Prawda, że i z Jagiellońskiej epoki prawie wszystko zniknęło obecnie, ale pozostały przecież bodaj opisy i rysunki z czasów kiedy jeszcze niejedno stało i zachował się po dzień dzisiejszy jeden przynajmniej gmach poważny i okazały — a tym jest nasza katedra.

Kiedy Kazimierz Wielki zajął Lwów — powiada stara zapiska archiwalna — nie znalazł w nim ani jednego kościoła, w którymby dzięki mógł złożyć Bogu za zwycięstwo. Zapewne

---

* Zimorowicz: »Kronika« str. 100. Przez wierzch rozumie Zimorowicz trzon a przez środek pudło lutni. Z owego trzonu pozostał jeszcze do dzisiaj kawał muru, środek był w tem miejscu gdzie kopiec.

więc ów dawny kościółek św. Jana odebrali z czasem łacinnikom Rusini. Zresztą była to tylko kaplica, a teraz potrzebny już był kościół parafialny. Dlatego chociaż się kościółek świętojański nie utrzymał w ręku Rusinów, to jednak założył Kazimierz nowy, obszerniejszy, kościół pod wezwaniem NPanny, na dzisiejszem Krakowskiem przedmieściu*. Jednakże wkrótce Lwów przeniesiono, jak wiemy, na inne miejsce, tak że kościół NPanny został poza murami. Trzeba więc było pomyśleć o wybudowaniu znowu innego w obrębie murów kościoła.

Tę nową budowę rozpoczęto od razu w okazalszych rozmiarach, ponieważ miał to już być kościół katedralny. Jednakże wkrótce doznała budowa katedry dłuższej przerwy, ponieważ Ojciec św., zakładając arcybiskupstwo łacińskie na Rusi, wolał przeznaczyć mu na stolicę Halicz niżeli Lwów, o którym nie wiedział dobrze, »co to jest za wieś czy miasto«. Dopiero od czasu przeniesienia stolicy arcybiskupiej z Halicza do Lwowa — co w r. 1414. nastąpiło — podjęto na nowo zaniedbaną chwilowo pracę. Ale i tak jeszcze całych 65 lat upłynęło, zanim przyszło do zasklepienia katedry. Dokonał tego dzieła chwalebnie mistrz wrocławski Joachim Prom. Przez cały czas budowy mieszczanie lwowscy hojnie ją swą ofiarnością i swoim trudem popierali, szczególnie zaś burmistrz i budowniczy Piotr Stecher. Ostrołukowe, wysmukłe kształty naszej katedry, z jej dobrze wykończonem, zwłaszcza w kapłańskiej części, sklepieniem — oto jedyny w naszem mieście zabytek gotyckiego stylu, a zarazem cenna pamiątka uczciwej starodawnych Lwowian zapobiegliwości.

W owym okresie wszystko gotyckim stylem budowano. W gotyckie więc kształty przyoblekły się także dwa inne najstarsze w obrębie śródmieścia kościoły, odkąd już drewnianymi być przestały. Są to świątynie dwóch najdawniej na Rusi osiadłych a pokrewnych sobie zakonów katolickich: Dominika-

* Dzisiaj kościół ten już tak jest przez późniejsze czasy przekształcony, że z pierwotnej budowy nie widać w nim ani śladu.

nów i Franciszkanów. Dominikanie byli w tem samem miejscu co dzisiaj, franciszkański zaś kościół św. Krzyża wprost naprzeciwko po drugiej stronie miasta się wznosił, w tem miejscu gdzie dzisiaj przemysłowa szkoła. Obydwa kościoły były z czerwonej zbudowane cegły i zwracały się ku ulicy swoim wysokim, schodkowo wycinanym a drobnemi wieżyczkami ozdobionym szczytem. Ten sam to styl, jaki nam po dziś dzień przedstawiają owe starożytne kościoły krakowskie, na które z taką czcią spoglądamy.

Więcej kościołów * naówczas we Lwowie nie było, a tylko jeszcze szpital z kaplicą św. Ducha, na miejscu gdzie obecnie ulica Kilińskiego i drugi mniejszy szpitalik z kościółkiem św. Stanisława na dzisiejszej ulicy tej nazwy. Kościółek św. Stanisława, choć kształt swój ostateczny otrzymał dopiero w pierwszych latach XVI. wieku, to jednak jeszcze w gotyckim stylu był wystawiony, a »z takim kunsztem, iż nawet najbieglejsi w sztuce budowniczej mistrzowie znachodzili w nim niejedno podziwienia godne« *.

Sądząc po kościołach, a znając bogactwo mieszczan, możnaby sobie Lwów ówczesny wyobrażać daleko okazalszym, niżeli był rzeczywiście. Jednakże w owych pobożnych czasach większą daleko zwracano uwagę na okazałość domów Bożych a mniejszą na pokaźność i wygodę mieszkań, niż dzisiaj. Każdy wolał raczej ograniczyć się w życiu, aby módz potem część swego majątku poświęcić pobożnym fundacyom. Ta okoliczność więcej jeszcze daleko aniżeli niewyrobienie ówczesnych

---

* Mamy tu na myśli kościoły łacińskie, gdyż kościoły innych wyznań były drewniane, z wyjątkiem tylko katedry Ormiańskiej, o której dawniejszym kształcie nie mamy jednak wiadomości.

** Jana Alembeka, mieszczanina lwowskiego, opis Lwowa, umieszczony w dziele Brauna: Civitates orbis terrarum (Miasta świata) Kolonia 1597—1618. Tom VI., str. 49. Wciągnął ten opis także Zimorowicz do swojej Kroniki (str. 357, w wydaniu lwowskiem z r. 1835).

rzemiósł wpłynęła na większą niż dzisiaj różnicę okazałości między kościelnymi a świeckimi gmachami.

Najprędzej ze wszystkich części rozwijał się rynek w starodawnym Lwowie. Była to bowiem właściwa siedziba miejskiego patrycyatu — owych wzbogaconych w dalekich podróżach kupców. Jednakże i tu, nawet już po owym pożarze z r. 1381, nawet jeszcze w ciągu XV. wieku, znaleść było można obok kamienic także domki o glinianych (pruskich) ścianach i z mnóstwem drewnianych przybudowek w obejściu — tak w rzędach jak też i na samym środku placu obok ratusza. A nawet owych murowanych kamienic rynkowych nie należy sobie przedstawiać w zbyt okazałej postaci. Wszystkie w gotyckim stylu zbudowane, zwracały się ku ulicy węższą stroną, opatrzoną wysokim szczytem; były najczęściej nietynkowane, a od drugiej połowy XV. wieku pokryte dachówką. Na zewnątrz dosyć pokaźnie to wyglądało, ale poznajmy bliżej wewnętrzne urządzenie. Przedewszystkiem nie były okna oszklone; kto chciał mieć jasno w pokoju ten musiał je trzymać otwarte, kto je zamknął, temu tylko szczupłe światełko wpadało do izby przez wycięcia okiennic, opatrzone błoną, albo też mglistą szybką. Dopiero później pozostawiano powyżej okiennic szereg niewielkich szyb, jak się to dzieje dzisiaj ponad bramami. Na zupełne oszklenie pozwalali sobie tylko bogaci, wprawiając w ołowianą siatkę drobne kolorowe szyby, podobnie jak to bywało w kościołach. Niesposobności okna odpowiadało wewnętrzne urządzenie komnaty. Skrzynia i ławka oto zasadnicze sprzęty ówczesne; ławka podwyższona to stół, ławka rozszerzona to łóżko średniowieczne, pozbawione przedniej i tylnej ściany. Całą ozdobą bogatszych mieszkań były opony i kobierce, rozścielane obficie na podłodze, na ścianach i sprzętach przy sposobności większego przyjęcia.

Jeżeli tak wyglądało w rynku, to można sobie łatwo wyobrazić, że daleko skromniej było w ulicach miasta, gdzie głównie mieszkali rzemieślnicy. Tu już przeważały stanowczo budynki drewniane, poprzestające na błonach z pęcherza lub

pergaminu, pozbawione ozdoby kobierców. Nic bardziej nie cechuje młodzieńczego jeszcze stanu miasta, jak to, że ledwie kilka ulic miało już stałe nazwanie, a zresztą posługiwano się opisaniem, zwyczajnem w małych miasteczkach. I tak stałe nazwy miały tylko ulice: Halicka, Tatarska (t. j. Krakowska od Tatarów za Krakowską bramą mieszkających), Ormiańska, Ruska i Żydowska (dzisiaj Blacharska). Zresztą mówiono: ulica »przed niskim zamkiem«, albo »koło Dominikanów«, albo »jak się idzie do łaźni«* i t. p. Z tego utworzyły się z czasem ulice: Grodzka (dziś Teatralna), Dominikańska (albo Bożego Ciała), Łaziebna (dziś plac św. Ducha wzdłuż Jezuitów) i t. p. Wreszcie w dalszym rozwoju powstały ulice nazwane od zatrudnień. Był bowiem zwyczaj naówczas, że jednego rodzaju rzemieślnicy na jednej mieszkali ulicy. Stąd wzięły nazwanie trzy równoległe do siebie ulice: Szewska, Piekarska i Rzeźnicka (t. j. Trybunalska, tudzież części Ormiańskiej i Skarbkowskiej ulicy od Krakowskiego do Wałów). Rzeźnicy bili bydło nad fosą miejską tuż obok swojej ulicy, a pędzili je swobodnie przez dzisiejszą Zerwanicę, która się wówczas »bydlęcą drogą« nazywała**.

Do tego wszystkiego dodać należy pierwotny stan porządków miejskich. Dopiero w połowie XV. wieku zastąpiono drewniane kładki brukiem w rynku, a przy końcu XV. wieku w ulicach. Od wprowadzenia bruku czyszczenie i zamiatanie

---

* Łaźnia był to naówczas bardzo ważny zakład w każdem mieście, gdyż w średnich wiekach wszyscy jak najczęściej tego rodzaju kąpieli używali. Kiedy król Jagiełło odstąpił miastu wyłączne prawo utrzymywania łazien, to zastrzegł sobie, aby załoga zamkowa co środy w jednej z nich mogła bezpłatnej kąpieli używać — a i uczniowie szkoły miejskiej co tydzień gromadnie prowadzeni byli przez swego nauczyciela do łaźni.

** Kanonik Pirawski żyjący na początku XVII. wieku skarży się w swoim opisie archidyecezyi lwowskiej (Materyały hist. wyd. p. tow. hist. t. II., str. 99) na ten niesłychany porządek, że rzeźnicy nawet w samych jatkach tuż pod katedrą zabijali bydło.

miasta odbywało się raz na tydzień; przedtem dwa razy tylko do roku przed Wielkanocą i około św. Michała. Naczelny dozór nad tą czynnością był powierzony katowi. Za wielki postęp w tych czasach poczytać należy, że pomyślano już o wodociągach i o kanałach. Rury do tego potrzebne były gliniane, a dla ich wyrobu powstało nawet osobne rzemiosło »rurmistrzów«. Najbardziej zaniedbanem było oświetlenie miasta, bo ograniczało się na trzech latarniach, które stróże nocni trzymali na ratuszu w pogotowiu na wypadek ognia. Kto się do domu zapóźnił, ten musiał sam sobie przyświecać pochodnią albo latarnią.

Wyszedłszy za bramy miejskie napotykało się przed każdą po jednym młynie, które pędziły owe potoki wpadające później do fosy. Tu się już zaczynały oba przedmieścia: Krakowskie (zamkowe) było dawniejsze od miasta, Halickie przy końcu XIV. wieku powstało. Nazywało się zrazu po prostu »miejskiem« przedmieściem, w przeciwstawieniu do »zamkowego«, później dopiero halickiem. Kończyło się figurą Pana Jezusa na krzyżu, która stała na moście gdzieś w okolicy Kręconych Słupów, a obdarzona była odpustami przez arcybiskupa Grzegorza z Sanoka. Przedmieście zapełniały liche domki zagrodników wśród pól i ogrodów stojące, z których najpokaźniejsze jeszcze i główny niejako trzon przedmieścia stanowiące należały do garncarzy*. O ulicach tu mowy być nie może; były tylko drogi: droga Sokolnicka (ul. Kopernika), Sichowska (Zielona), Gliniańska (Łyczakowska). Oba przedmieścia nie łączyły się nawet ze sobą, bo jeszcze na pagórkowatych gruntach od wschodu i na moczarzystych od zachodu miasta, ledwie gdzie jaki świecił się domek.

Były to jeszcze słabe początki, jednakże bądź co bądź ożywiły się już owe łany, który niedawno temu Kazimierz Wielki nadawał miastu jako »lasy, gaje, łąki i pastwiska«.

---

* Część Garncarska, później ul. Garncarska, to dzisiejsza ul. Batorego.

Tak samo nie pozwolili Lwowianie długo leżeć odłogiem tym pustkom, które im Władysław Jagiełło pod nazwą obszarów darował (1415). Prawie natychmiast po nadaniu zaczyna się żywy ruch osadniczy. Burmistrz Zimmermann zakłada Hołosko (Hołowsko) wielkie, zięć jego Januszko Tłumacz Hołosko małe, Sommersteinowie Zamarstynów (Sommersteinhof), Klopper Kleparów (Klopperhof), Goldberg Kulparków (Goldberghof), Eisenhüttel osadę w okolicy dzisiejszych Sakramentek, wreszcie miasto samo wieś Brzuchowice. A wszystko to stało się w niewielkim przeciągu lat 30, wszystkiego dokonało jedno i to samo pokolenie tych naszych zapobiegliwych Niemców średniowiecznych. Prawda, że były to na razie prawie tylko folwarki, jak już same nazwy pierwotne wskazują, ale bardzo je prędko rozwinęli Lwowianie, a prócz tego dokupili jeszcze z czasem niektóre wioski, jak Rokitno, Zubrzę i Sichów.

Takim był widok Lwowa w połowie XV. stulecia. Być może, że widok ten zawiedzie niejedno oczekiwanie. Jednakże przedewszystkiem trzeba mieć na względzie młodość tego miasta, które nie więcej jak 100 lat istnienia i nie więcej jak 8—10 tysięcy mieszkańców (wraz z przedmieściami) liczyło*. Powtóre zaś nie należy przykładać miary dzisiejszej do miast średniowiecznych. Lwów XV. stulecia wytrzymuje porównanie z innemi miastami tego czasu i tej wielkości, a przytem w życiu jego widoczny jest ciągły rozwój i ciągły postęp — a przeto pomimo swej średniowiecznej surowości pociąga ku sobie tak samo i umysł i serce jak świeża młodość, mimo całego swego niewyrobienia.

---

* Najstarszy spis podatkowy z r. 1405. przytacza opłacających podatek mieszczan 534, zaś Ormian 63 — razem około 600 ojców rodzin. Licząc każdą rodzinę przeciętnie po 5 osób, otrzymamy (600×5) 3000 ludzi. Do tego należy dodać drugie tyle na rachunek nie policzonych tu jeszcze zarobników, Żydów i obcych. Dla obu przedmieść nie można większej ludności przypuszczać, jak zaludnienie 2 rozległych wsi (t. j. ok. 2000). Wszystko razem 8000,



Fig. 8. Katedra od strony rynku.

8.

UPADEK ŚREDNIOWIECZNEGO LWOWA.

Kiedy umarł Władysław Jagiełło (1434), uchwaliła rada miejska we Lwowie zawiesić huczniejsze zabawy i tańce na przeciąg całego roku. Gdy zaś nadeszła do Polski wiadomość pełna grozy o klęsce warneńskiej i bohaterskim zgonie młodego następcy Jagiełły (1444), wyprawiło nasze miasto zaufanego posłańca do wschodnich krajów, celem poszukiwania, czy się gdzieś przypadkowo król nie ocalił z pogromu. Lwów jakby rozpamiętywał minione lepsze chwile, i jak gdyby szukał straconego szczęścia. Szukał niestety daremnie.

Wiadomość o śmierci króla Polski i Węgier Władysława na polu klęski warneńskiej była straszliwą prawdą: i gdyby się nawet ze stwierdzeniem nieszczęścia nie byli kwapili Lwowianie, samo w najkrótszym czasie miało zajrzeć im w oczy. Najbliższym skutkiem przegranej pod Warną było rozpostarcie potęgi tureckiej po całym półwyspie Bałkańskim. W r. 1453 Konstantynopol ze stolicy cesarstwa greckiego staje się rezydencyą sułtanów — i oto w tym samym czasie zapłonęły przedmieścia Lwowa od łuny wznieconej przez Tatarów, a w mieście zaroiło się od uciekających z pola rolników. Była to jakby zapowiedź, że chmura tatarska, która za pierwszych Jagiellonów znikła chwilowo z naszego widnokręgu, znów groźnie wisi nad Rusią.

Wkrótce nie omieszkały zaznaczyć się i dalsze następstwa warneńskiej klęski. Turcy, stawszy się panami czarnomorskich brzegów, zaczęli podcinać jedną po drugiej żyły handlu lwowskiego. W r. 1475 uległa im Kaffa, owa kolonia genueńska na półwyspie krymskim, gdzie Lwowianie z dawien dawna mieli bogate składy. W kilka lat potem przeszły pod berło

---

nieco później może 10.000 — zaludnienie, jakiem się dzisiaj poszczycić może Gródek lub Złoczów.

sułtana Kilia tudzież Białogród, dwa porty wołoskie przy ujściach Dunaju i Dniestru, znane nam dobrze jako punkta kresowe dwóch lwowskich handlowych szlaków. Kupcy zaczęli uciekać z Wołoszczyzny, towary przepadały. Wówczas to zbankrutowały lub podupadły najznakomitsze rodziny średniowiecznego Lwowa. Po kilka razy musiał następca Warneńczyka Kazimierz Jagiellończyk uwalniać zubożałe miasto od podatków państwowych, przeznaczając pieniądze, które wpłynąć miały do skarbu królewskiego, na rzecz obrony miasta.

Lecz na tem jeszcze nie koniec zaborów tureckich. Niebawem nadszedł czas, kiedy się miało rozchodzić już nie o jedno albo dwa miasta ale o losy całej wołoskiej ziemi. Turcy ją zapragnęli shołdować, więc ówczesny wojewoda Mołdawii Stefan Chrobry wznowił dawne stosunki z Polską, złożył hołd królowi w Kołomyi i poprosił usilnie o pomoc. Kazimierz Jagiellończyk udzielił pomocy Stefanowi, która się rzeczywiście znacznie do obrony Mołdawii przyczyniła. Ale nie na długo się to przydało. Turcy ponowili usiłowania swoje, a królowie nasi widząc niedostateczność dotychczasowych środków, powzięli plan wielkiej wyprawy na Wołoszczyznę, celem przełamania wpływów tureckich a utwierdzenia polskich. Ostatecznym kresem wyprawy miało być odebranie Turkom Białogrodu i Kilii. Plan tak doniosły powstał już w ostatnich latach Kazimierza Jagiellończyka, ale do wykonania przyszło dopiero za rządów jego następcy Jana Olbrachta.

Nowy król, żądny czynu i chwały, zaprawiony już za życia ojca do boju walką z Tatarstwem, podjął się odważnie niebezpiecznego przedsięwzięcia. Chwila zdawała się być jak najlepiej obraną. Na tronie Czech i Węgier zasiadał starszy brat Olbrachta Władysław, młodszy Aleksander, wielki książę litewski, zabezpieczył się właśnie od Rosyi, pojąwszy córkę cara w małżeństwo. Wydał więc Jan Olbracht z wiosną roku 1497 wici, zwołujące na dzień 1. maja pospolite ruszenie pod Lwów. Cała potęga Polski rozwinęła się wtedy pod Lwowem. Szły hufce Wielko- i Małopolan, Dobrzynian i Rusinów:

przybywali na czele wojsk swoich lennicy Polski, posłuszni królewskim rozkazom. Więc naprzód ciągnęły oddziały książąt mazowieckich, a potem przesuwali się przez bramy Lwowa jacyś nieznani z dalekich stron rycerze. Całkiem byli zakuci w żelazo od stopy do głowy, na zbrojach mieli białe płaszcze z czarnymi krzyżami. Było ich 500, na czele mąż szczupły a poważny w podeszłym wieku. Szli w milczeniu; z uszanowaniem witali ich nasi lwowscy Niemcy, lecz oddział dobrzyński pochłaniał ich wzrokiem pełnym nienawiści. To Krzyżacy z swym wielkim mistrzem na czele: ci sami Krzyżacy którzy tak długo dali się Polsce całej a Dobrzyniowi szczególnie we znaki, a których ojciec Olbrachta po 13-letnich krwawych zapasach z nieprzyjaciół w poddanych Polski przemienił. — Wszystkiego razem wojska było pod Lwowem blisko 80.000. Każdy oddział szedł zbrojno, strojno i dostatnio: samych wozów liczono przy wojsku 20.000. Na czele tego wszystkiego król młody, tryskający zdrowiem i siłą. Co za nadzieje podnosiły naówczas pierś Lwowianina!

Niestety jeszcze wicher jesienny z drzew wszystkich liści nie strącił, kiedy z świetnego wojska wracały tylko marne niedobitki. Wołosi, niedowierzając Olbrachtowi, oświadczyli się w ostatniej chwili za Turcyą, a podciąwszy w zasadzce drzewa, zadali straszną klęskę wojsku polskiemu w lasach bukowińskich. Sam król powracał taki schorzały, że się z trudnością tylko trzymał na koniu, więc mu miasto nasze ofiarowało w darze czterokonną kolasę. Z wiosną roku następnego (1498) rozpoczął się cały szereg ciężkich klęsk dla Rusi. Stefan wojewoda mołdawski, zwycięzca Olbrachta uderzył o mury Lwowa: odparty dzielnie przez mieszczan spalił przedmieścia i kraj okropnie spustoszył. Potem zwalili się Tatarzy, potem Turcy, i tak to trwało przez lat kilka.

Z Turkami niebawem przyszło do rozejmu, ale Wołosi dłużej wojowali. W 12 lat po Stefanie (1509) syn jego Bohdan znów bezskutecznie do Lwowa szturmował. Strzelby i działa nabyte za pieniądze podatkowe, które niegdyś miastu odstąpił

Kazimierz, teraz doskonałą oddały przysługę. Nie puścił także płazem owych najazdów następca Olbrachta król Zygmunt i niejednokrotnie przeciw Wołochom wyprawiał dzielne zastępy. Lecz choć już więcej do Lwowa nie doszedł nieprzyjaciel, to jednak długo się jeszcze ciągnęły te boje, aż póki sławny nasz hetman Tarnowski stanowczego nie zadał Wołochom ciosu, w bitwie pod Obertynem (1531 r.).

Uspokoiła się wreszcie granica wołoska, ale zabiegi Jagiellonów około uratowania Polsce handlu czarnomorskiego spełzły niestety na niczem. Ciosów, które podkopały handel lwowski w drugiej połowie XV. wieku, już nikt odwrócić nie zdołał; pogorszenie stosunków stało się trwałem. Mołdawia nie tylko nie została związaną ściślejszymi węzłami z Polską, lecz owszem złożyła hołd Turcyi i odtąd w coraz większą popadła od niej zawisłość. U granic Podola i Ukrainy rozwielmożniło się Tatarstwo. Kupiec lwowski, kiedy wyjechał szukać wschodniego towaru, narażony był teraz na obrabowanie przez Turków, Tatarów a nieraz i przez Wołochów.

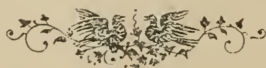
Ba nawet we własnym domu mąciły odtąd Lwowianinowi spokój nieprzyjacielskie zagony. Stąd Lwów skurczył się i wciągnął za swoje mury, jak ślimak do swej skorupy. Po napadzie Stefana wojewody musiano zarządzić, aby się nikt nie budował w około murów miejskich na odległość strzału z armaty. Domki bowiem przed murami stojące mogły w czasie oblężenia służyć nieprzyjacielowi za schronienie, albo podpalone przenosić ogień do miasta. Podkopało to raz na zawsze rozwój przedmieść. Bo chociaż tego zarządzenia nie przestrzegano ściśle we Lwowie, to nieprzyjaciel sam pomagał do jego wykonania, zmiatając za każdym napadem przedmiejskie domki z powierzchni ziemi.

Jest przysłowie pomiędzy ludźmi, że nieszczęście nigdy samo nie chodzi. Jakby na sprawdzenie tego przysłowia Lwów w tym okresie trwogi nieprzyjacielskiej nawiedza jeszcze klęska częstego pożaru. Nie licząc ogni przez nieprzyjaciół pod murami wzniecanych, pięć razy paliło się miasto w ciągu lat

pięćdziesięciu od czasu upadku Kaffy. Przyczyną była zazwyczaj nieostrożność; a dwie osobliwie strony miasta miały szczególniejsze nieszczęście do ognia: róg północno-zachodni w pobliżu niskiego zamku, i część południowo-wschodnia. przez żydów zamieszkała. I ostatni a największy z tych pożarów rozpoczął się także w stronie Lwowa północno-zachodniej.

Było to w lecie, około św. Jana r. 1527, gdy w browarze naprzeciw Franciszkanów, t. j. mniej więcej w tem miejscu gdzie dzisiaj muzeum Dzieduszyckich, wybuchnął pożar. Wiatr był, jak zwykle we Lwowie, zachodni, więc poniósł ogień na Krakowską i na Ormiańską ulicę. Była zaś siła wiatru tak wielka, że głownie z płonącej baszty krakowskiej leciały aż na Wysoki Zamek, z Zamku aż na Zniesienie. Z drugiej strony browaru płomień ogarnął ulicę Grodzką (t. j. dzisiejszą Teatralną), potem Halicką ulicę. W rynku się oba ogniste potoki połączyły i ze zdwojoną siłą uderzyły na pozostałe jeszcze ulice we wschodniej części Lwowa. Z całego miasta nic nie zostało tylko kościoły, ratusz ze swoją wieżą i jeden jedyny dom mieszczanina Jana Brody. Zresztą wszystko leżało w ruinie albo w popiele. Rozpacz taka ogarnęła mieszkańców, że gdyby nie starania rady miejskiej i nie uwolnienia podatkowe ze strony króla, byliby opuścili raz na zawsze dymiące się zgliszcza.

Starania władz zatrzymały mieszkańców na miejscu — lecz to, co się po latach znowu podniosło z popiołów, to było już całkiem odmienne miasto. Ogień zmiatał z powierzchni ziemi już drugą warstwę cywilizacyjną, Lwów niemiecki, jak niegdyś zgładził Lwów ruski. Z tego Lwowa, który był stacyą handlową Genueńczyków, który mówił niemieckim językiem a w ostrołukowe kształty był obleczony, nie pozostało dzisiaj w istocie nie więcej jak tylko sama jedna katedra. Co zresztą jeszcze ogień oszczędził, w części albo w całości, to przekształciły w swoim sposobie wieki późniejsze.



CZĘŚĆ II.

ŚREDNIA EPOKA LWOWA.

(1527—1772).

9.

SPOLSZCZENIE LWOWA.

en Lwów, który po roku 1527. na nowo powstał z popiołów w piękniejszej i ozdobniejszej szacie, miał już na sobie cechę polskiego miasta.

Powoli lecz coraz potężniej wkraczał język polski w głąb czysto niemieckich rodzin starodawnego Lwowa. Naprzód przynosiła go służba do gospodarstwa domowego i do zabawy dziecinnej. Dzieci niemieckich rodziców zaczęto wołać polskiem zdrobnieniem albo im wprost już polskie nadawać imiona *. Jest to dowodem, że obok niemieckiego już także i polski język zaczynał być rozumianym i używanym w tych rodzinach. Tak było już w czasach Kazimierza Wielkiego.

Później coraz to większy wpływ zaczął wywierać zamek i kościół — oba stojące pod naczelnem polskich dygnitarzy kierownictwem. Gdy z początku tylko w zamkowej kaplicy św. Katarzyny usłyszeć było można polskie kazanie, już za pierwszych Jagiellonów w katedrze, w klasztorach Dominikańskim i Franciszkańskim bywał przynajmniej jeden kaznodzieja polski. Równocześnie wchodzić zaczyna do aktów miejskich zamiast pierwotnej niemieczyzny łacina — język urzędowy grodu lwowskiego i wogóle całego polskiego państwa. W gronie ławników i w gronie rajców pojawia się już coraz więcej

* Widać to z takich imion mieszczańskich jako Pieszko (Piotr), Paszko (Paweł), Jakusz (Jakób), Jurko; ba nawet już taki Jekel przemienia imię swoje na Jekło.

nazwisk polskich. Nareszcie za Zygmunta I. następuje zupełny przełom w kościele i w urzędzie.

Żywioł polski do takiej już w pierwszych latach XVI. w. doszedł równowagi z niemieckim, że w kościele katedralnym wystawiono naprzeciw siebie dwie ambony, jedną dla niemieckiego a drugą dla polskiego kaznodziei. Gdy oba kazania odbywały się równocześnie, przeto jedno drugiemu przeszkadzało, a stąd rozpoczął się spór, który przed kanclerzem Łaskim wytoczono. Wtedy to po raz pierwszy przyznano ważniejsze stanowisko żywiołowi polskiemu: kanclerz bowiem rozstrzygnął, że kazania polskie odbywać się mają w czasie sumy, niemieckie zaś w czasie porannej mszy cichej*. Opierali się wprawdzie Niemcy jeszcze czas jakiś, ale wkrótce niemieckie kazania w katedrze ustały całkiem — a w XVII. wieku już tylko w jednym kościele św. Ducha głoszone było w tym języku słowo Boże.

W tym samym czasie co w kościele dogasał także język niemiecki i w urzędzie. Za panowania króla Zygmunta I. niemieckie akta ustają całkiem, a panom rajcom już tak się obcym dla ogółu wydaje wszechwładny dawniej język, że każą akta niemieckie notaryuszowi miejskiemu tłumaczyć na język łaciński. Już też obok łacińskich pojawiają się coraz częściej akta w języku polskim. Przewagę jednak nad łaciną w urzędzie język polski zyskuje we Lwowie, jak w całej Polsce, dopiero w ciągu XVII. stulecia.

Nie należy jednak sądzić, aby ustał też równocześnie z zanikiem języka przypływ żywiołu niemieckiego do naszego miasta. Wygasają wprawdzie dawne rody owych Stecherów, Sommersteinów, Klopperów, Zimmermannów, ale wypływają natomiast na wierzch inne nazwiska również niepolskie: Scholzów, Alnpecków, Boimów, Scharfenbergerów. Za króla Zygmunta Starego przybył do Lwowa kupiec wrocławski Wolfgang Scholz

---

* Zubrzycki: Kronika miasta Lwowa pod rokiem 1510 (str. 187), na podstawie aktów miejskich.

i ożenił się z córką zamożnego mieszczanina tutejszego Haza. Ten Scholz, zostawiając po sobie podobno dwunastu synów i tyleż córek, stał się praojcem tak rozgałęzionej rodziny, »że wszystkie inne w niej się spływały jakby strumienie w morzu«. Za Zygmunta Augusta przybyli z Freiburga w Badeńskiem Alnpeckowie i zasłynęli nauką, majątkiem i ruchliwością. Za Stefana Batorego przenieśli się do nas — nie z Niemiec wprawdzie, ale z pokrewnej cywilizacyą ziemi węgierskiej — ci Boimowie, których poważne twarze spoglądają na nas codziennie z murów kaplicy ogrojcowej. Ale ci wszyscy przybysze już w drugiem pokoleniu doskonale polskim językiem władali, w nim spisywali swoje zarobki i swoje kłopoty i czystą piękną polszczyzną żegnali się z tym światem, ostatnie swoje czyniąc zarządzenia. Na dowód tem pełniejszego zespolenia się z przybraną ojczyzną, nawet nazwiskom swoim dawali polskie brzmienie. Potomkowie Wolfganga Scholza zwali się Szolc-Wolfowiczami, Alnpeckowie przeinaczyli się na Alembeków, a Scharfenbergerowie przetłumaczyli nawet swoje nazwisko na Ostrogórskich.

Niemniej prędko polszczeli we Lwowie i przybysze z dalszego Zachodu. Jak dawniej Genueńczycy tak teraz napływali do Lwowa w znaczniejszej liczbie Włosi z Florencyi i Wenecyi. Rok 1580 zaznaczył się w historyi naszego miasta głośnym a tragicznym wypadkiem, w którym właśnie Włoch główną odegrał rolę. Urban Ubaldini, młody potomek jednego z najszlachetniejszych rodów florentyjskich, zabił wśród zwady* Pawła Jelonka, syna rajcy lwowskiego i miał już położyć szyję pod miecz katowski. Jednak wstawiła się za nim szlachta, a ojciec zabitego oświadczył wspaniałomyślnie wobec sądu, że

---

* Zimorowicz niesłusznie podaje, iż w zwadzie tej poszło o rękę panny Wilczkówny, gdyż z aktów się okazuje, że młody Jelonek był już żonatym. Por. znakomitą pracę o patrycyacie i mieszczaństwie lwowskiem Władysława Łozińskiego (wydanie 2gie, str. 174—6).



Fig. 9. Pawel Boim.

woli po chrześciańsku przebaczyć niż karmić się krwią ludzką, która mu »ani żalu nie nagrodzi ani syna nie wróci«. Ubaldini ułaskawiony pozostał we Lwowie i ożenił się z Wilczkówną, a wkrótce rodzina jego zaliczała się do najznakomitszych w naszym grodzie. Inny Włoch Robert Bandinelli był pierwszym, który stałą pocztę urządził we Lwowie za przywilejem króla Zygmunta III.*. Po ziomku Bandinellego Antonim Massari, który przez jakiś czas piastował godność konsula weneckiego w naszem mieście, pozostał jako pamiątka pięknie wykonany lewek św. Marka, herb Wenecyi, na kamienicy rynkowej, która była jego własnością (dziś l. 14). Zasłynęli jeszcze we Lwowie i inni Włosi, szczególnie w budownictwie, a z nich przedewszystkiem Paweł Rzymianin, architekt wołoskiej cerkwi. Wszyscy oni przyswajali sobie równie prędko jak Niemcy język i obyczaje polskie i równie często przemieniali na polskie swoje nazwiska.

To samo odnosi się także do Anglików i Szkotów, do owych Whigtów, Allandtów, Forbesów, którzy wybitną wówczas rolę grali w kupiectwie lwowskiem a zajmowali dla siebie jedną całą ulicę**. W archiwum miejskiem zachowała się ciekawa korespondencya handlowa Forbesa w języku angielskim. Syn tego Szkota nie pisze już po angielsku, ale z początku po niemiecku, a w dalszym ciągu po polsku.

Wobec tego wszystkiego Lwów za dobrych czasów chętnie widział osiadających wśród murów swoich cudzoziemców. Ci zaś nawzajem przynosili mu w darze owoce różnych cywilizacyj i zalety plemion rozmaitych: niemiecki zmysł porządku, włoską ruchliwość, angielski rozum kupiecki. Jednego tylko Lwów nie znosił: odstępstwa od kościoła rzymskiego. Luteranie, Kalwini i inni zwolennicy reformacyi musieli albo

---

* Poczta do Warszawy odchodziła co soboty: za list płaciło się wprawdzie tylko 3 grosze, ale potrzeba było czekać 2 tygodni, zanim ten sam posłaniec przybył ze stolicy z odwrotną pocztą.

** Ul. Szkocka dziś ul. Boimów.

powrócić na łono dawnego kościoła albo opuścić to miasto, które się chętnie tem chlubiło że jest »na wskróś katolickiem gniazdem« *(catolicissima patria)**.

Natomiast pozostawiono swobodę religijną tym, których wyznania z dawien dawna miały zaręczone prawa we Lwowie t. j. zwolennikom kościoła wschodniego: Ormianom i Rusi. A jeżeli kiedy katolicka ludność Lwowa posunęła się do jakiej samowoli i względem tych innowierców, to zaraz stawali na straży naruszonego prawa ci nasi królowie, których ojcowska sprawiedliwość równą pragnęła otaczać opieką rozmaite części składowe wielkiego państwa. Tu zwyciężyła owa wzniosła zasada unii, prawdziwa chluba naszej historyi, która nakazywała dążyć do jednolitości nie drogą przymusu, lecz drogą przyjaznej ugody. Ta sama Polska, która za czasów Jadwigi umiała połączyć ze sobą pod hasłem bratniej miłości całe wielkie państwo litewskie, podjęła później za Zygmunta III. podobne usiłowania około połączenia rozdwojonych wyznań.

We Lwowie pozyskano dla unii nasamprzód Ormian. Już w średnich wiekach uznawała część Ormian polskich czasowo zwierzchnictwo papieża, ale wkrótce powrócili wszyscy do posłuszeństwa wobec własnego patryarchy, który w Eczmiadynie w Armenii rezydował. Dopiero kiedy za czasów Zygmunta III. odżyła znowu myśl unii, wówczas nowa próba połączenia Ormian wydała trwałe owoce. Tym razem podjął ją na nowo świeżo mianowany biskup ormiański Mikołaj Torosowicz. W roku 1630 uczynił naprzód publiczne wyznanie katolickiej wiary w lwowskim kościele Karmelitów na wzgórku, potem je powtórzył w obec nuncyusza w Warszawie a nareszcie wobec ojca św. w Rzymie. A jeżeli, jak się wyraża żyjący właśnie wówczas historyk Lwowa Zimorowicz, biskup

---

* W uznaniu tej stałości katolickiej papież Sykstus V. w 1586 r. pozwolił naszemu miastu używać swego własnego herbu, który się tylko tem różnił od herbu Lwowa, że lew w przednich łapach trzyma trzy pagórki, oświecone gwiazdą.

długo »Murzynów białymi zrobić nie mógł«, to była to w znacznej części wina jego własnej krewkości. Dopiero przysłani w r. 1664. przez Ojca św. do Lwowa Teatyni, a szczególnie ks. Klemens Galan i ks. Alojzy Pidou, działając spokojnie i rozważnie, dokonali zjednoczenia Ormian z kościołem katolickim.

Kiedy przybyli do nas Teatyni byli jeszcze Ormianie więcej z pozoru niż w rzeczywistości katolikami. Jeszcze po dawnemu bardziej się do kościoła ruskiego zbliżali w wierze* i w obyczajach niż do naszego. Odbywali ściślejsze posty, zezwalali na małżeństwo księży i używali starego kalendarza, t. j. obchodzili święta wraz z Rusinami. W innych rzeczach różnili się i od nas i od Rusinów. Tak n. p. Boże Narodzenie święcili razem z uroczystością Trzech Króli aż na Jordana, a ze szczególniejszem nabożeństwem obchodzili dzień św. Grzegorza, jako »Oświeciciela«, który ich niegdyś pierwszy (jeszcze w III. po Chr. wieku) do przyjęcia religii chrześciańskiej nakłonił. Zresztą były u nich jeszcze rozmaite gusła i zabobony w użyciu, z których się wyśmiewali tak Polacy jak Rusini, były nawet ofiary bydlęce, jak niegdyś w starym testamencie. Rzecz dziwna, że chociaż tak mocno do kościoła greckiego zbliżeni, zawsze więcej od niego stronili Ormianie niż od kościoła rzymskiego, a z Rusinami bardzo się nie lubili.

Ojcowie Teatyni, założywszy we Lwowie seminaryum dla kształcenia księży ormiańskich, w krótkim czasie wykorzenili te wszystkie właściwości, co im tem łatwiej przyszło, że ich królowie polscy usilnie popierali, a Ormianom unitom

---

* Główna różnica wiary między kościołem wschodnim a zachodnim polega w tem, że kościół wschodni przyjmuje pochodzenie Ducha św. tylko od Ojca, zaś kościół nasz uczy, iż Duch św. pochodzi od Ojca i Syna. Tak Rusini jak Ormianie trzymali się w tym względzie wyznania wschodniego. Natomiast w tem różnili się Ormianie pod względem wiary i od nas i od Rusinów, że nie uznawali jak my podwójnej natury w Panu Jezusie boskiej i ludzkiej, a tylko jedną naturę boską. Na znak tego wierzenia (zwanego monofizytyzmem) nie dolewali wody do wina w czasie mszy świętej.

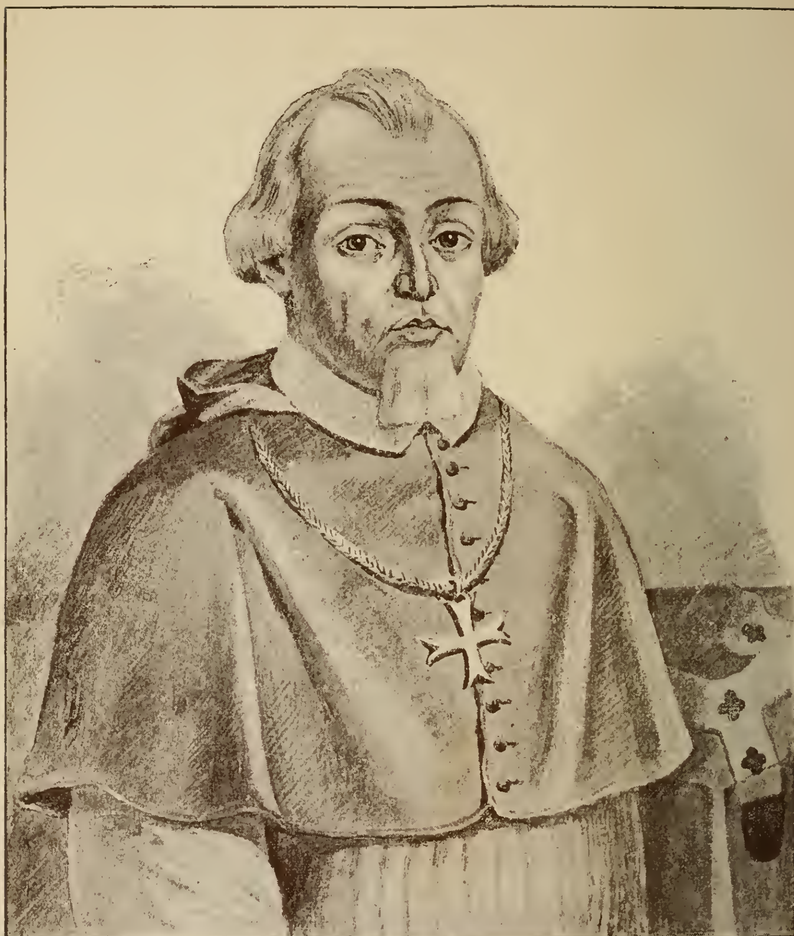


Fig. 10. Mikolaj Torosowicz.

przyobiecali zupełne równouprawnienie z katolikami. Dokończył ostatecznie dzieła unii świątobliwy następca Torosowicza, arcybiskup Wartan Hunanian, który przeprowadził poprawę ormiańskich ksiąg kościelnych i założył klasztor Panien Ormianek (1691). Starego kalendarza wyrzekli się Ormianie dopiero przy końcu zeszłego wieku.

Unia kościelna była najsilniejszą dźwignią w sprawie spolszczenia Ormian. Opisujący Lwów w pierwszych latach XVII. stulecia Jan Alembek powiada o nich, że »w domu zawsze ormiańskiego używają języka«. A tymczasem już w kilkadziesiąt lat potem odzywa się ks. Galan do starszych ormiańskich: »jam przecie tu się wezbrał dla języka narodu waszego, aby nie zginął«. I rzeczywiście nie tylko akta urzędowe ale także listy prywatne Ormian pomiędzy sobą w drugiej połowie XVII. wieku pisane są prawie wyłącznie w języku polskim. Oryginalny tylko jakiś przebija z tej polszczyzny koloryt wschodni, który łatwo poznajesz już ze samego adresu*. — Dziś garstka Ormian już bardzo u nas zmalała, a mówiących po ormiańsku już chyba tylko w Kutach można usłyszeć. Ale i ci najczęściej polskiego używają języka i wogóle w niczem nie odłączają się od naszego społeczeństwa, z którem się szczep ormiański szczerze i zupełnie zbratał.

Daleko później niżeli Ormianie przystąpili w naszem mieście do unii Rusini, jakkolwiek unia ruska w Polsce prędzej przyszła do skutku niżeli ormiańska. Już bowiem w r. 1595. oświadczyli zgromadzeni na soborze w Brześciu litewskim biskupi ruscy, że przyłączają się w rzeczach wiary do kościoła zachodniego i przechodzą z pod władzy patryarchy greckiego w Konstantynopolu pod zwierzchnictwo rzymskiego papieża.

---

* Np.: »Od niskiego i niegodnego Akulesa niech dojdzie z wielkiem pragnieniem naszem bratu Koprochulemu, Mehdeziemu Michałowi, panu Babonabegowi, naszemu panięciu, Anastazemu, naszemu synowi-sułtanowi, naszych oczy światłości, i wam wszystkim zobopólnie«.

Zastrzegli sobie tylko niektóre zwyczaje swego kościoła, w szczególności zaś małżeństwo księży. Zdawało się, że ten rozdział kościoła greckiego i rzymskiego, który od XII. trwał wieku, i który już kilkakrotnie z różnych stron daremnie usunąć usiłowano, nareszcie Polska pierwsza wyrównać potrafi. Jednakże i u nas na razie tylko w części to się powiodło. Bo zaraz w następnym roku po soborze brzeskim niektórzy duchowni ruscy zerwali napowrót połączenie, a między nimi właśnie biskupi przemyski i lwowski. Ubolewano wprawdzie nad tem w Polsce tem bardziej, że właśnie królowie polscy najwięcej się przyczynili do ustalenia biskupstwa ruskiego we Lwowie*, ale nie wywierano najmniejszego przymusu. Rusini lwowscy mieli pozostawioną i nadal zupełną swobodę wyznania, i pozostali w odłączeniu jeszcze przez całe stulecie.

Najważniejszą przeszkodą do unii była we Lwowie t. z. s t a u r o p i g i a. Wyraz to grecki, który oznacza kościół lub bractwo mające prawo z a t k n i ę c i a k r z y ż a patryarszego (trójramiennego), na znak, że żadnemu biskupowi a tylko wprost patryarsze podlega. Takie prawo nadał właśnie na 2 lata przed soborem brzeskim (t. j. w r. 1593.) konstantynopolitański patryarcha Jeremi bractwu istniejącemu już od dawien dawna przy cerkwi Wniebowzięcia NP. Maryi na Ruskiej ulicy. Stauropigia, będąc w ciągłych stosunkach z patryarchą a po-

---

* W najdawniejszych czasach nie było na Rusi halickiej żadnego biskupa ruskiego, tylko podlegała ta ziemia w rzeczach kościelnych metropolicie kijowskiemu. Jednakże już Kazimierz Wielki zastał osobnych biskupów ruskich w Haliczu, dla których postarał się u patryarchy greckiego o godność metropolitalną, aby byli całkiem niezawiśli od Kijowa. Tymczasem niebawem metropolici kijowscy zdołali znowu doprowadzić do tego, że ustała nietylko metropolia, ale i biskupstwo ruskie w Haliczu, a Ruś czerwona ponownie przeszła pod ich duchowne zwierzchnictwo. Taki stan, bardzo dla tutejszych Rusinów niedogodny, trwał przez 125 lat (1414—1538), aż póki im Zygmunt I. osobnego nie zamianował biskupa z rezydencyą we Lwowie.

pierana przez Rosyą i przez hospodarów wołoskich, nie tylko niezawisłą była od biskupów, ale jeszcze u nich czystości greckiej wiary przestrzegała. Przez szkołę swą pielęgnowała znajomość języka greckiego i cerkiewno-słowiańskiego, a przez drukarnię swoją (najstarszą we Lwowie)* zaopatrywała większą część cerkwi ruskich w schizmatyckie księgi kościelne.

Dopiero wierny druh Sobieskiego Józef Szumlański, który za młodu walczył pod Wiedniem a później został biskupem ruskim we Lwowie, przyjął i przeprowadził u nas unię w r. 1700. W kilka lat potem także i stauropigia połączyła się z katolickim kościołem (1708), zastrzegając sobie tylko, że jak dotychczas od patryarchy, tak odtąd wprost od papieża będzie zawisłą, z pominięciem władzy biskupiej. Odtąd w papieskim zakładzie wychowawczym OO. Teatynów kształcono nie tylko ormiańskich, ale i ruskich kleryków.

W krótkim czasie po przyjęciu unii dopuszczeni zostali Rusini we Lwowie do zupełnego równouprawnienia z resztą mieszkańców. Wspólność religii i wspólność praw utorowała drogę do nawiązania coraz ściślejszych węzłów między żywiołem polskim a ruskim. Dawni Rusini lwowscy nie okazywali żadnej niechęci do języka polskiego, a już od połowy XVII. wieku sami między sobą zaczęli go zaraz częściej używać w mowie i w piśmie. Nawet protokoły stauropigii pisane są w języku polskim; polskie napisy albo łacińskie czytamy na starych portretach, na grobowcach i trumnach wołoskiej cerkwi. I byłoby dojrzało zupełnie dzieło w bratniej miłości chrześciańskiej poczęte, gdyby nie wypadki i stosunki, które poznamy bliżej w historyi porozbiorowych czasów.

Jeden tylko żywioł pozostał we Lwowie na uboczy w tem całem przelaniu się rozmaitych wyznań i szczepów w jedno dość jednolite społeczeństwo — mianowicie żywioł żydowski. I Żydzi mieli jak wiadomo przez Kazimierza Wielkiego za-

---

* Spuścizna pierwszego drukarza lwowskiego Iwana Fedorowa († 1583) przeszła na Stauropigię.

pewnioną swobodę wiary i zwyczajów. Sądy nad nimi sprawował wojewoda lub jego zastępca z przybraniem starszyzny żydowskiej. Zamieszkiwali południowo-wschodni kąt miasta, a ulica Blacharska, czyli ówczesna Żydowska, była ich główną siedzibą. Tutaj odnaleść można na podwórzu domu pod l. 27 najdawniejszą synagogę żydowską, jeszcze w gotyckim stylu założoną, a później za czasów Stefana Batorego na nowo przesklepioną. W niej przechowują się najstarsze tradycye i najstarsze zapiski Żydów lwowskich. Tutaj usłyszeć można opowiadanie o owej pięknej »złotej« Róży, która wpływem swoim ocalić umiała Żydom skazaną już na zamknięcie bożnicę, i ciekawych dowiedzieć się szczegółów o sławnym lekarzu króla Jana III. Simche Menachem. Drugiem ogniskiem Żydów we Lwowie — mianowicie przedmiejskich — była okolica ulicy Bożniczej na krakowskiem przedmieściu, gdzie się wznosi inna ich, choć nie tak stara, ale zawsze jeszcze polskich czasów sięgająca świątynia*.

Żydzi lwowscy byli pierwotnie bardzo ograniczeni w swoim handlu. Na mocy dekretu wydanego przez króla Zygmunta I. na sejmie piotrkowskim w r. 1521 pozwolono im handlować tylko czterema towarami: suknem, woskiem, wołami i skórą. Rada miejska we Lwowie okazała się jednak humanitarną wobec Żydów i kilkakrotnie sama przywileje ich rozszerzała. W 70 lat po dekrecie Zygmunta I. mogli już Żydzi handlować każdym prawie towarem, z tem jedynie zastrzeżeniem, że tylko do pewnej oznaczonej ilości wolno im było skupować towar, sprzedawać zaś tylko hurtem a nie w kramach. Za to mieli składać rocznie pewną opłatę do kasy miejskiej. To nazywało się we Lwowie paktami żydowskimi.

Niestety jednak Żydzi sami narazili swoją sprawę przez niedotrzymanie paktów. Przekraczali ograniczenia, nie płacili umówionej taksy i z przedmieść w wielkiej liczbie cisnąć się

---

* Inne synagogi, jak np. t. zw. »Tempel« na starym rynku, albo synagoga na ul. Wałowej, pochodzą już z XIX. stulecia.

zaczęli do miasta. Trzeba zaś wiedzieć, że owe ustępstwa powyżej wymienione poczynione były tylko na korzyść Żydów miejskich, a przedmiejskim przysługiwać nie miały. Coraz nowy przypływ Żydów obcych utrudniał na nowo stanowisko tych, którzy się już byli trochę z resztą społeczeństwa zżyli. Stąd gniewy i niechęci, stąd skargi ciągłe na Żydów, że te same albo jeszcze większe mają pożytki z handlów co mieszczanie, a tymczasem do żadnych ciężarów się nie przyczyniają — ani do podatków ani do obrony miasta.

Przy takiem usposobieniu ludności przyszło dwukrotnie do poważnych zaburzeń, w których wielu Żydów potraciło mienie, a niektórzy nawet życie. Działo się to naprzód w r. 1664, a powtóre w r. 1732. Żydzi wnosili skargi do sądów, które nie omieszkały za gwałt popełniony należytej wymierzyć i wykonać kary. Lecz kiedy znowu mieszczanie lwowscy udali się przeciw Żydom na drogę prawną o niedotrzymanie paktów, zapadały wprawdzie niemniej surowe wyroki — ale Żydzi umieli się zawsze, choćby w ostatniej chwili, od wykonania wyroku ocalić. Byli już nawet skazani na przymusowe usunięcie ze Lwowa (z wyjątkiem ulicy Żydowskiej), na zupełną utratę praw obywatelskich, i na sekwestracyę wszystkich towarów celem zaspokojenia pretensyi miasta (1744). W rzeczywistości jednak nie tylko najmniejszej szkody nie ponieśli, ale owszem rząd austryacki w czasie zajęcia Galicyi cały prawie handel Lwowa zastał w ich ręku.

Żydzi więc osiągnęli to czego chcieli, ale wielka stąd i dla nich i dla nas szkoda, że nie stało się to w podobny sposób jak z Ormianami lub z Rusią, t. j. na drodze ugody, na którą się już z początku zanosiło. Nie drogą ugody lecz z jej obejściem wyrobili sobie Żydzi swoje stanowisko w mieście, bez żadnej ze swojej strony ofiary na rzecz ogółu, ani co do języka, ani co do obyczajów. Ta okoliczność utrudnia jeszcze do dzisiaj szlachetne usiłowania, które się z obu stron podnoszą, aby doprowadzić do skutku zjednoczenie, albo przynajmniej dobre ze sobą obu społeczeństw pożycie.

10.

PRZEOBRAŻENIE USTROJU MIEJSKIEGO.

Jak wszystko we Lwowie tak też i cały ustrój miejski otrzymał swe podwaliny za czasów Kazimierza Wielkiego*. Lecz nic na świecie nie trwa ciągle w tej samej postaci, wszystko się zmienia, przekształca, przechodzi różne stopnie rozwoju. Od Kazimierzowskich czasów do chwili w której obecnie stoimy — jakże wielkie zaszły i w tym kierunku odmiany!

Za czasów pierwszej młodości naszego miasta wywierał ogół obywatelstwa wielki wpływ na sprawy miejskie. On obierał rajców i ławników, jego zgoda potrzebną była do stanowienia praw nowych. Ustrój Lwowa był wówczas demokratycznym.

Z biegiem czasu jednak władza skupiać się zaczęła coraz bardziej w ręku samej rady, z usunięciem od udziału obywatelstwa. Pierwszym do tego krokiem było t. z. zjednoczenie wójtowstwa z miastem przez Władysława Opolczyka. Książę ten odstępując miastu prawo mianowania wójtów, które dotychczas przysługiwało monarsze, nie ustanowił wyboru wójta przez ogół obywateli, tylko przelał swe prawo na radę miejską. Odtąd rada miejska zaczęła powoli odsuwać ogół obywatelstwa także od innych wyborów, a przedewszystkiem od wybierania samejże rady. Urząd rajcy stał się z czasem dożywotnim, a gdy się jakie miejsce w radzie opróżniło, to rajcy sobie sami nowego kolegę dobierali. Nawet od obowiązku przedstawiania nowo wybranych do potwierdzenia staroście umieli się jakoś usunąć panowie rajcy. Pozostawili temu dygnitarzowi i obywatelstwu tylko pewien niewielki wpływ na wybory burmistrzowskie.

W tym kierunku taka się z biegiém czasu wyrobiła praktyka, że nie jeden ale aż trzech corocznie rajców urząd

---

* Porównaj ustęp 5.



Fig. 11. Ratusz dawny.

burmistrza sprawowało, zmieniając się co 4 tygodni w urzędowaniu. Z trzech przedstawianych przez radę miejską ze swego grona kandydatów wskazywał naprzód starosta jednego, który mu się najdogodniejszym wydał, a potem obywatelstwo drugiego. Pierwszy nazywał się burmistrzem królewskim, drugi burmistrzem gminy, a trzeci pozostały radzieckim. Władzę mieli wszyscy jednakową a tylko pewne honorowe pierwszeństwo przysługiwało burmistrzowi królewskiemu. Po rozdaniu tych trzech tytułów burmistrzowskich następowało składanie przysiąg i inne ceremonie, i na tem się cała czynność wyborcza, odbywana corocznie z wielką uroczystością na ratuszu dnia 22. lutego, kończyła. Taki porządek rzeczy wytworzył się już z końcem XV. wieku, urzędowe zaś potwierdzenie otrzymał przez dekret króla Zygmunta I. w r. 1541 wydany.

Z tego przedstawienia widać, że we Lwowie ogół obywatelstwa — tak samo jak i starosta królewski — zachował tylko jakiś cień udziału przy wyborach. Ustrój naszego miasta z demokratycznego stał się arystokratycznym, a dokładniej mówiąc stał się oligarchią t. j. rządem kilku możnych a związanych ze sobą rodzin.

Trzeba zaś o tem wiedzieć, że radziectwo dawało wówczas nie tylko władzę do ręki, ale i pewne rzeczywiste pożytki. Nie pobierali wprawdzie ani burmistrzowie ani rajcy stałych pensyj, ale szły na ich korzyść dochody z Sichowa i Zubrzy, cła od wina, taksy urzędowe i inne pomniejsze opłaty — czem wszystkiem się zawsze w wigilię Bożego Narodzenia i w poniedziałek Zielonych Świątek dzielili. Były zresztą jeszcze i inne korzyści w dodatku: wesela, pogrzeby, podróże na koszt miasta i t. p. nadzwyczajne zapomogi. Nic więc dziwnego, że odsunięty niesłusznie od wszelkiego udziału w zarządzie ogół obywatelstwa burzyć się zaczął przeciwko »panom« — jak się rajcy sami bez dodawania innego tytułu nazywali. Obwiniano ich o złe gospodarstwo, o przydzielanie sobie więcej dochodów niżby się to słusznie należało. Stąd

spory i skargi, których wynikiem było wprowadzenie w życie całkiem nowego wydziału miejskiego.

Już Zygmunt I. starał się uspokoić skargi przez wprowadzenie dla większego ładu w rachunkach osobnego urzędu kasowego, zwanego lonheryą, i przez zarządzenie, aby każdego roku w lutym rajcy składali rachunki wobec wyznaczanej na ten cel komisyi obywatelskiej. Ale samo uporządkowanie rachunkowości i pewien nad nią nadzor — to nie wystarczyło jeszcze mieszczaństwu, które pragnęło mieć stały i obszerniejszy udział w sprawach miejskich, zwłaszcza skarbowych. Wskutek tego wyszedł w r. 1577 dekret malborski Stefana Batorego, którym król zaprowadza radę czterdziestu mężów, jako przedstawicieli ogółu obywatelstwa w zarządzie miasta. Rada ta miała ustawicznie czuwać nad użyciem funduszów gminnych; bez jej zezwolenia żadne nowe podatki nie mogły być ustanowione. Wybory do tej rady w ten sposób się odbywały, że rękodzielnicy obierali 20 z pomiędzy kupców i propinatorów, ci zaś nawzajem 20 rzemieślników, całe zaś grono czterdziestu mężów jednego z pomiędzy siebie wyznaczało przewodniczącym, który się rejentem gminy nazywał. Później tylko rejenta gminy corocznie wybierano a innych członków grona tylko w razie opróżnienia się jakiego miejsca — to jest i ten urząd stał się z czasem dożywotnim.

Zdawałoby się, że po dekrecie malborskim króla Stefana ogół obywatelstwa uzyska, jeśli już nie taki jak dawniej, to jednak wcale poważny wpływ na zarząd miasta. Tymczasem rada miejska umiała bardzo zręcznie opanować krępujące ją urządzenia. Wyrobił się we Lwowie zwyczaj taki, że na rajców wybierano tylko z pomiędzy ławników a na ławników tylko z pomiędzy czterdziestu-mężów albo urzędników miejskich*. Otóż teraz zależało radzie miejskiej przedewszystkiem

---

* Jedyny wyjątek od tej zasady uczyniony był na korzyść doktorów i ludzi uczonych, którzy mogli zostać ławnikami, nie bywszy przedtem w radzie 40stu.

na tem, aby między ławnikami znajdowały się same powolne jej osobistości. W tym celu nastąpiło opanowanie ławy przez radę. Odkąd rada odsunęła od wyborów swoich gminę, odtąd i ława sama sobie dożywotnich członków dobierała. W XVII. w.



Fig. 12. Marcin Kampian.

jednak rada wzięła w swoje ręce wybór ławników i umiała nawet uzyskać na to zezwolenie ze strony króla Jana Kazimierza (1661). Opanowawszy ławę miała już rada zapewniony stanowczy wpływ na grono czterdziestu-mężów. Ktokolwiek bowiem z obywateli, dostawszy się do rady czterdziestu, chciał się posunąć dalej, ten musiał uważać, by był na rękę rajcom.

Zresztą w ciągu XVIII. wieku doszło nareszcie do tego, że nawet do grona czterdziestu-mężów wybierali rajcy sami z pomiędzy dwóch przedstawionych im przez to grono na opróżnione miejsce kandydatów. Ustrój Lwowa pozostał przeto aż do końca możnowładztwem kilku zasobnych rodzin miejskich czyli oligarchią patrycyuszów.

Te trzy, któreśmy dotychczas poznali, grona uchwalające, t. j. rada, ława i zgromadzenie czterdziestu-mężów, nazywały się razem stanami miasta *(ordines)*. Do wykonywania uchwalonych zarządzeń służyły podwładne tym stanom organy czyli urzędy *(subsellia)*. Był sekretarz, czyli notaryusz rady, była lonherya, był nadzorca straży tudzież bram miasta, zwany nocnym burmistrzem, a do spraw sądowych sekretarz ławy i oskarzyciel publiczny czyli prokurator, którego wówczas instygatorem nazywano. Jednak najzyskowniejszym ze wszystkich był urząd tłumacza miejskiego, który piastowali zwykle Ormianie, jako najlepiej znający obce języki, zwłaszcza wschodnie. Tłumacz bowiem albo przynajmniej któryś z jego podwładnych, zwanych barysznikami, musiał być obecnym przy każdym układzie z obcymi kupcami, nie tylko jako pośrednik językowy, ale także jako stojący na straży handlowych przywilejów miasta.

Do otrzymania jakiejkolwiek godności stanowej albo nawet ważniejszego urzędu pierwszym warunkiem było posiadanie pełnego prawa obywatelstwa. Kto go jeszcze nie miał a uzyskać pragnął, musiał wykazać pochodzenie swoje z uczciwego a katolickiego domu, zdolność do służby wojskowej na murach i posiadanie własności nieruchomej, ocenionej przynajmniej na 3000 złp., za które dawniej zawsze więcej można było nabyć, niż dzisiaj za tyleż złr. austr.*. Prócz tego należało

* Wprawdzie złoty polski, który znaczył w XVI. wieku przeszło 2 złr., spadł w XVIII. aż na 33 centów, ale i wtedy więcej można było za niego kupić niż za dzisiejszego guldena, z powodu wielkiej taniości potrzeb życia.

opłacić jakąś taksę wstępną. Za dobrych czasów taksa była umiarkowaną, w XVII. wieku, gdy już mniej chętnie patrzano na przypływ żywiołów obcych, taksa się znacznie podniosła, aż wreszcie w XVIII. wieku znowu nadzwyczajnie spadła, ponieważ i prawo obywatelstwa w naszem mieście już wtedy mało było warte.

Trzy stany miejskie i podwładne im urzędy wystarczały miastu do wszystkich spraw bieżących. Tylko w wypadkach nadzwyczajnych powoływano do narady także inne czynniki, stojące zwykle jako osobne gminy na uboczu — mianowicie Ormian i Rusinów. Już w średnich wiekach znajdujemy ślady udziału ich w szczególnie ważnych sprawach — później stałe utworzone jest na takie wypadki urządzenie. Jest to tak zwana sesya generalna, na której zasiadają »wszystkie stany i narody«. W r. 1622 przypisała rada miejska na tej sesyi taki porządek rzeczy, że naprzód oddają głos swój ławnicy, potem starsi ormiańscy, potem grono czterdziestu-mężów dwa głosy, (pierwszy imieniem kupców, drugi imieniem rękodzielników), wreszcie Rusini. Rada miejska obradowała potem osobno nad uchwałą całego zgromadzenia, a gdy go do zmiany postanowienia skłonić nie zdołała, musiała się do jego życzeń zastosować.

Gdy układy o unię zbliżyły do siebie wszystkie narody Lwowa, a z drugiej strony ciągłe wojny i okupy zmuszały do coraz częstszego uchwalania nowych podatków, i to nieraz bez długiego namysłu, ustanowił król Jan III. Sobieski stały wydział mieszany, bez którego zezwolenia żadne nadzwyczajne podatki nie mogły być nakładane (1686 r.). Do tego wydziału wyznaczali rajcy dwóch delegatów, ławnicy jednego, rada czterdziestu-mężów czterech, Ormianie trzech a Rusini dwóch delegatów — wszyscy razem tedy dwunastu przedstawicieli*.

* Tutaj dopiero okazuje się, że ustrój możnowładczy, jakkolwiek mniej sprawiedliwy niż dzisiejszy, miał jednak we Lwowie, w owym czasie tworzenia się dopiero naszego społeczeństwa, jedną

Układy o unię doprowadziły w końcu do pożądanego celu, a dalszym tego skutkiem był upadek osobnych władz narodowościowych. Królowie polscy zaręczyli unitom równouprawnienie i umieli je przeprowadzić. Ormianie, którzy wcześniej przystąpili do unii, już przy końcu wieku XVII. cieszyli się zupełnem równouprawnieniem w handlu i urzędach. Rusini uzyskali je ostatecznie w r. 1745, dzięki zabiegom swoich biskupów, szczególnie Szeptyckich, z których aż trzech kolejno po Szumlańskim tę najwyższą godność kościoła ruskiego we Lwowie sprawowało. A skoro do rajców, do ławników i do grona czterdziestu-mężów zaczęto wybierać zarówno Polaków jak też Rusinów i Ormian, rzecz naturalna, że ich odrębne władze ustały, jako już niepotrzebne. Wpłynęły one do ustroju miejskiego, jakby strumienie do rzeki. Kiedy nadeszły ostatnie chwile Rzeczypospolitej, społeczeństwo chrześciańskie we Lwowie było już nie tylko pod względem religijnym i językowym, ale i pod względem prawnym dość jednolite, a szczerze do tej ojczyzny przywiązane, która jak dobra matka o skojarzenie zgody pomiędzy braćmi się postarała.

11.

ZŁOTE CZASY MIASTA.

Po owym okropnym pożarze z r. 1527 przyszły naszemu miastu w pomoc i łaska królewska i roztropne kierownictwo rady. Król Zygmunt I. uwolnił mieszczan od wszystkich niemal podatków na lat 20, rada zaś miejska zakazała przy nowem murowaniu stawiania wszelkich bud, podsieni i kra-

---

dla polskiej narodowości pożyteczną stronę. To silne kierownictwo rady, które obejmowało wszystkie trzy »stany miejskie«, nadawało im zupełną jednolitość wobec innych narodów i zapewniało stałą przewagę żywiołowi polskiemu tak na sesyi generalnej (3 głosy przeciw 2) jak i w mieszanym wydziale (7 głosów przeciw 5).



Fig. 13. Woloska cerkiew.

mów drewnianych, któreby rozszerzenie ognia ułatwić mogły. Teraz dopiero stanęło miasto nasze w całości z kamienia i cegły. Nie tylko jednak materyał się zmienił: zmienił się także z gruntu i cały sposób budowania. W średnich wiekach wysmukły, ostrołukowy, koronkowy gotyk, pochodzący z nad Renu wszechwładnie panował — teraz starożytne Włochy dały hasło do odrodzenia się sztuki dawnych Greków i Rzymian. Nie do nieba pięły się teraz gmachy, lecz szeroko po ziemi się rozprzestrzeniały, nie ostry ale okrągły łuk albo kulista kopuła zasklepiały ściany, mniej kunsztowne w budowie, ale za to obficiej zdobione rzeźbą.

We Lwowie najczystszym okazem tego stylu odrodzenia, czyli renesansu jest wołoska cerkiew. Zaleca się przejrzystym rozkładem, zgrabną budową kopuł i pięknie rzeźbionym gzymsem od strony Ruskiej ulicy. Nic dziwnego — wszakże budował ją Włoch, i to Włoch z tego miasta pochodzący, gdzie renesans do najpiękniejszego doszedł rozkwitu: Paweł Rzymianin. Kiedy dawna drewniana cerkiew miejska, uszkodzona w czasie wielkiego pożaru, nie mogła się już utrzymać dłużej, wymurowali sobie Rusini najprzód małą cerkiewkę, a potem przystąpili do budowy owego gmachu, który do dzisiaj istnieje (1591). Zbierano składki po całej Rusi, ale snać nie wielka była ofiarność, bo nie byłoby to wystarczyło, gdyby nie pomoc wojewodów mołdawskich i rosyjskiego cara. To też kiedy po 40 latach budowy przyszło nareszcie do poświęcenia cerkwi, umieszczono w środkowej kopule — oprócz polskiego — także herby rosyjski i wołoski, sławiąc w stosownych napisach szczodrobliwą hojność cara i wojewodów. Pomoc wojewodów była najznaczniejszą, dlatego się ta świątynia po dziś dzień wołoską cerkwią nazywa.

Oprócz herbów zwraca jeszcze w Wołoskiej cerkwi na siebie uwagę widza umieszczony na tle starożytnych dywanów portret poważnego mężczyzny, który stojąc w bogatym żupanie i w okazałej szubie przed krucyfiksem, pobożnie ręce złożył do modlitwy. To Konstanty Korniakt, najwybitniejsza wśród

Rusi lwowskiej postać. Przybył z greckiej wyspy Krety do Lwowa, tu się dorobił majątku na handlu winnym i na dzierżawie ceł królewskich, tutaj dostąpił zaszczytu szlacheckiego a przez małżeństwo z Anną Dzieduszycką wszedł w stosunki z możnymi w Polsce rodami. Postanowił więc w tem mieście, w którem żył i w którem się szczęścia dorobił na podziękowanie Panu Bogu uczynić jaką pobożną fundacyą. Korniakt pisał po polsku, ubierał się po polsku i obracał się przeważnie w polskich kołach — ale pod względem religijnym jako Grek z rodu należał do Rusi. Obrócił więc swoje fundusze na ozdobienie miejskiej cerkwi i przystroił ją piękną, wysmukłą wieżą.

Wieża Korniaktowska stanęła jeszcze przed rozpoczęciem budowy kościelnej, biorąc jakby pod opiekuńcze skrzydła małą ówczesną cerkiewkę. Gdy zaś po latach obok wieży stanęła wspaniała świątynia z ciosowych kamieni, owa cerkiewka zeszła na jej uboczną kaplicę, a od późniejszego swego odnowiciela otrzymała nazwę Bałabanowskiej (1671). Dziś znaną jest pod imieniem kaplicy »Trech Światyteli« i używaną do umieszczenia Bożego grobu. Szkoda, że się w stauropigialnym dziedzińcu ukryła, bo wdzięczną harmonią swych kształtów nowego pięknej świątyni mogłaby dodać uroku.

Prawie równocześnie z powstaniem Wołoskiej cerkwi i łacińska katedra najpiękniejsze swoje otrzymała ozdoby. W tych czasach silnego poczucia katolickiego a wielkiego dobrobytu każdy niemal ze znakomitych rodów mieszczańskich miał swoją w katedrze kaplicę albo przynajmniej swój ołtarz — ale żaden tu tak trwałych nie zostawił po sobie pomników, jak rody Boimów i Kampianów.

Kaplica Boimów, to piękny, równy, czworobok, wysmukłą kopułą pokryty, cały na wewnątrz i zewnątrz obsypany wspaniałą rzeźbą, która wszystkie wolne pola w harmonijnym układzie budowy wdzięcznie przystraja. Może styl budowniczy kaplicy Boimów mniej już czysty i więcej do przekwitu zbliżony przedstawia renesans, niż styl wołoskiej cerkwi, ale

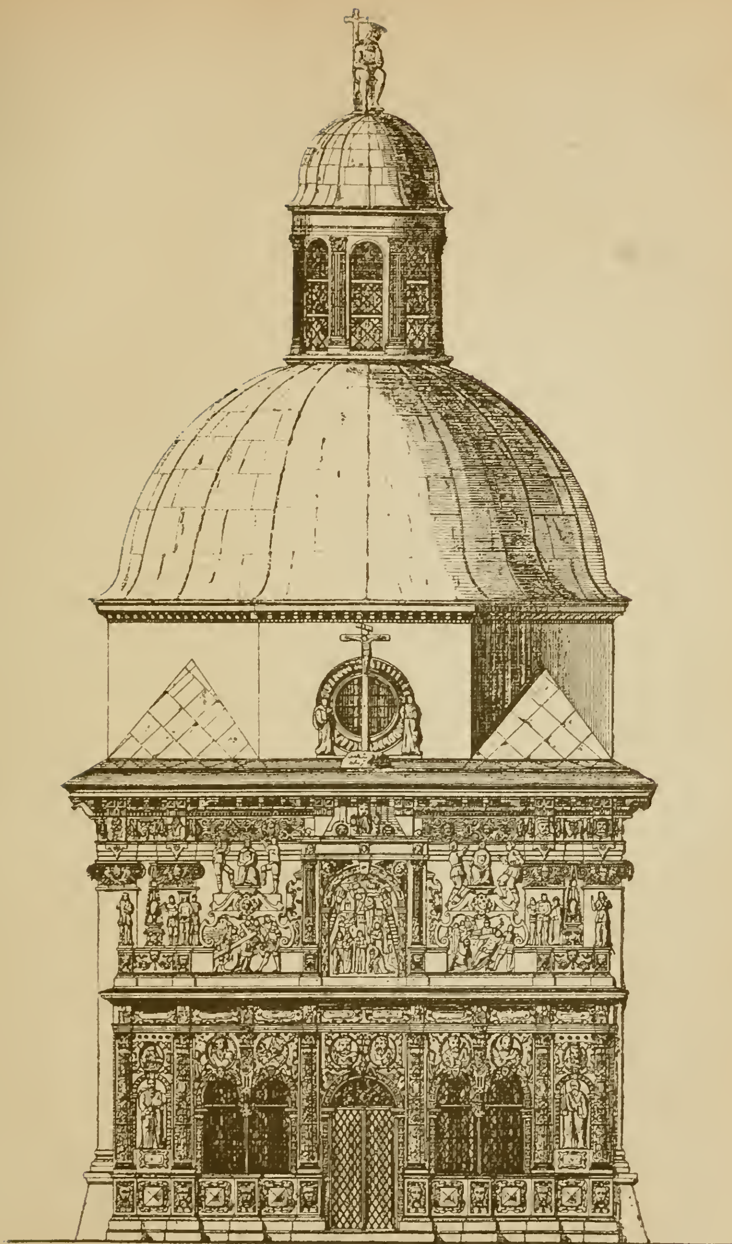


Fig. 14. Kaplica Boimów.

o ileż tutaj ozdobność rzeźby bogatsza! Szkoda, że nieznany jest architekt tej kaplicy*, który przecież przez dłuższy czas musiał we Lwowie przebywać, skoro budowa trwała lat ośm (1609—1617), z początku na koszt Jerzego a potem Pawła Boimów. Kaplica nosi tytuł ogrojcowej, ponieważ sceny z męki Pańskiej przedstawia.

Kiedy o kilkadziesiąt kroków posuniemy się dalej, na plac Katedralny, spostrzegamy inną kaplicę, choć nie tak bogato, ale jednak pięknemi ozdobioną rzeźbami. W trzech scenach przedstawione jest złożenie do grobu, zmartwychwstanie i zjawienie się P. Jezusa w postaci ogrodnika św. Maryi Magdalenie. Wstępujemy do środka; tutaj z ciemnego marmuru spoglądają na nas ponure twarze Kampianów, założycieli kaplicy. Starszy to Paweł Kampian, rodem z miasteczka Koniecpola pod Częstochową, młodszy syn jego Marcin już w naszem mieście urodzony. Obaj byli wziętymi lekarzami, obaj znacznym cieszyli się majątkiem i wielkiem w mieście poważaniem, chociaż także nie mało mieli nieprzyjaciół, ponieważ w życiu cechowała ich ta sama surowość i twardość, która się z marmurowych rysów przebija. Marcin Kampian odznaczył się szczególnie tem, że kiedy w r. 1623, w czasie okropnej zarazy, wszystko ze Lwowa uciekało, on jeden z rajców pozostał nieustraszenie i utrzymywał porządek w mieście. Kochał się Marcin Kampian we wspaniałych budowach: kaplicę w katedrze przez ojca rozpoczętą ozdobnie wykończył, mury i wały miasta opatrzył, ratuszowi przebudowaniem wieży nadał kształt okazalszy.

Stary ratusz lwowski, kilkakrotnie przez pożary uszkadzany, otrzymał ostateczną swą postać przy samym schyłku

---

* Można często spotykać w podręcznikach wiadomość, że architektem kaplicy Boimów był Janusz Głuski z Krakowa. Wiadomość ta nie jest jednak bynajmniej stwierdzoną. Natomiast prawdopodobnem jest, że brał udział w robotach rzeźbiarskich zdobiących kaplicę Boimów Jan Pfister z Wrocławia, który także wykonał pomniki Tarnowskich w Tarnowie a Sieniawskich w Brzeżanach.

XVI. wieku — a więc także w epoce stylu renesansowego — staraniem burmistrza Stanisława Szolca. Choć był nie bardzo okazałym i z trzech różnych części złożonym, miał jednak (zwłaszcza w nasadach i gzymsach) pewne cechy stylistyczne. Wieża tylko, pod którą jeszcze w obecności Jana Olbrachta kładziono kamień węgielny, była całkiem nieładna: prosty, równy czworobok na samym czele gmachu, podobny do dzisiejszej wieży katedralnej. Staraniem Marcina Kampiana przebudowano wieżę w ten sposób, że zaraz nad dachem ratusza czworobok przechodził w ośmiogran, piękną u góry opatrzony galeryą i wysmukłym zakończony szczytem. Ze środka wieży sterczała pięciowiosłowa łódź kamienna z masztem i figurami, jako symbol handlowej potęgi Lwowa.

Ale nie tylko gmachy publiczne zwracały już we Lwowie na siebie uwagę przechodnia, było się warto zatrzymać i przed niejednym domem prywatnym. Ten sam Kampian, który katedrę i ratusz ozdobił, mieszkał w domu, który nie mniejszy artysta budował, jak Paweł Rzymianin. Co za szkoda, że nic się z dawnej architektury nie zostało w kamienicy rynkowej pod l. 29, która niegdyś była własnością Kampianów. Za to się inne współczesne zachowały tego rodzaju zabytki. Oto n. p. kamienica Giebłowska (później Szolcowska), narożna w rynku od strony kapitulnego placu, albo dom Korniaktów, później Sobieskich, przechodni z Rynku na ulicę Blacharską, albo o kilka kroków dalej ów śliczny dom z poczerniałych kamieni, który naprzód do Albertich a później do dr. Anczewskiego należał. Gdzieindziej znowu tylko niektóre resztki zostały z dawnej świetności: n. p. portal domu Stanisława Szolca (z r. 1544) na ulicy Grodzickich (»pod Matką Boską«), albo ozdobniejsze odeń oddrzwia na ulicy Ormiańskiej pod l. 28. Nawet z wewnętrznych obramień u drzwi i okien przechowały się jeszcze bardzo cenne okazy w niektórych domach śródmieścia (n. p. Rynek l. 20, albo ul. Ruska l. 10), a przedewszystkiem w pałacu Anczewskich. Warto zaglądnąć tam na dole do skromnego warsztatu stolarskiego, aby zobaczyć,

jaka wspaniała bramka prowadziła do kaplicy domowej lwowskiego patrycyusza. Natomiast znikły bez śladu ozdobne pułapy, kasetowane lub belkowane i misterną rzeźbą przybrane kominki.

A gdyśmy już przekroczyli progi patrycyuszowskiego domu, to niech nam będzie wolno odtworzyć sobie w myśli także wewnętrzne urządzenie mieszkania. Tym razem wrażenie przechodzi jeszcze nasze oczekiwania. Meble rzeźbione, wysadzane słoniową kością albo kosztownem drzewem: łóżka złociste i malowane, bogatą osłonięte kotarą, szafy i skrzynie gdańskiej lub norymberskiej roboty, stoły misterną mozaiką wykładane, krzesła »senatorskie« malowaną od ręki obite skórą. Lśniące zwierciadła w metalowych lub szyldkretowych ramach, kunsztowne zegary, pająki czyli »świeczniki zawiesiste« z bronzu — a przedewszystkiem jakie bogactwa w kobiercach! Ściany, podłogi, pojedyncze nawet sprzęty pokrywają drogie makaty: niderlandzkie z rozmaitemi scenami (gobeliny) i perskie o wyginanych arabeskach na tle złocistem. Już to w dywany obfitował Lwów; cała Polska, nie wyjmując królewskiego dworu, tu kupowała kobierce — zwłaszcza wschodnie. Wschód silnie piętno swoje wyciskał na naszem mieście. Nie tylko Pers albo Turek snuł się po rynku we wschodnim kostiumie, nie tylko się weń najchętniej ubierał Ormianin; miał go w swej skrzyni niejeden patrycyusz lwowski — i ten który się nosił zazwyczaj w żupanie i szubie jak Korniakt, i ten który przywdziewał doktorską togę Kampianów, albo hiszpańskie koronki młodszego Boima.

Jeśli już urządzenie mieszkań i ubiór mężczyzn taką przedstawiały rozmaitość i taką barwność, to cóż dopiero mówić o strojach i o dostatkach kobiecych? Złociste koronki i galony, albo podbicia z drogich futerek zdobiły suto barwne szaty ówczesne — owe letniki, sznurówki, kabaty i szubki z jedwabiu albo atłasu. W klejnotach istnie olśniewające znajdowało się nieraz bogactwo. Żona Zimorowicza przy uroczystych wystąpieniach przywdziewała czepeczek o jedenastu ru-

binach, lub inny w duże rubiny i perły, albo czapeczkę atłasową z dyamentowem piórkiem, którą zdobiło 26 zwieszających się na wstążeczkach rubinów. Rękawy jej sukni obficie obrzucone perłami, na piersi złoty łańcuch, jeden z ośmiu, które miała do wyboru — nie mówiąc już o pierścieniach, kolczykach i spinkach, których się ilość liczyła na setki. Warto też było zaglądnąć i do kredensu takiej lwowskiej pani, aby podziwiać jej srebro: owe misy ciężkie i ażurowe, owe puhary w kształcie łódek, dzbanki z kokosowego orzecha w srebro i złoto oprawne, wreszcie tuziny łyżeczek kolistych z trzonkami zdobnemi w figurki. — Czyż można się dziwić, jeśli zdumiony poeta zawoła, że chyba wszystkie skarby świata zwożą w ten gród graniczny sanie północy i łodzie oceanu, i jeśli jego wyobraźnia widzi jakby złocisty obłok ponad dachami Lwowa płynący? *

I rzeczywiście zwożono do Lwowa skarby całego świata i płynął życiodajny potok złota jeszcze obficiej niż dawniej — mimo o tyle trudniejszych na szlakach wschodnich stosunków. Jak wytłumaczyć to dziwne na pozór zjawisko? Oto przyczyny ogólne przeważyły nad miejscowemi. Nie tylko Lwów sam stał się starszym i bardziej rozwiniętym, lecz cały świat właśnie wówczas pod ożywczem tchnieniem renesansu zrobił olbrzymi krok w postępie. Szczególnie sprzyjał ten styl rozwinięciu i udogodnieniu świeckich gmachów. Zakres potrzeb życiowych rozszerzył się nadzwyczajnie. A że potrzeba jest matką wynalazków, więc i Lwowian nauczyła łamać przeszkody utrudniające rozwój handlu i przemysłu. Szli dawniej kupcy każdy na własną rękę na wschód, to teraz łączyli się w zbrojne karawany, które jakby ruchoma twierdza albo obronny okręt przerzynały kraje tureckie aż do Stambułu. Był utrudniony przystęp do portów naddunajskich, to hodowano ryby w kraju, dzierżawiąc stawy prawie na całej Rusi. Dość, że nie znamy

---

* Klonowicz: Rozolania str. 76.

ani jednej takiej gałęzi handlu albo przemysłu, któraby dawniej kwitła a podupadła w tej epoce — owszem niektóre właśnie dopiero teraz do najpiękniejszego doszły rozwoju. N. p. handel winem greckiem czyli małmazyą i innemi winami południowych krajów, handel futrami; a z rzemiósł znowu złotnictwo i hafciarstwo tudzież gałęź hafciarstwa namiotnictwo. — Podobny jest ten rozwój do wzrostu szlachetnego szczepka, który zasadzony na korzystnej dla siebie glebie, skoro raz puścił korzenie, rozwija się coraz piękniej mimo nawalnic, tak długo aż póki starość albo choroba od wewnątrz sił jego nie podkopie.

Kończąc ten rozdział o dobrobycie Lwowa w drugiej połowie XVI. i pierwszej XVII. wieku, nie możemy pominąć tego, co dobrobytowi daje dopiero pewien polor szlachetniejszy: t. j. dzieł sztuki i książek. I w tym kierunku nie powstydzi się Lwów ówczesny. Prawie każdy mieszczanin zamożniejszy w inwentarzu swojego testamentu zostawia pokaźną ilość obrazów olejnych i książek. Rzadko się wprawdzie spotykamy z obrazami mistrzów włoskich, ale zato bardzo często z dziełami niderlandzkiej szkoły malarskiej. Zostawił Erazm Syxt obrazów 50, tyleż Ormianin Mik. Bernatowicz, Waleryan Alembek nawet 102. Biblioteczka zaś domowa niejednego patrycyusza dochodziła do poważnej na owe czasy liczby kilkuset książek. Miał ich n. p. Erazm Syxt nie mniej jak 800. Bartłomiej Zimorowicz w akcie ostatniej woli nazwał bibliotekę swoją »sprzętem królewskim«, a dr. Stanisław Dybowicki, rajca lwowski, tak w testamencie swoim napisał, polecając pozostałą biblioteczkę szczególniejszej pieczy spadkobierców: »Ruchome dobra moje różne są, a najprzedniejsze są drogie klejnoty uczciwości i powołania mego, księgi, na których się ja ucząc, z woli i błogosławieństwa Pańskiego temem był, czem byłem«.

Rzecz naturalna to poszanowanie książek, bo było w mieszczaństwie lwowskiem naówczas nie tylko dużo pieniędzy ale i wiele rozumu. Prawie każdy wybitniejszy kupiec bywał do-

ktorem filozofii, inny mieszczanin doktorem prawa, inny doktorem medycyny a niejeden wszystkich trzech naraz wydziałów. Słuchać filozofii w Krakowie, medycyny w Padwie, prawa w Bolonii — to był ideał młodego patrycyusza. Miał też Lwów jak naówczas w Warszawie mówiono »najmędrszą radę w Polsce«, miał sądy, do których się z zaufaniem udawali senatorowie a nawet panujący książęta, miał prawników zdolnych i lekarzy szeroko słynących, takich Oczków, Syxtów, Kampianów i Boimów. Nie brakło także mężów światłych wśród duchowieństwa: imiona dwóch największych w Polsce kaznodziejów łączą się ściśle z naszym grodem. Tutaj w kościele NP. Maryi na Krakowskiem Piotr Skarga pierwsze swoje wygłaszał natchnione kazania, tu się urodził i wychował Fabian Birkowski. Przebywał w naszem mieście także wcale poważny zastęp uczonych. Gdy Jan Zamojski zakładał akademią w Zamościu, to ją urządzał Lwowianin Szymonowicz i kilku ze Lwowa mężów powołał na profesorów. Na zakończenie tego pięknego pocztu godzi się głośnych w naszej literaturze poetów wymienić. Tutaj jeśli się Klonowicza nie policzy, który więcej przebywał w Lublinie niźli we Lwowie, to pozostają jeszcze imiona takie, jak ów przyjaciel Zamojskiego Szymon Szymowicz, jak Szymon Zimorowicz i brat jego Józef Bartłomiej — znany zarazem jako naszego miasta pierwszy dziejopis.

12.

NIEROZWINIĘCIE PRZEDMIEŚĆ.

Bartłomiej Zimorowicz, kiedy się poza mury miejskie wychyli, ze szczególniejszem upodobaniem opisuje Gliniańskie t. j. dzisiejsze Łyczakowskie przedmieście, nie tylko jako swoje miejsce urodzenia, lecz także dla innych przymiotów. Osadzona w drugiej połowie XV. wieku ulica, przedstawiała się już za czasów Zimorowicza jako »licznych mająca mieszkańców, dla chłodników ogrodowych przyjemna, bardzo wiele domów

zajezdnych dla kupców z Bessarabii i z całego wschodu posiadająca, a co jest najważniejszą rzeczą, trzema klasztorami ozdobiona«. Ten opis daje się mniej więcej zastosować do wszystkich przedmieść lwowskich: dużo zieleni i ogrodów, wiele zajazdów, a wśród tego rozrzucone małe domki, najczęściej z drzewa albo z pruskiego muru — jedyne okazalsze gmachy to kościoły. Inaczej być nie mogło na tych przedmieściach otwartych na każdy zapęd nieprzyjacielski. Nawet kościoły musiały być drewniane, aby się za nimi nie mógł ukrywać najeźdca; a jeśli któremu rada miejska pozwoliła wznieść się z kamienia i cegły, to musiał warownym otoczyć się murem. Te więc warowne kościoły były jedyną przedmieść ozdobą — a z nich największą stojący właśnie na czele Gliniańskiego przedmieścia kościół Bernardynów.

Pierwszych Bernardynów, czyli Franciszkanów ściślejszej reguły, zakon, który dopiero w XV. powstał wieku, sprowadził do Lwowa starosta Andrzej Odrowąż, ten sam przeciw któremu cała ziemia lwowska wraz z miastem zawiązała konfederacyą. A chociaż Bernardyni lwowscy już wkrótce po założeniu swojem posiedli skarb nieoceniony w błogosławionym Janie z Dukli, który u nich działał za życia a po śmierci zasłynął cudami, to przecież długo musieli poprzestawać na drewnianym tylko kościółku i klasztorze. Dopiero po upływie całego stulecia znaleźli nowego dobroczyńcę w osobie Jerzego Mniszcha, ojca carowej Maryny (a także lwowskiego starosty), który im do wzniesienia okazalszego przybytku dopomógł. Przy Mniszcha i innych przyjaciół pomocy wznieśli OO. Bernardyni swe gmachy w takiej postaci, w jakiej je dzisiaj widzimy w latach 1600—1622. Stanęły już na przedmieściu, lecz jednym bokiem o warownie miejskie oparte, z dwu innych tak silne rozwinęły mury i baszty, że »możnaby dłużej ich bronić, niżeli zamku lub miasta«. Wśród tego warownego trójkąta wzniósł się kościół w niemieckim renesansie, ciosowy i ciężki, jak na forteczną budowę przystało, ale rozległy i okazały, z pięknie rozłożonym frontonem i wyniosłym, ozdobnym szczytem.

Ten szczyt wysoki, przejęty jeszcze z gotyckiego stylu, to właściwość niemieckiego renesansu, w jakim kościół Bernar-



Fig. 15. Kościół Bernardyński.

dyński jest zbudowany. Widnieją na szczycie herby polskie Zygmunta III. i herby dobroczyńców klasztoru, których por-

trety w zakrystyi kościelnej oglądać można: chudą wyrazistą twarz Odrowąża i ponure oblicze Mniszcha. W kaplicy św. Jana z Dukli za głównym ołtarzem znajdują się pięknie rzeźbione ławki (stalle) dla zakonników, a przed głównym ołtarzem obrazki przedstawiające cuda św. Jana, nie świetnie malowane, ale ciekawe dlatego, że z nich poznajesz dobrze ubiory i sprzęty minionych wieków. Kościół Bernardynów, od patrona pierwszego swego założyciela św. Andrzejowi poświęcony, jako warownia szczególnie był ulubiony przez żołnierzy; tu mieli swoje bractwo, tutaj niejeden po życiu pełnem przygód do klasztoru wstępował.

Zapyta może jeszcze czytelnik, jakie to zresztą dwa kościoły Łyczakowskiej ulicy na myśli miał Zimorowicz? — Jeden Bernardynek, nie bardzo pokaźny, choć także niegdyś warowny — dzisiaj komora celna; drugi św. Wawrzyńca — dzisiaj wojskowy szpital. W pierwszej połowie XVI. wieku miał tam ogród pewien przedmieszczanin, kilku pięknymi ocieniony dębami, z których jeden mieścił na swoim pniu wizerunek jego patrona św. Wawrzyńca. Kiedy, na wieść o pomocy jakiej niejeden doznał od tego Świętego, coraz się tutaj więcej ludu zaczęło schodzić na modlitwę, wystawił urząd miejski z tych drzew kościół, »aby się nie zdawało, że pospólstwo pogańskim zwyczajem czci dęba«. Później zbudowany został ze składek kościół ceglany, który za czasów Zimorowicza oddano Bonifratrom czyli miłosiernym braciom. Był więc już w XVII. wieku szpital na tem miejscu, ale służył szczególnie jako przytułek dla ludzi, których w podróży jaka spotkała przygoda.

O przygodę w drodze naówczas nie było trudno, a szczególnie na łyczakowskim gościńcu niejeden z rozbójnikami spotkał się podróżny. Były tam bowiem jeszcze wielkie pustki — na kościele św. Wawrzyńca kończyło się właściwe przedmieście »Gliniańskie«. Potem już się zaczynał przysiołek »Łyczaków«, więcej pól niźli zagród mający, dalej szła jeszcze mniej zaludniona Wulka Kampianów (w okolicy św. Piotra i Pawła), aż

się i las otwierał, w którym tylko niektórzy mieszczanie miewali swoje pasieki.

Opuszczając przedmieście Łyczakowskie, ledwie kilkaset kroków ujdziemy wzdłuż Wałów, napotykamy znowu na kościół, który i położeniem swojem i budową klasztoru zdradza dawną warownię — nie mówiąc już o tem, że patronowi ludzi wojskowych św. Michałowi jest poświęcony. To kościół i klasztor OO. Karmelitów na górce. Zakonnicy ci przybyli do Lwowa jeszcze przed Bernardynami, ale ich raz pożoga tatarska, a drugi raz morowa zaraza rozprószyła na nowo po świecie. Wreszcie na początku XVII. wieku osiedlili się u nas i to aż w dwóch klasztorach: na miejscu, gdzie dzisiaj gimnazyum Franciszka Józefa Karmelici trzewiczkowi, a na wzgórku Karmelici bosi. Pierwszych fundatorem był garncarz lwowski Wojciech Makuch (1614), drugich książę Aleksander na Ostrogu Zasławski (1634). Dla ułatwienia pobożnym z miasta przystępu do kościoła Karmelitów bosych otworzono w murach miejskich obok wołoskiej cerkwi nowe wyjście, zwane furtą bosacką*. Dzisiaj niema już we Lwowie Karmelitów bosych, tylko owi z Halickiego przeniesieni są na górkę, gdzie się obecnie reszta karmelickich pamiątek gromadzi.

Poza pagórkiem »Bosaków« rozciągały się wówczas puste parowy, które już od miejsca gdzie dzisiaj Franciszkański kościół pokrywały zamiejskie winnice. Tylko pod samym wysokim zamkiem widniała drobna osada od właścicieli swoich »Sobieszczyzną« nazwana. Miała i ta osada swój własny kościółek, św. Wojciechowi poświęcony. W tem miejscu niegdyś przedmieszczanin lwowski Piotr Moskalik pochował dziatki swoje, które utracił w czasie zarazy. Gdy z biegiem czasu coraz tam więcej usypano mogiłek dziecinnych, powstał

---

* Już przedtem na przeciwległym końcu otworzono furtę ze względu na Jezuitów, o których później będzie obszerniej mowa (w ustępie 18). Były więc odtąd we Lwowie dwie bramy: krakowska i halicka tudzież dwie furty: jezuicka i bosacka.

(r. 1607) ze składek rodziców ów kościółek św. Wojciecha, który w dzień św. patrona, z pierwszem obudzeniem się wiosny, liczne odwiedzały orszaki.

Nie tak smutne ale także zajmujące wspomnienie łączy się z drugim kościołem u stoków Wysokiego Zamku położonym — z kościołem zakonu Benedyktynek (pod wezwaniem Wszystkich Świętych). Zdarzyło się, że aż trzy panny Saporowskie, córki szlacheckie, przyjęły welon zakonny. Ojciec więc kupił im naprzód dworek pod zamkiem dla tymczasowej klauzury, a potem wszystkie posagi obrócił na budowę murowanego klasztoru i kościoła, który arcybiskup Solikowski w r. 1597 poświęcił. I ten klasztor musiał być niegdyś obronnym, jak to widać po zachowanej do dnia dzisiejszego baszcie. Baszta ta zbudowana w stylu renesansowym, pięknemi nasadami i posągami Świętych uwieńczona, prawdziwą tego klasztoru stanowi ozdobę.

Przed nami rozściela się teraz przedmieście Żółkiewskie ze swemi licznemi cerkwiami. Prastare to wprawdzie cerkwie, ale się w mury także dopiero wówczas oblokły; dotychczas były drewniane. Naprzód bazyliański monaster św. Onufrego przy końcu XVI. wieku, potem cerkiew św. Mikołaja na początku XVII., wreszcie św. Paraskiewia (Piatnycia) w połowie XVII. wieku. Cerkiew św. Mikołaja posiada kilka starych obrazów, zresztą uboga jest i wszelkiego pozbawiona wdzięku, u Bazylianów chyba starożytne nagrobki* zatrzymają na chwilę

---

* Jeden nagrobek Stefana Tomży, nieprawego hospodara Mołdawii, który schwytany w Polsce, ścięty został we Lwowie na rozkaz Zygmunta Augusta — drugi nagrobek Heleny Poniatowskiej, córki innego przywłaszczyciela mołdawskiego Jankuły, którego stracono także w naszem mieście z polecenia Stefana Batorego. Jużto Lwów wogóle nieszczęśliwy był dla tych wołoskich awanturników, bo jeszcze i trzeci z nich Iwan Podkowa oddał tu głowę pod miecz katowski na kilka lat przed Jankułą. Królowie polscy zmuszeni byli do takiej surowości ze względu na spokój i bezpieczeństwo Rusi, której tacy awanturnicy nie tylko swoją wła-

badacza przeszłości, a tylko jedna cerkiew św. Paraskiewii do wszystkich przemawia oryginalną swą i pomnikową architekturą. Cała wznosi się z ciosu, wewnątrz zdobią ją piękne carskie wrota z XVII. wieku, a zewnątrz herby z napisem: »Sonce, misiac i korona, to jest nasza oborona«. Tą »obroną« Rusinów na Krakowskiem przedmieściu był znowu hospodar wołoski: Szymon Bernawski — a słońce, księżyc i mitra książęca ponad wołową głową, to ziemi mołdawskiej herby.

Inna znowu właściwość odznaczała domy Boże zbudowane na drugiej części krakowskiego przedmieścia, na tej, która się ciągnie od Pełtwi ku św. Jurowi. Tam stała przeważna część kościołów cechowych. Jak wielkie rody miejskie miały swoje kaplice albo ołtarze w katedrze, tak też i cechy, w których skupiali się rzemieślnicy, miały kilka swej pieczy powierzonych kościołów. Ów piękny gotycki kościółek św. Stanisława należał do tkaczy, kościół św. Anny na Grodeckiem do krawców: kościół Znalezienia św. Krzyża na dzisiejszym trakcie janowskim do szewców*. Zresztą był jeszcze we Lwowie kościół Podwyższenia św. Krzyża na Halickiem, w miejscu gdzie dzisiaj budynek sądowy — tam gromadzili się kowale, ślusarze, kotlarze i igielnicy, zaś w kościele św. Wawrzyńca na Łyczakowie garncarze i powroźnicy.

Kościół św. Anny na Grodeckiem, jedyny istniejący po dziś dzień z tych wszystkich pięciu, skromny jest w swojej budowie i tylko godna pamięci historya jego powstania. Zdarzyło się w pierwszych latach XVI. wieku, że czeladź krawiecka zmówiła się przeciw majstrom i postanowiła nocną porą opuścić miasto. Na miejscu, gdzie dzisiaj kościół św. Anny,

---

sną osobą zagrażali, ale także i przezto, że mogli byli spowodować wmieszanie się Turcyi, jako zwierzchniczki Wołoszczyzny.

* Odległość tego kościoła od krakowskiej bramy wynosiła tyle ile odległość Golgoty od jerozolimskiej bramy; po drodze urządzone były stacye Męki Pańskiej, szczególnie w wielki piątek licznie odwiedzane.

zabiegli jej drogę pachołkowie miejscy, zbrojni w cepy żelazem okute i dlatego cepakami nazwani, usiłując zatrzymać wychodźców. Stąd przyszło do walki, w której kilku czeladników zabito i na tem miejscu pogrzebano. Ocaleni, zostawszy później sami majstrami wznieśli na pamiątkę kościół, który był zrazu drewniany, a po kilku przeróbkach dopiero na początku XVIII. wieku otrzymał tę postać, w jakiej go dzisiaj widzimy.

Poza kościołem św. Anny aż do ówczesnej drogi sokolnickiej, czyli dzisiejszej ulicy Kopernika, cała ta wielka zachodnia połać Lwowa, przedstawiała jeszcze i wówczas wielką w osadnictwie lukę. Zajmowały ją tylko moczary, stawy i łąki, zrzadka kępkami drzew i drożynami polnemi przerywane. Dopiero na początku XVII. wieku ożywiła się i zabudowała nieco w tej okolicy pod wpływem Jezuitów owa droga, która od furty ich do folwarku — dzisiaj ogrodu — jezuickiego prowadziła. Z tego powstała później jezuicka ulica. W górnej zaś części dzisiejszej ulicy Syxtuskiej założyli Syxtowie folwark od swego imienia Syxtówką nazwany. Na pagórku ponad tym folwarkiem wznieśli wśród drzew kamienny posąg przedstawiający mękę Chrystusa Pana w płaskorzeźbie. Otóż obok tego posągu, który się aż do naszych czasów dochował, zbudowała kapliczkę, później kościół, św. Maryi Magdaleny (1600) szlachcianka Anna Pstrokońska. Widać w kościele św. Maryi Magdaleny dwie części składowe: przód kościoła nowszy i tył kościoła dawniejszy. Tylko ta ostatnia część, służąca dzisiaj za kaplicę więzienia kobiet stanowiła ówczesny kościół. Znajduje się tam ołtarz główny cały od góry do dołu wykuty z kamienia, w którym sceny z życia św. Maryi Magdaleny są przedstawione. Nie jest to dzieło wyższego artyzmu, ale też rylec nie całkiem pośledni — zapewne jednego z tych domorosłych rzeźbiarzy, których tak wiele było naówczas we Lwowie. Patrząc na ten ołtarz przypominamy sobie mimowoli słowa Zimorowicza: »Praca ojca mego wiele kamieni na Świętych przerobiła, wielka część miasta wewnętrznego na azbe-

stową* przemieniona, a wyryte na marmurach publiczne napisy tu i ówdzie czytamy«.

Jeden z takich napisów, a obok niego znowu w podobnym stylu rzeźbę, można zaraz na przeciwległym kościołowi św. Maryi Magdaleny pagórku oglądać. Rzeźba przedstawia patrona ubogich św. Łazarza, a wprawiona jest w murze otaczającym niewielki kościółek i należące do niego zabudowania. To dobroczynna fundacya mieszczan lwowskich: dom ubogich miasta Lwowa. Po św. Duchu i św. Stanisławie trzeci to już we Lwowie przytułek dla ubogich i chorych, który obecnie majątek wszystkich trzech w sobie jednoczy. Założono go w latach 1618—1621 staraniem bractwa rożańcowego przy kościele OO. Dominikanów, a szczególnie członka tego bractwa Marka Ostrogórskiego. Kościółek tutejszy budował Włoch Ambroży z Engadinu, znany we Lwowie pod nazwiskiem »Przychylnego«. Rzeczywiście, po czystości renesansu poznać w tym skromnym kościółku włoską rękę. Szkoda tylko że od tej budowy harmonijnej odbija tak bardzo ubóstwo wewnętrznego urządzenia, któremu jeszcze pewien ponury koloryt dodają obrazy szczególnie srogie męczeństwa przedstawiające.

Od miejskiego domu ubogich zaczyna się już okolica Kaleczej (dziś Cytadelnej) góry, do której wówczas zaliczano także przestrzenie zajęte obecnie przez uniwersytet. Już wówczas ulubiona to była przez budujących wille okolica. W pobliżu św. Łazarza stała willa Boimów i ów dworek Tołoczków, w którym »dla zdrowszego powietrza i odprawowania lekarstw« przebywały »różne osoby senatorskiego stanu«, a nawet sam król Jan Kazimierz. Z drugiej znowu strony góry Kaleczej (bliżej uniwersytetu) mieli swe letnie dworki Kampianowie, Ostrogórscy i Zimorowicz. Tu nawet wdowa po Marku Ostrogórskim postawiła jakby domową kaplicę mały kościółek pa-

* Ma być pewnie: na alabastrową.

tronowi swego męża poświęcony*. Cała ta część zwana »górą Kaleczą« daleko się znaczniej wówczas niż dzisiaj od miasta oddzielała, bo na miejscu placu Chorążczyzny połyskiwał się jeszcze stawek, a ponad Pełtwią przy dzisiejszej Akademickiej ulicy ciągnęły się tylko liche domki garbarzy.

Wzdłuż tych »Garbarów« zbliżamy się do owego mostu ozdobionego figurą Pana Jezusa na krzyżu, który stał z tej lub z tamtej strony ogrodu Fredrów, a wówczas nosił nazwę »wołoskiego mostu«. W średnich wiekach kończyło się tutaj przedmieście Lwowa — a nawet w XVII. wieku nie wiele jeszcze domków zbudowano »Na Rurach« i na »Sichowskiej« (Zielonej) drodze. Kresem ich ostatecznym były grunta dziś Szumanówką zwane, na których nie wolno było osadzać mieszkańców, ze względu na to, iż tam już odbywały się ćwiczenia w strzelaniu z armat. Po wschodniej stronie rzeczki Pasieki nie dochodziły osady ludzkie dalej jak do stawu Sakramentek, który się wówczas »Wroblęcym« stawem nazywał. Cała ta okolica od stawu Wroblęcego aż do dzisiejszej ulicy Pańskiej (to znaczy teraźniejsza ulica Sakramentek i Piekarska) nosiła wówczas nie bardzo ozdobne miano »psiego rynku«. Pierwszych osadników sprowadził tutaj już na początku XV. w. mieszczanin lwowski Piotr Eisenhüttel, ale wówczas była to jeszcze odrębna osada zamiejska, podobnie jak Zamarstynów**. Dopiero w pierwszej połowie XVII. wieku rozwinęła się bardziej ta okolica i połączyła z przedmieściem Halickiem. Już wówczas najliczniej ze wszystkich rękodzieł było tu zastąpione piekarstwo.

Obeszliśmy w ten sposób naokoło całą przestrzeń zajętą przez lwowskie przedmieścia i przekonaliśmy się, że już one

---

* Kościółek św. Marka stał na miejscu gdzie dzisiaj szkoła lasowa. Inna znowu mieszczanka lwowska Zofia Hanlowa założyła w tym samym czasie kościółek pod wezwaniem swojej patronki na Zofiówce.

** Porównaj str. 50.

znacznie powiększyły się i podniosły. Wiele tam mieszkało ludzi zamożniejszych, wiele rzemieślników wyrobionych. Nie tylko zwyczajniejsze zajęcia, jak furmaństwo, garncarstwo, garbarstwo, piekarstwo, miały tu swoich przedstawicieli, ale także i szlachetniejsze rękodzieła jak kamieniarstwo, malarstwo, złotnictwo. Kłuło więc to w oczy przedmieszczan, że nie mają tych samych praw, co miasto, lecz raczej są jego poddanymi. Siedzieli bowiem na gruntach miejskich, na owych stu łanach nadanych miastu przez królów; musieli za to czynsz opłacać i dostarczać szarwarków dla utrzymania warowni lwowskich w dobrym stanie. Nie mieli żadnego udziału w prawach handlowych i propinacyjnych, nie mogli być do urzędów miejskich wybierani. Nie przyniosły żadnego skutku starania o pozbycie się choćby tylko ciężarów — więc wpadli przedmieszczanie nasi na pomysł szeroko zakrojony. Otoczyć się wkoło linią fortyfikacyjną i uzyskać dla objętego tą linią obszaru prawo udzielnego miasta — oto był projekt, który uwalniał od zawisłości wobec śródmieścia i zapewniał zarazem bezpieczny od zagonów nieprzyjacielskich rozwój.

Projekt ten przedłożyli w r. 1607 Zygmuntowi III. mieszkańcy Halickiego przedmieścia. Król okazał się przychylnym ich myśli i przysłał nawet swego inżyniera Aurelego Passarotti dla zakreślenia planu. Linia fortyfikacyjna poczynać się miała od wilczej góry, gdzie dzisiaj strzelnica, iść dalej przez Łyczaków, Rury, Zielone, przez górę Kaleczą i górę św. Maryi Magdaleny poza Jezuicki ogród aż do krakowskiej bramy. Wkrótce spostrzeżono się, że jest to obszar za wielki i odcięto od niego znaczny kawał zwłaszcza od strony Łyczakowa i ulicy »Na Rurach«. Ale i tak uznała komisya z hetmanem Żółkiewskim na czele plan ten za niewykonalny, ponieważ wymagałby dwóch milionów kosztu i kilkunastutysięcznej załogi (1617). Jednak nie dali przedmieszczanie za wygraną i kiedy Władysław IV. przybył do Lwowa (1634), odnowili znowu swój projekt, na jeszcze większą skalę. Dawniej tylko Halickie, teraz też i Krakowskie przedmieście objęte być miało

wałami: od Wysokiego Zamku aż do góry Katowskiej, a stąd aż do św. Jura. Przez bastyony i reduty wzmocnić zamierzano na wynioślejszych punktach wały.

Lecz wielki bywa w rzeczach ludzkich odstęp między zamiarem a wykonaniem, tem większy, im dalej zamiar sięga. Król i Rzeczpospolita nie przyczynili się niczem do wykonania nowej myśli, patrycyusze miejscy prócz słów zachęty, ofiarowali tylko nieco robotnika ze swoich wiosek, a przedmieszczanie sami nie mieli więcej do rozporządzenia prócz swoich rąk i swoich nie bardzo zasobnych funduszów. Wzięto się zrazu do roboty, lecz wkrótce ludność przedmiejska i płacić i robić nie chciała, widząc że praca w ten sposób prowadzona mogłaby trwać i pół wieku. Skończyło się więc wszystko na lichych wałach, słabemi osłoniętych palisadami, które nazywano »szlakami«. Dzisiaj z owej budowy nowego miasta, które raz Władysławią, raz Kazimierzem (od Władysława IV. i Jana Kazimierza) nazywać się miało, zostały tylko resztki nasypów w ogrodzie Namiestnictwa od strony ulicy Franciszkańskiej, w ogrodzie jeneralnej komendy i w pewnej prywatnej realności blisko Kręconych Słupów.

Całe przedsiębiorstwo w zupełności się nie powiodło, a to niepowodzenie pociągnęło za sobą bardzo szkodliwe skutki. Najbliższem następstwem było, że wzmogła się jeszcze niechęć do miasta ze strony przedmieszczan a zwłaszcza chłopów lwowskich, których robociznę wówczas (nie na ich korzyść) uregulowano. Ale nie mówiąc nawet o tych następstwach to już rzecz sama — to nieudanie się obwarowania przedmieść — nie dobrze dla Lwowa wróżyła. W dawnych czasach, kiedy tak często zdarzały się zagony nieprzyjacielskie, tylko w ten sposób powiększały się miasta, że do jednej twierdzy dostawiano drugą i trzecią. W ten sposób powiększył się Kraków Kleparzem i Kazimierzem — Lwów dawny nie miał się więcej rozszerzyć. I oto w dobie największego rozwoju naszego miasta, pokazuje się już jakby we mgle widnokręgu granica i zapowiada: tu dotąd i już nie dalej.



Fig. 16. Widok Lwowa w roku 1617.

13.

PIERWSZE CHMURY WOJENNE.

Krwawe a długoletnie wojny, które zapełniły wiek XVII. od początku do końca i podkopały siły całej Rzeczypospolitej polskiej, zgasiły także i świetność Lwowa. Prawda, że długiego potrzeba było szeregu nieszczęść, aby wyczerpać owe bogate zasoby, które we Lwowie zgromadził wiek złoty, ale ich los zawistny nie poskąpił naszemu miastu. Jeszcze Lwów jaśniał w całym blasku sławy i zamożności, kiedy już dotkliwe spadły na niego ciosy, jak gdyby pierwsze gromy, które przygotowują do nadchodzących z dali coraz straszliwszych orkanów.

Od czasu zwycięstwa obertyńskiego (1531) nastąpił dla naszych stron czerwonoruskich długi szereg spokojnych lat. Wprawdzie król Zygmunt I. zgromadził na polach pod Zboiskami jeszcze raz przeciw Wołochom pospolite ruszenie szlachty, ale na swarach i na zjedzeniu wszystkich kur lwowskich do jaja i do pisklęcia skończyła się ta wyprawa, słusznie »kokoszą wojną« nazwana (1537). Później znowu było dosyć spokojnie na Rusi. Nawet napady tatarskie o wiele stały się rzadszymi, skutkiem mądrej polityki Zygmuntów i Batorego, którzy jak najściślej przestrzegali pokoju z Turcyą. Polska tylko w jedną stronę skupiła wówczas swe siły — do walki przeciw Moskwie. Ale to pole wojenne odległe było od Lwowa; do nas przychodziły tylko z daleka zwycięskie wieści, albo wracali zasłużeni w chlubnych bojach wojacy Batorego — między nimi tutejszy kotlarczyk Walenty Wąs, za podpalenie zamku połockiego odznaczony szlachectwem.

Dopiero czasy Zygmunta III. przyniosły wojny ponad siły Polski, których brzemię także nad Lwowem zaciężyło srodze. Nie tylko wojny zewnętrzne były niezwykle częste, ale prócz tego pojawiło się jeszcze straszne i nieznane oddawna w Polsce

widmo wojny domowej — tej wojny po której rany tak trudno się zabliźniają*.

Już sam wybór Zygmunta stał się hasłem wojny domowej, gdy jedni się za nim a drudzy za Maksymilianem, arcyksięciem austryackim, oświadczyli. Lwów stanął po stronie Zygmunta tak jak i szlachta tutejsza, i musiał zato wytrzymać oblężenie ze strony maxymilianowego stronnika Mikołaja Jazłowieckiego, śniatyńskiego starosty (1587). Później wybuchła jeszcze smutniejsza wojna domowa, bo podniesiona przeciw raz już uznanemu i koronowanemu królowi. Był nią rokosz Zebrzydowskiego przeciw Zygmuntowi III. wzniecony. Szlachta Rusi i jej stolica zachowały wierność prawowitemu władcy, wojna też toczyła się aż nad Wisłą, ale i tak przerzuciła zarzewie swoje na Ruś. W tem nieszczęsnem rozprzężeniu ogólnem, wywołanem przez rokosz, doszło do tego, że jeden magnat przeciw drugiemu na własną rękę wojnę toczył. Herburtowie i Stadniccy, chociaż jedni i drudzy rokoszanie, zwalczali się wzajemnie. Otóż gdy jeden z Herburtów schronił się na zamek niski we Lwowie, było miasto nasze narażone ponownie na kilkunastudniowe oblężenie ze strony

* Były wprawdzie pomniejsze zaburzenia w Polsce już za Zygmuntów, ale nie doszły jeszcze do rozmiarów wojny domowej. Z tych wypadków najbardziej dało się uczuć naszemu miastu zaburzenie wywołane sprawą H a l s z k i z O s t r o g a. Halszka z Ostroga była to najbogatsza za czasów Zygmunta Augusta na całą Polskę i Litwę dziedziczka, o której rękę starało się wielu znakomitych panów. Otrzymał ją za wpływem króla Łukasz z Górki, wojewoda brzesko-kujawski, jednakże tak matka jak i córka były temu panu niechętne i uciekły przed nim do lwowskiego klasztoru Dominikanów. Tutaj przekradł się w ubraniu żebraka książę Semen Słucki i poślubił potajemnie Halszkę. Król jednak uznał to małżeństwo za nieważne i kazał staroście lwowskiemu oddać Halszkę Łukaszowi. Rozpoczęło się tedy formalne oblężenie pań Ostrogskich, w czasie którego nawet z dział uderzano. Nareszcie musiały się poddać, a starosta lwowski wydał na niskim zamku Halszkę Łukaszowi (1559). Nieszczęśliwa po takich przejściach wkrótce umarła w obłąkaniu.

Stadnickich, chociaż go cała sprawa nic a nic nie obchodziła (1606 roku).

Skończyły się wreszcie te wojny domowe, ale pozostawiły po sobie bardzo smutne następstwo: ducha niezgody i niesforności w narodzie a szczególnie w wojsku. Podkopało to nie tylko wewnętrzny rozwój Polski, ale osłabiło też odporność jej wobec nieprzyjaciół. Jak już wspomniano powyżej, były za króla Zygmunta III. liczne wojny zewnętrzne: dwie wojny szwedzkie, wojna moskiewska i turecka. Nieraz przy tem zabrakło pieniędzy na żołd dla wojska: wtedy niesforny żołnierz, niepomny ani na obowiązek ani na honor, rzucał się do obdzierania własnej ojczyzny. Szczególnie wybrało sobie żołnierstwo miasto Lwów jakby na pastwę swoich niecnych sprzysiężeń — a kontrybucye wycisnięte przez własnych żołnierzy podkopały już znacznie dobrobyt miasta, zanim go do reszty zniszczył nieprzyjaciel.

Już w czasie pierwszej wojny szwedzkiej, którą Zygmunt III. rozpoczął nie w interesie Polski ale w obronie własnych praw swoich do korony szwedzkiej, musiał Lwów dwa razy znaczne sumy składać na żołd dla wojska (r. 1603 i 1604). Ale do niebywałych rozmiarów doszły te kontrybucye żołnierskie podczas moskiewskiej wojny, kiedy to Mniszech i inni Polacy popierali na własną rękę Dymitra Samozwańca i wciągnęli przez to cały naród do wojny z Rosyą. Wówczas świetne zwycięstwa Żółkiewskiego, zdobycie Moskwy, wybór królewicza Władysława na cara — wszystko to zmarnowało się nie tyle przez chwiejność Zygmunta III., ile właśnie przez owe bunty żołnierskie.

Wojsko nie otrzymawszy na czas żołdu, opuściło zdobytą Moskwę i wkroczyło do krajów ruskich, by je objadać. W Krośnie rezydował marszałek związku wojskowego Józef Ciekliński, a do Lwowa posłano na kwaterę Maszkiewicza i Grabiankę (1613). Lwowianie mogli się byli oprzeć żądaniom żołnierskim, zwłaszcza że sam hetman Żółkiewski na sejmie do surowych kroków doradzał, ale okazali w tym wypadku

wielką słabość. Pozamykali wprawdzie bramy przed żołnierzami i tylko furtą jezuicką sprowadzali żywność do miasta, ale dziesięciu pachołków Maszkiewicza, postawionych u furty, wystarczyło do odcięcia miastu wszelkiego dowozu. Doszło do tego, że trzeba było mięso na sznurze przez mur przeciągać a na ogień pod kuchnię rąbać niecki i inne sprzęty domowe. Zamiast stawić opór okupowali się tylko mieszczanie przy każdej sposobności. To ośmieliło żołnierzy nie tylko na teraz lecz raz na zawsze do uważania Lwowa jakby za swoją warownię. Weszli do miasta z całym taborem i tutaj gotowali się do obrony na wypadek gdyby ich Rzeczpospolita orężem ścigać zamierzała. Ale Rzeczpospolita taką samą okazała słabość jak nasze miasto i zapłaciła im we Lwowie co tylko chcieli. Tylko przeciwko tym, którzy po zapłacie jeszcze plądrować nie poprzestali, wystąpił Żółkiewski z całą surowością i pochwytawszy łupiezców, dwudziestukilku w naszem mieście śmiercią ukarał.

Nastąpiła wojna turecka, owa sławna wyprawa chocimska, w której Polska odparła czterykroć liczniejszą potęgę Osmanów — i oto zaledwie po jej ukończeniu nowa pojawia się (pod laską Alex. Nowińskiego) konfederacya wojskowa. Żołnierze szli już teraz do Lwowa jakby do swojej zwyczajnej kwatery i tak długo trapili miasto, póki im Rzeczpospolita przy pomocy mieszczan lwowskich nie wypłaciła żołdu (r. 1622). Jeszcze raz powtórzyła się taka konfederacya, z podobnym jak poprzedzające przebiegiem, po drugiej szwedzkiej wojnie (r. 1636). A tak w krótkim przeciągu czasu lat 27miu Lwów aż 5 musiał złożyć na rzecz własnych żołnierzy okupów.

Kiedy po długich a nie zbyt szczęśliwych rządach Zygmunta III., nadeszły wreszcie lepsze czasy Władysława, skończyły się okupy wojenne dla Lwowa, ale nie powróciła owa swoboda, którą daje poczucie zabezpieczonego na dłuższy czas pokoju. Władysław IV. zakończył wprawdzie bardzo prędko a szczęśliwie rachunki nasze ze Szwecyą, z Turcyą i z Moskwą, ale nie spoczął przeto na laurach. Przewidywał konie-

czność zmierzenia się stanowczego prędzej czy później z potęgą turecką i czynił w tym kierunku usilne przygotowania. W tych okolicznościach musiała i Lwów zaprzątać ustawiczna troska o przyszłą wojnę — o wojnę, której gromy już nie z daleka i pośrednio, ale z bliska i prosto weń godzićby miały. Pamiętał więc o należytem uzbrojeniu Lwowa król Władysław, nie mogli też zasypiać sprawy i sami Lwowianie.

Już samo popieranie myśli dążącej do obwarowania przedmieść nie w innej jak w tej właśnie czynione było intencyi. Prócz tego zaopatrzył Władysław Lwów w arsenał państwowy czyli królewski, który odtąd był główną kwaterą posyłanych do Lwowa załóg wojskowych. Arsenał ten, przypierający do gmachów Dominikańskich, daleko miał dawniej okazalszą postać niż dzisiaj. Szczyt jego od strony wałów zdobił spiżowy posąg św. Michała, opatrzony napisem: »Książę oręża Michale tobie pioruny wojny poświęca król Władysław«. Posąg ten, znajdujący się obecnie w muzeum historycznem miasta Lwowa, jest cennym zabytkiem istniejącej niegdyś przy arsenale królewskim odlewarni armat, która nie tylko Lwów, ale też niejeden obóz wojenny zaopatrzyła w działa.

A teraz poznajmy bliżej przygotowania wojenne samych Lwowian. Mury i baszty były w należytym stanie, arsenał miejski — ów drugi stojący na rogu dzisiejszej ulicy Sobieskiego* — był dobrze zaopatrzony, stała milicya miejska znajdowała się w pogotowiu. Odkąd z powodu wybierania królów trafiały się długie i burzliwe bezkrólewia, zmuszone było miasto dla swego bezpieczeństwa przyjmować na żołd wojskowych. W czasie pierwszego bezkrólewia ugodzono 50 żołnierzy, po śmierci Stefana Batorego było ich w służbie miasta

---

* Arsenał ten zaczęto budować w r. 1554, na miejscu dawnego mniejszego, który istniał już za jagiellońskich czasów. Wówczas użyto gruzów z owego starego arsenaliku do wzniesienia wojennego szpichlerza miejskiego, który dotychczas istnieje na wałach naprzeciw Karmelitów.

Lwowa dwustukilkudziesięciu. Nosili barwę białą z błękitnemi przepaskami. Z początku rozpuszczano ich po koronacyi nowego króla, później zawsze jakiś stały oddział bywał na żołdzie we Lwowie.

Jednakże oddział taki byłby nigdy nie wystarczył, gdyby nie ciągłe pogotowie wojenne wszystkich wogóle mieszczan lwowskich. W tym zaś kierunku dawne towarzystwo strzeleckie we Lwowie główną i niezaprzeczoną położyło zasługę. W czasach średniowiecznych zatknięta była na górze gdzie dzisiaj seminaryum łacińskie wysoka żerdź, na której umieszczano drewnianego kurka (koguta), jako cel dla strzelających z łuków i z kusz. Kto go strącił otrzymywał nagrodę od rady miejskiej i nazwany był królem kurkowym. Jeszcze za czasów Zygmunta Augusta strzelanie królewskie odbywało się z łuków, chociaż już od 150 lat broń palna była w użyciu. Dopiero Henryk Walezy zarządził, aby o nagrodę królewską wolno się było ubiegać także bronią palną.

Odtąd broń palna wzięła w ćwiczeniach przewagę, ale nie strzelba tylko działo — a dawny król kurkowy przezwany został królem dzielnym. Ponieważ na dawniejszej górze strzeleckiej za mało było już miejsca, więc rada miejska, zamiast rocznej wypłaty nagrody, ofiarowała strzelcom kamieniczkę przy bramie krakowskiej i obok niej grunt przy wałach (gdzie dzisiaj plac Strzelecki). Tu odbywały się ćwiczenia z mniejszych dział, z większych zaś (jak już dawniej wspomniano) na gruntach zwanych obecnie Szumanówką. Grunta te otrzymało bractwo strzeleckie od miasta w zamian za górę strzelecką, którą odstąpiono pod budowę kościoła Karmelitanek bosych, dziś arcybiskupiej kaplicy.

Gdy król Zygmunt III. nadał strzelcom t. zw. spaśne, t. j. opłatę z pastwisk w 8mio-milowym promieniu wkoło Lwowa (którą składali kupcy pędzący woły na jarmark), było bractwo w możności ustanowić aż cztery premie strzeleckie. Pierwszą (najniższą) był baran o pozłacanych rogach i runie złotym piaskiem przesypanem, drugą wół o rogach posrebrza-

nych, trzecią postawa sukna, czwartą (królewską) puhar srebrny obficie pozłacany. Każdy mieszczanin miał prawo brać udział w strzelaniu królewskiem, a obowiązek stawić się co niedzieli popołudniu przez całe lato do ćwiczeń. Stąd owa wprawność dawnych mieszczan lwowskich w strzelaniu z armat, która naszemu miastu w najbliższym czasie nieocenioną miała oddać przysługę.

Takie były doświadczenia i takie przygotowania wojenne dawnych mieszczan lwowskich w przededniu owych czasów, w których siła odporna Lwowa wobec nieprzyjacielskiego najazdu prawdziwie ogniową miała wytrzymać próbę.

14.

CHMIELNICKI Z TATARAMI POD LWOWEM.

Kiedy Władysław IV. zamknął oczy, przedwczesną z tego świata zabrany śmiercią (w maju r. 1648), cała już Polska stała w płomieniach. Nie wybuchła wprawdzie wojna turecka, ale zawrzała stokroć od wszystkich straszniejsza wojna domowa. Kozacy, stanowiący dotychczas nieregularną siłę zbrojną Polski na kresach tatarskich nad Dnieprem, podnieśli bunt przeciwko Rzeczypospolitej pod wodzą Bohdana Chmielnickiego. Przyczyna leżała głęboko w ogólnem już osłabieniu siły państwowej polskiej, która ani zdołała swawolnej natury kozackiej ująć w należne karby, ani z drugiej strony zasłonić jej od nadużyć potężnych magnatów. Jakie tylko mogły być wówczas w ojczyźnie naszej przeciwieństwa te wszystkie podniosły głowę: przeciwieństwo kościoła wschodniego przeciw zachodniemu, Rusina przeciw Polakowi, ubogich przeciw bogatym. Szedł Chmielnicki w przymierzu z Tatarstwem jak gdyby chmura gniewu Bożego na Polskę, mierząc na samą Warszawę. Pod Żółtemi Wodami, pod Korsuniem, pod Pilawcami ulegli Polacy; nie było króla, ni ładu, ani pieniędzy, ni wojska. Cała straszna nawała, która się groźnie toczyła w głąb Polski,

musiała najprzód uderzyć o Lwów, który tylko na swoje własne mógł się oglądać siły.

Rankiem dnia 26 września 1648 równo z otwarciem bram rozeszła się po Lwowie wieść o pogromie pilawieckim. Haniebna to była klęska. Obóz polski, złożony z 34.000 rycerstwa i 200.000 pachołków, za samem zbliżeniem się nieprzyjaciela poszedł w zupełną rozsypkę; wodzowie pierwsi uciekli. Nie chciano z początku wierzyć we Lwowie przygnębiającej wieści, ale ją potwierdzili coraz to liczniej nadbiegający wojskowi. Przybyli za nimi i wodzowie tej hańby, unikając ze wstydu wzroku ludzkiego; witał ich płacz pospólstwa i głośne szemranie żołnierzy. Jeden z tych wodzów, Zasławski, popasał tylko we Lwowie, drugi, Ostroróg, zatrzymał się dłużej.

Skoro się tylko Lwowianie dowiedzieli, że Ostroróg zostaje w ich mieście, zaraz się doń zgłosili z prośbą, by w tak okropnej chwili nie opuszczał Lwowa. Ostroróg odrzekł, że wszystko stracone, że trzeba się poddać, bo niema ani pieniędzy ani broni dla wojska. Wówczas powtórna deputacya mieszczan oświadczyła, że Lwowianie pragną siebie i skołataną Rzeczpospolitą ratować życiem i mieniem, że pieniędzy pożyczą i dostarczą broni. Zdumiał się Ostroróg i postanowił zostać. Jakoż zaraz rozesłał zaproszenia na radę wojenną, naznaczając jako miejsce zebrania kościół OO. Franciszkanów pod niskim zamkiem.

Kiedy zasiedli wojskowi na radę, zjawia się w kościele zacna Ormianka, Katarzyna Słoniowska i złożywszy srebro u panien Karmelitanek zebrane u stóp księcia Wiśniowieckiego, zaklina z płaczem, aby stanął na czele wojska i ratował ojczyznę. Wszystkich obecnych prośby łączą się z jej głosem: tylko Jeremi Wiśniowiecki posiadał zaufanie wojska i obywateli. Wzbrania się książę Jeremi, przekłada, że sejm nie jemu tylko Ostrorogowi powierzył dowództwo, wreszcie zmiękczony prośbami przyjmuje ciężar na swoje barki, by dzielić go z Ostrorogiem. Wtedy zapał powszechny ogarnął mieszkańców, wszystko znosi swoje dostatki na obronę ojczyzny i miasta.

Owa rada wojenna w kościele OO. Franciszkanów odbyła się w poniedziałek bezpośrednio przed św. Michałem (28/9), a do drugiego poniedziałku (5/10) zebrano we Lwowie w pieniądzach i kosztownościach 1,300.000 zł. pol. ówczesnych, czyli około miliona zł. reńskich dzisiejszych!* Naówczas stało się coś nadzwyczajnego. Książę Jeremi Wiśniowiecki, zabrawszy pieniądze i wojsko — w chwili kiedy się właśnie już nieprzyjaciel pokazał pod Lwowem — zniknął tajemnie z miasta... Być może, że potrzeba całej ojczyzny wymagała, aby nie zamykać resztki zasobów wojennych w niepewnej fortecy, ale w takim razie powinien był książę Jeremi i poza Lwowem będąc lepiej o Lwowie pamiętać, niżli to wówczas uczynił.

Na wiadomość o odjeździe wojskowych i o zbliżeniu się nieprzyjaciela uderzono z dział miejskich na alarm, i kto tylko czuł się na siłach, ten biegł na obronę wałów. Było we Lwowie nie więcej jak 250 żołnierzy (koronnych i miejskich) i około 1500 uzbrojonych mieszczan**. Naczelne kierownictwo obrony spoczywało w ręku Krzysztofa Arciszewskiego, doświadczonego w służbie holenderskiej wojownika; mieszczanami dowodził burmistrz Groswaier. Przeciwko garstce obrońców Lwowa, która razem nawet do dwóch tysięcy nie dochodziła, nadciągała ćma niezmierna Kozaków, Tatarów i zbuntowanej czerni chłopskiej. Opowiadano, że było w tej nawale do 200.000 ludzi! Lecz choćby nawet strach tę liczbę o całą połowę przesadził, i choćbyśmy wzięli na uwagę, że tylko

* Wówczas złoty polski przedstawiał wartość 70 ct. austr. teraźniejszych.

** Według Zimorowicza ludność Lwowa wynosiła wówczas więcej niż 30.000 mieszkańców — z czego wynika, że prawie co dwudziesty człowiek stanął do obrony. Kamienic (przeważnie dwupiętrowych) było naówczas w śródmieściu przeszło 400, domów na przedmieściu około 1500. Otóż licząc po 10 osób na każdy dom i na każde piętro w kamienicy, a dodawszy do tego zaludnienie klasztorów i gmachów publicznych a wreszcie chroniących się we Lwowie obcych ludzi, otrzymamy w przybliżeniu tę samą cyfrę.

Kozacy sami mieli porządne uzbrojenie, to i tak była to więcej niż przemoc — był to prawdziwy zalew nieprzyjacielski.

Skoro tylko ranek zaświtał nazajutrz po ucieczce wodzów (6/10), ujrzano od strony Zboisk i Kleparowa nieprzeliczone tłumy czerni tatarskiej. Tatarzy uderzyli zaraz na szlaki, t. j. na owe usypane za czasów Władysława IV. przedmiejskie szańce. Ale przedmieszczanie, posiłkowani skutecznie przez działa miejskie i zamkowe, dwa dni stawili dzielny opór. Trzeciego dnia nadciągnęli Kozacy i ci nad wieczorem szlaki zdobyli (8/10). Nieprzyjaciel pokrył przedmieścia jakby wszystko pogrążająca fala; tu i ówdzie sterczały tylko, jak wyspy z wody, warowne kościoły przedmiejskie, do których się były schroniły uciekające rzesze. Przenocowawszy w zajętem przedmieściu rzucili się Kozacy do zdobywania owych warownych kościołów (9/10). Wśród strasznych mordów zdobyto cerkiew św. Jura; wiele też ludzi zginęło w szpitalu św. Łazarza, przy kościele św. Maryi Magdaleny i św. Stanisława. Prócz tych kościołów opanował nieprzyjaciel także Kaleczą górę. Od miejsc zajętych podsuwali się Kozacy coraz bliżej ku miejskim wałom i basztom, a kryjąc się po przedmiejskich domach i dworkach, gęsto z nich obrońców Lwowa kulami razili. Niebezpieczeństwo zawisło już nad samem miastem w całej grozie.

Widząc to mieszczanie powzięli rozpaczliwe postanowienie spalenia przedmieść. Obwołano sowitą nagrodę temu ktoby się na to odważył. Gdy tylko zapadł zmierzch wieczorny zapłonęły wokoło przedmieścia, obejmując miasto jakby ognistym pierścieniem. Ogień szalał przez całą noc i jeszcze przez dzień następny, rzucając w nocy snopy światła, a gasząc dzień kłębami dymu. Sypały się iskry i głownie do środka miasta, pośród okrzyków przerażonych mieszkańców. Tylko ciągła baczność ocaliła śródmieście, któremu na pomoc deszcz rzęsisty zesłały nieba łaskawe.

Wrażenie jednak, jakie to podłożenie ognia sprawiło na nieprzyjacielu, było niemałe. Nie tylko że ustąpić musiał z płonących przedmieść, ale poznał też, że obrońcy Lwowa są na

wszystko gotowi. Patrzał Chmielnicki zdumiony przez jakiś czas na straszne widowisko a potem wysłał swój pierwszy list do Lwowian (10/10). List pisany w języku ruskim groził miastu zniszczeniem i rabunkiem, jeśli natychmiast wodzów i wojowników z pod Pilawic nie wyda. Dla poparcia swej groźby kazał Chmielnicki od strony góry Katowskiej do miasta i zamku szturmem uderzyć. Miasto odpowiedziało na list z godnością, że zbiegów z pod Pilawic wydać nie może, bo ich już niema we Lwowie — ale silniejsze niźli ta odpowiedź wrażenie wywarło dzielne odparcie szturmu, w którem się rajca Ubaldyni odznaczył celnem strzelaniem.

Wkrótce bowiem (11/10) nadeszło drugie pismo Chmielnickiego, już teraz w języku polskim wystosowane, gdzie nie wspominając więcej o wojskowych, żąda tylko wydania Żydów, których Kozacy zawsze mocno nienawidzili. I tym razem szturm do miasta tudzież do Wysokiego Zamku przypuszczony, miał poprzeć żądanie wodza Kozaków. Mieszczanie znowu odpowiedzieli odmownie oświadczając, że Żydzi »równo z nimi wszystkie nakłady i niewczasy ponoszą« — i znowu z wielkiem męstwem odparli napastników. »Niech Pan Bóg za to pochwalon będzie« — pisze współczesny sprawozdawca Kuszewicz — »iż naszym dawać raczył takowe serce, że lubo pod gardłem zakazywano, z wałów skakali, w przedmieścia wpadali, Kozaków strzelali, bili, a zabitych obnażali, z wielkiem podziwieniem nie tylko nieprzyjaciela ale i nas samych, którzyśmy się o tych śmiałków bardzo obawiali«. Tylko do kościoła Karmelitów na Halickiem przedmieściu dostali się wówczas Kozacy, ale i stamtąd (wyprawiwszy tylko srogą rzeź bezbronnych) wkrótce ustąpić musieli.

Następstwem dzielnego odparcia ponownego szturmu był trzeci list Chmielnickiego, przez kapelana jego osobiście przyniesiony, w którym, nie kładąc już żadnych ubliżających warunków, proponuje okup w wysokości 200.000 dukatów. Było to w poniedziałek 12 października, właśnie w tydzień po rozpoczęciu oblężenia. Teraz już mieszczanie postanowili przystąpić

do układów, oceniając należycie ogromną przemoc nieprzyjaciela a swoje słabe siły, podkopywane nadto niejednokrotnie przez zdradę ze strony pewnej części Rusinów. Zażądali tylko listu bezpieczeństwa, a gdy im ten został wydany, wysłali pięciu pełnomocników swoich do Chmielnickiego.

Jechali tedy (13./10.) posłowie miejscy jakby przez morze nieprzyjaciół aż do taborów kozackich, które stały między Krzywczycami a Lesienicami. Tu ich Chmielnicki częstował gorzałką, którą sam nad miarę lubił i przy tem rozgadał się szeroko o krzywdach, przez panów polskich mu wyrządzonych. Na usilne prośby mieszczan o zniżenie okupu, odkładał postanowienie swoje do rady wojennej. Wkrótce też odbyła się w głównej kwaterze na Pasiekach owa rada wojenna, w której wódz Tatarów Tohaj-bej na pierwszem zasiadał miejscu. Tohaj-bej okazał się jeszcze bardziej twardym wobec posłów niżeli Chmielnicki; gniewał się, że mu mołojców jego »nadwerężono« i groził, że Lwowian »szukać i dobywać będzie, choćby się jak najgłębiej w ziemię zakopali«. Nie można było uzyskać ani szeląga opustu. Tyle tylko wyprosili sobie posłowie miejscy, że wyznaczono dwóch pełnomocników, którzy sami mieli w mieście pieniądze i towary odbierać, i być świadkami, jako Lwów wszelkich wysiłków dołoży dla zebrania żądanej sumy.

Jakkolwiek natychmiast po zawarciu ugody rozpoczęło się składanie okupu, to jednak kroki nieprzyjacielskie nie ustały. Były one wprawdzie skierowane głównie przeciw zamkowi, jako należącemu do starostwa a przeto nie objętemu ugodą z miastem, ale przy tej sposobności i miasto samo ucierpiało wiele. Zamku nie tęgo broniono; dowódcy tamtejsi, przyciśnięci głodem, uprowadzili załogę do miasta. Przez jakiś czas mogło się to utaić, ale nareszcie otrzymali Kozacy wiadomość o ustąpieniu załogi i opanowali zamek, wycinając znowu bezbronną ludność, którą w zdobytej twierdzy zastali (18./10.). Szczęściem dla miasta, że było to już po zawarciu ugody, bo wątpić należy czyby się Lwów mógł dalej bronić, gdyby go chcieli Kozacy od Wysokiego zamku szturmować.



Fig. 17. Oblężenie Lwowa 1648 r.

Tymczasem w mieście odbywało się ciągle znoszenie pieniędzy i towarów na okup — przez całych dni 10. Nareszcie pełnomocnicy nieprzyjacielscy, ubłagani prośbami i darami, uznali, że więcej wycisnąć się nieda i poprzestali na sumie 365.000 złp., które do dnia 23. października złożono. Wynosiło to na dukaty nie 200 ale wszystkiego 60 tysięcy. Sumy tej użył Chmielnicki na zapłacenie Tohaj-bejowi za udzieloną pomoc. Reszty poszukiwali sobie sami Tatarzy, plądrując w czasie składania okupu po całej okolicy aż do Przemyśla. Nadto musiało miasto dostarczać nieprzyjacielowi żywności i napojów, co prawie drugie tyle wynosiło, ile sam okup. Nie wspomina się już o głodzie i chorobach, które później we Lwowie wybuchły.

Mimo wszystkiego szczęśliwa to była dla miasta naszego chwila, gdy się nareszcie zaczęły zwijać nieprzyjacielskie obozy. Najprzód ruszyli się Tatarowie, po nich dopiero Chmielnicki. Trwały te ruchy przez dni kilka, aż znowu zaświtał poniedziałek (26./10.) — tym razem szczęśliwy dla Lwowa, bo ostatni dzień oblężenia. Do wszystkich kościołów spieszono dziękować Bogu za ocalenie, ale najliczniej do kościoła Franciszkanów, gdzie się odbyła pierwsza rada wojenna, a potem także do Bernardyńskiego kościoła. Wierzono bowiem powszechnie, że opieka św. Jana z Dukli najbardziej się do ocalenia Lwowa przyczyniła, a było wielu takich, którzy opowiadali, jako w chwilach największego niebezpieczeństwa widzieli świętego zakonnika unoszącego się ponad Lwowem z podniesionemi do modlitwy rękami. I w tej samej postaci widzimy go jeszcze po dzień dzisiejszy na owym posągu przed kościołem Bernardyńskim, który na tę pamiątkę w rok po oblężeniu wzniesiono.

Utrzymują niektórzy historycy, że Chmielnicki mógł zdobyć Lwów, gdyby był bardziej wytężył swe siły, lecz tego uczynić nie chciał. Byłaby bowiem czerń chłopska rozszarpała skarby Lwowa w ogólnym rabunku i nicby mu nie zostało na opłacenie Tatarów. Być może; lecz gdyby nawet tak było, w niczem to nie umniejsza zasługi Lwowian, którzy o zamy-

słach nieprzyjacielskich wiedzieć nie mogli, a nie oglądając się na nic, bronili swego miasta z całą odwagą i z całem poświęceniem.

15.

CHMIELNICKI Z MOSKALAMI POD LWOWEM.

Ciężkie zapasy musiała jeszcze toczyć Polska z Kozaczyzną przez kilka lat następnych. Wybrany królem brat Władysława IV. Jan Kazimierz świetne odniósł wprawdzie nad Chmielnickim pod Beresteczkiem zwycięstwo, ale potęgi jego złamać nie zdołał. Z drugiej strony Chmielnicki, widząc, że jako udzielny książę Rusi utrzymać się nie potrafi, poddał siebie i Ukrainę całą pod panowanie cara. Wkroczyły tedy wojska moskiewskie do Polski i rozpoczęła się wojna na nowo. Lecz byłaby Polska nawet obu tym połączonym siłom podołać mogła, gdyby się nie zwaliły na nią równocześnie inne nieszczęścia. W najbardziej niedogodną porę odżyła na nowo wojna szwedzka; Jan Kazimierz bowiem, podobny w tem do ojca swego Zygmunta, nie był w stanie przynieść takiej ofiary, aby się wyrzec praw swoich do Szwecyi. Już Szwedom uległa Warszawa i oczekiwał podobnego losu Kraków; już Moskwa zajęła Wilno, a z drugiej strony przy pomocy Kozaków przez Ukrainę i Wołyń coraz dalej i dalej kroczyła naprzód — słowem zdawało się, że jakiś istny »potop« wojenny pogrąży wkrótce we falach swoich całą ojczyznę.

W takiej to chwili okropnej — we wrześniu roku 1655 — nadeszła do nas wiadomość, że Chmielnicki i rosyjski generał Buturlin na czele 60.000 wojska zdążają prosto na Lwów. Wiadomość tę potwierdził wkrótce sam hetman Stanisław Potocki, który z małą garstką żołnierzy swoich zmuszony był z pod Glinian ustąpić aż pod Gródek. Szczęściem to było dla Lwowa, że posiadał wśród murów swoich takiego wodza jak Krzysztof Grodzicki, który zawczasu poczynił należyte do obrony przygotowania. Kazał spalić przedmieścia, wyciąć winnice i sady, poprawił wały i pogłębił fosy, baszty działami

poobsadzał, Wysoki zamek i klasztor Bernardyński, jak było potrzeba zaopatrzył. Nie wiadomo bliżej, ile naówczas siły Lwowa wynosiły: to jednak pewna, że były większe i daleko lepiej przysposobione niżeli za pierwszym razem.

Dnia 25. września pojawiły się pod Lwowem pierwsze oddziały nieprzyjacielskie, ale trwało to przesuwanie wojsk blizko przez cały tydzień, tem bardziej, że w tym czasie uczynił nieprzyjaciel wycieczkę przeciw hetmanowi pod Gródek. Pobił hetmana, ale sił jego nie zniszczył. Powróciwszy pod Lwów, tak się ostatecznie rozłożył nieprzyjaciel, że Chmielnicki cerkiew św. Jura obrał za główną kwaterę, a Buturlin kościół św. Krzyża na Krakowskiem przedmieściu. Teraz zaczęły się już na dobre strzelania i próby podejścia pod mury miejskie. Jednak Lwowianie dzielnie nieprzyjaciela kulami razili, tak teraz jak już w czasie przesuwania się wojsk, a raz nawet z Wysokiego zamku szczęśliwą uczynili wycieczkę.

Widząc Chmielnicki tę gotowość obleżonych do obrony, posyła dnia 3. października swój pierwszy list, w którym żąda, aby się zdali na jego łaskę, jeżeli życie pragną zachować. Takim listem czując się słusznie obrażeni mieszczanie, nie tylko żadnej nie dali odpowiedzi, lecz owszem przez całą noc z dział i ręcznej broni gęste do obozu nieprzyjacielskiego posyłali pociski. Zgłaszający się następnego dnia (4./10.) po list trębacz kozacki poniósł swemu wodzowi odpowiedź odmowną. Wówczas Chmielnicki wśród straszliwego grzmotu dział gradem kul zarzucił nasze miasto; rwały się warownie i trzęsły kamienice w posadach. Ale i »nasz lew — pisze naoczny świadek — z równym hukiem oddawał wet za wet, sprawiedliwy gniew okazując i wszędzie się broniąc«; tak że nieprzyjaciel, poznawszy bezskuteczność swoich usiłowań, drugi, już łagodniejszy, list wyprawia do miasta.

Wzywał w nim do przysłania kilku pełnomocników celem bliższego porozumienia. Mieszczanie oświadczyli gotowość do układów, żądali jednak przysłania nawzajem zakładników do miasta dla zapewnienia bezpieczeństwa swoim posłom. Nie chciał się na to zgodzić Chmielnicki, przypominając, że w czasie

pierwszego oblężenia zaufano samemu jego listowi. Były więc wskutek tego długie narady na ratuszu; nareszcie postanowiono zaufać Chmielnickiemu na słowo. Jednakże wybrani do poselstwa mieszczanie wahali się przez czas jakiś, czy mają przyjąć niebezpieczne zlecenie. Dopiero kiedy im chciano ofiarować zapłatę, poczuli się dotkniętymi w swojej ambicyi i oświadczyli szlachetnie, że żadnej nie pragną za swą odwagę nagrody, że nie na to zostali w mieście, aby z nieszczęścia korzystać, lecz aby stać przy ojczyźnie, chociażby przyszło życie narazić.

Kiedy więc dnia 6. października zbliżył się znowu trębacz kozacki z kilkoma oficerami pod mury, wyszli zaraz do nich przez furtę jezuicką owi wybrani do poselstwa mężowie, i drogą Sykstowską ruszono do głównej kwatery Chmielnickiego. Dzień ten jednak upłynął na powitaniach i przyjęciach, i dopiero dnia następnego (7./10.) nadeszła chwila próby dla naszych posłów. Część z nich udała się na życzenie wodzów kozackich do Buturlina, a tymczasem Chmielnicki przekładał pozostałym, że Jan Kazimierz już kraj opuścił, że Kraków zajęty, że w całej Rzeczypospolitej żadnego już wojska polskiego niema. Czynił zaś to wszystko dla rzucenia postrachu. Tymczasem wrócili owi posłani do Buturlina mieszczanie i ku zdumieniu kolegów swoich donieśli, że wódz moskiewski żąda poddania miasta na imię cara. »Tak jest« — dodał Chmielnicki, przybrawszy nagle ton surowy — »tak koniecznie być musi«, a Wyhowski, pułkownik kozacki uderzając z gniewu pięścią w stół, mówił z szyderstwem, że już chyba sam Pan Bóg Polskę opuścił.

Wyczekali spokojnie końca tego wybuchu posłowie miejscy, a potem poprosiwszy Chmielnickiego o wolność mówienia, powstali z miejsc swoich i imieniem wszystkich Samuel Kuszewicz te wiecznej pamięci godne powiedział słowa: »Miłościwy panie hetmanie, zdrowia nasze, którzy tu jesteśmy, w twoich są rękach... ale żebyśmy na imię cara moskiewskiego przysięgę i miasto oddawać mieli, tego nigdy nie uczynimy. Przysięgliśmy raz królowi panu naszemu miłościwemu Janowi Kazimierzowi i jemu w jakiemkolwiek go szczęściu los

zachowa, wiary naszej dotrzymać chcemy, a mamy nadzieję, że za łaską Bożą znowu powróci do swoich«. Zdumiał się na tę mowę Chmielnicki, ale Wyhowski jeszcze dalej usiłował nakłaniać posłów. Ci jednak, kończąc rozmowę, odrzekli stanowczo: »Szkoda czasu tracić więcej miłościwy panie hetmanie, nic już innego nie powiemy, tylko to po tysiąc razy powtarzamy, że my, póki żyje król jegomość pan nasz miłościwy Jan Kazimierz, komu innemu przysięgać nie będziemy«. Słuchał tej mowy z prawdziwem zadowoleniem poseł Jana Kazimierza, a z uznaniem poseł tatarski, obecni przypadkowo przy układach. Nawet na nieprzyjaciołach zrobiła odwaga mieszczan wielkie wrażenie, bo już nie wracali więcej do swego przedmiotu, a jeden z pułkowników kozackich, przysunąwszy się bliżej do Lwowian, szepnął półgłosem po łacinie: »wytrwajcie w waszej szlachetności!«

Kiedy posłowie miejscy wrócili do swoich i przynieśli ze sobą na pismie to samo żądanie Chmielnickiego, miasto z oburzeniem zerwało układy. Na drugi dzień (8. października) nadaremnie przychodził oficer kozacki pod wały po naszych posłów: otrzymał tylko list, w którym mieszczanie ponownie oświadczają, iż »przy wierze, którą królowi swemu oddali, umierać są gotowi«. Przez ten dzień i następny krzyżowały się tylko kule działowe i listy; dopiero na dwukrotne zaproszenia Chmielnickiego, w których już ani słowa nie było o poddaniu miasta carowi, w dniu 10. października, podjęto na nowo układy.

Teraz już sam Chmielnicki dał do poznania posłom, że zadowolni się okupem i to mniejszym znacznie niżeli za pierwszym razem. Po dłuższych rozmowach przynieśli nareszcie (dnia 13. października) posłowie do miasta ułożone na piśmie żądania Chmielnickiego, które się dadzą zebrać w następujące cztery punkta:

1. Mieszczanie obowiązują się po odejściu wojsk oblężniżniczych nie ścigać pojedynczych oddziałów kozackich i moskiewskich. Te nawzajem żadnych szkód po włościach miejskich czynić nie będą. Jeńcy kozaccy i moskiewscy mają być wydani.

2. Miasto złoży jako okup 400.000 złp. (67.000 dukatów) i rozmaite towary do ubrania wojska służące, a także 50 cetnarów ołowiu na amunicyą*.

3. Żydzi mają być z żonami, dziećmi i z całym majątkiem wydani.

4. Dla tem łatwiejszego wypełnienia żądania zawartego w ustępie pierwszym, t. j. dla bezpieczeństwa miasta a zarazem dla bezpieczeństwa przechodzących oddziałów swoich, zostawią Kozacy i Moskale mały oddział na załodze we Lwowie.

Odpowiedź miasta na te przedłożenia była pełna godności. Pierwszy punkt przyjmują mieszczanie pod warunkiem, że także ich jeńcy będą uwolnieni. Na okup przystają, ale nie mogą więcej jak 20.000 w pieniądzach i towarach (z wyłączeniem ołowiu) ofiarować. Trzeci i czwarty punkt odrzucają w zupełności. Żydów wydać nie mogą, bo są to poddani nie ich tylko Rzeczypospolitej, mając zaś w mieście załogę J. król. Mości, żadnej już innej nie potrzebują.

Odpowiedź tę zanieśli pełnomocnicy miejscy Chmielnickiemu dnia 14. października, a odtąd jeszcze przez cały tydzień toczyły się rokowania. Dla większej powagi wyprawiono do Chmielnickiego na jego żądanie wielkie poselstwo, t. j. do dawniejszych posłów mieszczańskich dodano jeszcze przedstawicieli duchowieństwa i szlachty. Pomiędzy nimi znajdował się także tutejszy biskup ruski Arseniusz Żeliborski, który z prawdziwie braterską i kapłańską gorliwością wpływu, jaki u Chmielnickiego posiadał, na korzyść miasta używał. Nareszcie dnia 20. października przyszła do skutku ugoda na podstawie warunków miejskich i z tą tylko różnicą, że przyjęto 60.000 złp. jako kwotę okupu.

Teraz dopiero ustała obustronna strzelanina, której nawet w czasie układów nie przerywano, tak że nieraz posłowie

---

* Wartość wszystkich żądanych towarów mogła wynosić 100 do 200 tysięcy złp. A tak żądał Chmielnicki razem przeszło pół miliona złotych polskich (mniej niż pół miliona złr. austr.) t. j. zaledwie połowę tego co podczas pierwszego oblężenia.

wracali do miasta wśród latających kul — zaprawdę nie tylko w słowach ale i w czynach pełni nieustraszonej odwagi mężowie. Zawitało znowu kozackie poselstwo do miasta dla odebrania okupu, który do tygodnia został złożony. Mimo to, ku wielkiemu zdziwieniu mieszczan, jeszcze więcej niż tydzień po odebraniu okupu nie ruszał się nieprzyjaciel z miejsca, a Moskale nawet czasami strzelali. Podniecało to ochotę wojenną nieprzyjaciół, że się dowiedzieli o zajęciu Lublina na imię cara rosyjskiego, i dopiero inna, niekorzystna dla nich, wiadomość o napadzie Tatarów na Ukrainę, uwolniła miasto od oblężenia. Dnia 8. listopada zwinął swój obóz Chmielnicki a we dwa dni potem Buturlin; obaj oddawali przy wymarszu swoim dowódzcy załogi i całemu miastu honory wojskowe.

Nazajutrz wesoły dzień zabłysnął dla Lwowian. Była to uroczystość św. Marcina; po raz pierwszy od dni 47 ozwały się znowu we wszystkich kościołach dzwony, aby zgromadzić wiernych na dziękczynną za szczęśliwe ocalenie modlitwę. Było czego się cieszyć i dziękować Bogu, bo Lwów nie tylko wyszedł zwycięsko z tej toni, ale jeszcze z takim honorem i z taką chwałą, jak nigdy ni przedtem ni potem. Wszystkie inne główniejsze naszej ojczyzny miasta choćby na chwilę zajął nieprzyjaciel, tylko to jedno »przedmurze« urągało falom potopu. Ułatwiła, co prawda, niezgoda wodzów nieprzyjacielskich położenie Lwowa, bo Buturlin pragnął szturmować a Chmielnicki się temu sprzeciwiał: ale kto wie czy nie dobrze radził Moskalom hetman kozacki, znający lepiej odwagę Lwowian, a zwłaszcza dobre ich podówczas przygotowanie.

W kilka miesięcy potem, na początku roku 1656, przybył Jan Kazimierz do swego dzielnego i wiernego miasta, które go z uniesieniem witało. Już zaświtała Polsce jutrzenka lepszej przyszłości, wrócił król z wygnania, obroniła się Częstochowa, po wszystkich ziemiach zrywał się naród do walki. Wówczas we Lwowie, którego nie przestąpiła noga żadnego nieprzyjaciela, była jakby stolica Polski: tu obmyślano środki dalszej obrony, tutaj w kościele katedralnym oddawał król całą ojczyznę pod opiekę Najświętszej Panny. I rzeczywiście nie

odwróciło się już więcej szczęście wojenne od Polski*, po kilkuletnich zapasach uwolnioną została ojczyzna od najezdników i przyszedł do skutku pokój w Oliwie pod Gdańskiem (1660). Lecz jeszcze przed zupełnem uspokojeniem kraju doczekała się chwalebna zasługa Lwowa należytego uznania. Król Jan Kazimierz, oddając w podniosłych wyrazach najpiękniejszą naszemu miastu za jego dzielność pochwałę, porównał je za zgodą sejmu we wszystkich prawach z Krakowem i Wilnem i podniósł mieszczan lwowskich do stanu szlacheckiego (1659). Było to wówczas najwyższe odznaczenie, na jakie Polska zdobyć się mogła.

16.

LWÓW W CZASIE TURECKIEJ WOJNY.

Pokój oliwski, uwalniając Polskę od głównego nieprzyjaciela, Szweda, rozwiązał jej ręce do zaczepnego działania przeciwko Moskwie i Kozaczyźnie. Oręż polski w krótkim czasie uzyskał nad temi potęgami przewagę. Widząc przeto Kozacy, że im nie wystarczy pomoc Rosyi, postanowili silniejszego jeszcze wyszukać sobie pana. W tej myśli hetman kozacki Piotr Doroszenko poddał się groźnej naówczas wszystkim chrześcijańskim państwom Turcyi. A tak jeszcze raz nowego ściągnęła Kozaczyzna na Polskę nieprzyjaciela. Było to w r. 1665. i odtąd aż do końca XVII. stulecia, z małemi tylko przerwami, ciężyło nad Polską brzemię tureckiej wojny. I byłaby może pod niem uległa nasza ojczyzna, gdyby jej nie zesłała Opatrzność w takiej epoce stanowczej bohatera, obrońcę i mściciela — którego imię S o b i e s k i.

Nie było w tym długim ciągu wojennych lat straszniejszej chwili jak rok 1672. Na tronie polskim zasiadał niedołężny

* Szczęście wojenne sprzyjało odtąd Polsce, chociaż chwilowo nowy jeszcze do boju wystąpił napastnik: Jerzy Rakoczy, książę Siedmiogrodu, który i koło Lwowa groźnie się przesunął (1657), usiłując go bezskutecznie do poddania się nakłonić.

król Michał, niezgoda kraj rozrywała — a tu z potężnem wojskiem wkraczał do Polski turecki sułtan. Dążył wprost na Kamieniec podolski, potężną fortecę, po której zdobyciu miałby do całej Polski otwartą drogę. Sam Sobieski (będący wówczas

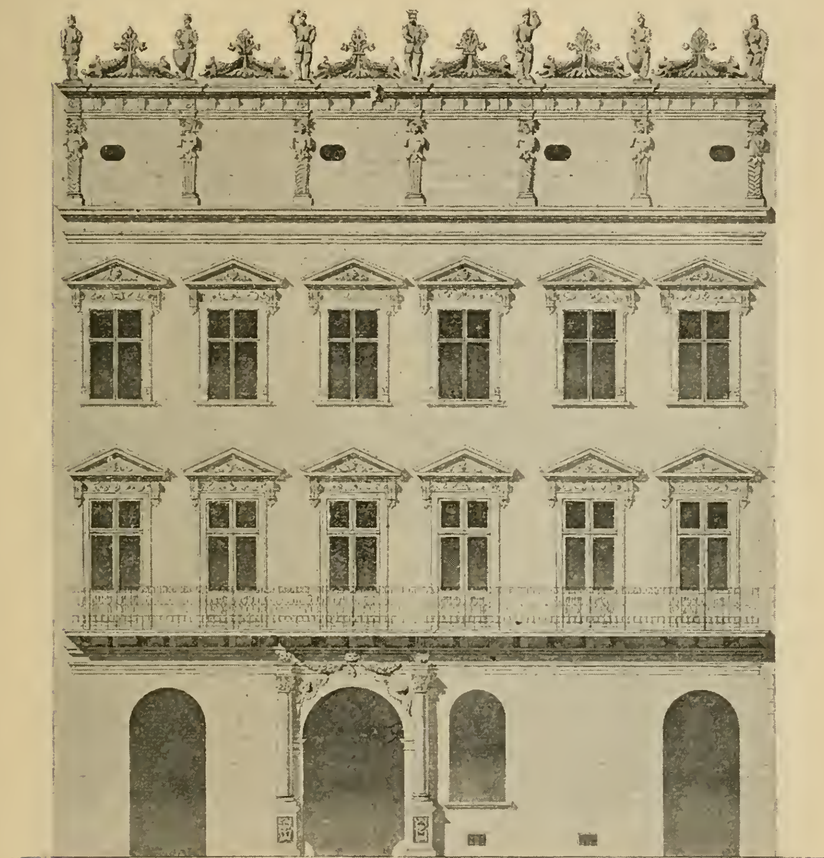


Fig. 18. Dom Sobieskich.

hetmanem), gdy przybył do Lwowa w drugiej połowie sierpnia, mówił otwarcie, że niema nadziei, aby się mógł utrzymać Kamieniec, a jeszcze bardziej słabszy od niego Lwów. Radził tedy Lwowianom, aby żony i dzieci w bezpieczne uwieźli

miejsce, a w zbytniej dobroci swojej pozwalał nawet zdolnym do broni wraz z dobytkiem swoim opuszczać miasto. To rzuciło szkodliwy postrach na tutejszych mieszkańców, tem bardziej, gdy na początku września nadeszła wiadomość, że uległ Kamieniec i że sułtan przeznacza Lwów na rabunek jańczarom, w nagrodę za wzięcie Kamieńca. Najzamożniejsi i najświatlejsi obywatele wyjeżdżali ze Lwowa. Już ledwie trzecia część mieszkańców została na miejscu — i nie wiadomo do czego byłoby doszło, gdyby nie dzielne wystąpienie Bartłomieja Zimorowicza, znanego nam już dziejopisa i poety, który wówczas urząd burmistrza piastował.

Bartłomiej Zimorowicz, widząc powszechną ucieczkę, kazał zamknąć bramy, a potem zwołał, w porozumieniu z komendantem Lwowa Eliaszem Łąckim, całe zdolne do broni obywatelstwo przed ratusz (14./9.). Tu przemówili obaj, burmistrz i komendant, gorąco do zgromadzonych, a potem wezwał Zimorowicz wszystkich, którzy pragną ocalenia ojczyzny, aby przeszli na prawą stronę i złożyli przysięgę, że nie opuszczą miasta. Natenczas nie został nikt po stronie lewej; przysięgli wszyscy. Wzięto się do naprawy warowni, które niestety nie były w dobrym stanie i obliczono swoje siły. Pokazało się, że Lwów ma na obronę swoją 500 żołnierzy, 1000 uzbrojonych mieszczan i kilkaset licho zbrojnych chłopów — razem około 2000 ludzi. Siły nadciągającego nieprzyjaciela wynosiły: 30.000 Turków wraz z Wołochami, 15.000 Tatarów i kilka tysięcy Kozaków — a zatem ogółem przynajmniej 50.000 wojska. Około 100 dział wiodła ze sobą ta armia, którą dowodził Kaplan basza, mając przy boku swoim hetmana Kozaków Doroszenkę.

Już dnia 20. września pokazała się na przedmieściach orda tatarska, którą strzałami z dział trzymano w przyzwoitem od murów oddaleniu. Tak snuli się Tatarzy przez cztery dni, założywszy swą główną kwaterę na Grodeckiem: dopiero piątego dnia (24./9.) pokazały się także chorągwie krzyżem znaczone Kozaków i Wołochów. Zastali na przedmieściach ogień, który komendant poprzedzającej nocy, azatem właśnie w sam

czas, podłożyć kazał. Kozacy obsadzili wzgórze św. Jura, św. Maryi Magdaleny i górę Kaleczą działami, poza któremi rozciągał się ich obóz. Dalej na prawo, w południowej stronie Lwowa, stanęli Wołosi.

Na samym końcu pojawiły się od strony Łyczakowskiego gościńca zastępy tureckie. Rozpoczynały pochód chorągwie jańczarów doskonale uzbrojone i lśniące od złota. Dalej szli artylerzyści przy ciężkich działach przez bawoły ciągnionych, a obok nich saperzy, przeznaczeni do robienia podkopów. Za nimi pędzono liczne trzody wielbłądów, mułów i osłów, które dźwigały sprzęty i zapasy obozu. Wreszcie na czele zamykającego pochód oddziału jańczarów jechał wódz turecki w bogatym stroju i na pysznym koniu. Obok niego niesiono zieloną chorągiew i dwa buńczuki białe, przed nim wielbłąd w złocistym czapraku dźwigał na grzbiecie księgę koranu. Przez cały dzień 25. września rozpinano po wschodnich wzgórzach Lwowa różnobarwne namioty i ustawiano do późnej nocy działa*. Turcy z całą usilnością przygotowali oblężenie, ponieważ na wezwanie do poddania miasta otrzymali odpowiedź odmowną. Dzielny Łącki, gdy się nieprzyjacielski poseł zuchwale domawiał, by jutro na obiad zaprosił chana Tatarów, odrzekł hardo, że »żadnych niema traktamentów, tylko jako żołnierz prochy i kule«.

Zagrały tedy zaraz nazajutrz działa i rozpoczęło się oblężenie na dobre (26./9.). Jańczarzy mimo gradu kul zajęli klasztor Bernardynek (dziś komorę celną), i stamtąd, zwłaszcza z wieży klasztornej, dotkliwie obrońców męskiego klasztoru Bernardyńskiego razili. Dopiero granaty wymierzone przez komendanta od baszty przy arsenale zachwiały wieżą Bernardynek i zmusiły jańczarów do ustąpienia. Jednakże w nocy ponownie zajęli dawne stanowisko. Huk dział także i w nocy

---

* Namiot Kaplana baszy stał pierwotnie na miejscu gdzie dzisiaj klasztor Sakramentek, dopiero kiedy miejskie kule ostrzegły Turków, że to za blizkie miejsce, przeniesiono główną kwaterę wodza na Pohulankę.

nie ustawał, latały kule 25cio funtowe, a jedna z nich, ta sama która do dzisiaj wisi na katedrze, wpadła od strony wschodniej do kościoła i potoczyła się, niczego nie uszkadzając, przed ołtarz ukrzyżowanego Zbawiciela.

Następnego dnia (27./9.) jeszcze straszniejszy huk wstrząsał powietrzem, z obu stron uderzono z dział może półtora tysiąca razy. Nasi byli zmuszeni ustąpić z wysokiego zamku i z klasztoru Karmelitów na Halickiem. Od Bernardynek do Bernardynów kopali miny saperzy tureccy, aby część murów wysadzić prochem w powietrze. Wysłańców rady miejskiej, którzy przynieśli w darze chleb, miód i cukier odprawił basza pogardliwie, oświadczając, że nie potrzebuje łakotek a tylko kluczów miasta. Komendant podnosił ducha przygnębionych mieszczan.

Pomyślniejszym był trzeci dzień oblężenia, wigilia św. Michała (28/9). Jeden z puszkarzy miejskich celnem strzelaniem zmusił do milczenia działa kozackie na górze Kaleczej ustawione, a w nocy urządzono szczęśliwą wycieczkę. Dzielny oficer miejski Fryderyk Mögelin przepędził jańczarów skradających się pod klasztor Karmelitów bosych i tych, którzy koło min od strony Bernardynek pracowali. Zalewano też miny wodą, w czem samo niebo było pomocne, zesławszy burzę i deszcz nawalny wkrótce po wycieczce Mögelina.

W sam dzień św. Michała (29./9.) Turcy, usypawszy szaniec na miejscu, gdzie później powstał »Czerwony klasztor« Teatynów, tak silnie stąd w stronę Dominikanów z dział bili, że już dość znaczny wśród murów miejskich uczynili wyłom. Z drugiej strony od Bernardynek ponowiono podkopy. Wszystko już było przygotowane do walnego szturmu; zdawało się, że już są chwile naszego miasta policzone. Już prawie zwątpili o swojem ocaleniu Lwowianie — gdy wtem z obozu nieprzyjacielskiego nadchodzi zbawcza wiadomość, że jeden z trzech posłów królewskich, przeznaczonych do zawarcia pokoju z Turcyą, przybył nareszcie. Był nim Franciszek Lubowicki, kasztelan wołyński. Zaraz ustało strzelanie i na tem skończyło się

to czterodniowe tylko, ale najgroźniejsze ze wszystkich dotychczasowych oblężenie.

Wprawdzie jeden poseł nie miał pełnomocnictwa zawierania układu, tylko przynajmniej dwóch, ale ponieważ przybycie drugiego było już zapowiedziane, przeto zezwolił Kaplan basza na zawieszenie kroków nieprzyjacielskich na dwa dni. I rzeczywiście 30. września nadjechał drugi poseł, Jan Szumowski, podskarbi nadworny. Teraz przystąpiono do rokowań i wezwano miasto aby także swoich nadesłało pełnomocników. Turcy zażądali od Lwowa 100.000 talarów, i zaledwie na usilne wstawienie się posłów królewskich 20.000 z tego opuścili. Układ zawarty został dnia 1. października, a następnego dnia (była to właśnie niedziela) zgłosiło się dwóch brodatych baszów do miasta po odebranie owych 80ciu tysięcy.

Mimo jednak największego nacisku nie zdołało podupadłe już i przez najmajętniejszych opuszczone miasto zebrać więcej niż 5.000! Jako poręczenie za późniejszą spłatę reszty, trzeba było dostawić 10 zakładników. Trudno było zrazu nakłonić kogokolwiek do tak ciężkiej dla dobra miasta usługi, dopiero znowu piękny przykład burmistrza, który sam gotów był siwą pod jarzmo tureckie skłonić głowę, zachęcił młodszych. Nie przyjęto ofiary burmistrza, znaleźli się inni — 4 Polacy, 2 Ormianie, 2 Rusini i 2 Żydzi. Po żałośnem pożegnaniu z rodzinami swemi stawili się ci zakładnicy 4. października w obozie tureckim, a we dwa dni potem (6./10.) odstąpił z pod Lwowa nieprzyjaciel *.

Posłowie królewscy udali się teraz do obozu sułtańskiego pod Buczaczem i tu przyszedł do skutku ów pokój z Turcyą, jeden z najhaniebniejszych, jaki kiedykolwiek Polska zawarła.

---

* Los zakładników oddanych w niewolę turecką nie był zazdrości godnym. Wycierpieli dużo, zanim Rzeczpospolita złożyła za nich dłużną sumę — po latach siedmiu (1679). Wówczas powrócili czterej pozostali do Lwowa; dwóch umarło w niewoli, a czterech już wcześniej się uwolniło własnymi zabiegami. Por. Rolle: Opowiadania hist. t. VII. str. 175—210.

Odstępowano Ukrainę Doroszence, Podole sułtanowi, a prócz tego zobowiązała się Rzeczpospolita do płacenia Turcyi rocznego haraczu. Podole zmieniło się na całą ćwierć wieku w paszalik turecki; jeszcze do dzisiaj widoczne są ślady panowania tureckiego w Kamieńcu i w Jazłowcu.

Układ buczacki był jednak zbyt haniebnym, aby go Polska mogła dotrzymać. Już zaraz pierwszego roku nie wypłacono Turcyi haraczu, a gdy wskutek tego wkroczyły wojska sułtańskie do Polski, odniósł Jan Sobieski świetne nad niemi pod Chocimem zwycięstwo. Było to 10. listopada r. 1673, a właśnie w ten sam dzień król Michał zakończył życie w naszem mieście. Umarł w domu rynkowym, który dzisiaj opatrzony jest odpowiednią tablicą pamiątkową (pod l. 9). Naród wyniósł teraz na tron bohatera chocimskiego, który podjął zwycięsko dalszą walka z półksiężycem.

W roku 1674. toczyła się walka na Ukrainie, ale już następnego roku nieprzyjaciel znowu wymierzył główny cios swój przeciwko naszej Rusi i jej stolicy. Pod Jezierną stały tureckie i tatarskie wojska, a stąd wyprawiono doborowy 10-tysięczny oddział tatarski przeciwko królowi pod Lwów. Dowodził nim sam stryj chana Nureddyn. Król przeciw temu miał tylko 4.000 wojska, ale umiał go użyć znakomicie. Przecięto drogę Tatarom na gliniańskim gościńcu, w tem miejscu, gdzie stoi lesienicka karczma. Jest tam wyżyna, która się ciągnie od wschodu na zachód, a przecięta jest w środku poprzecznym wąwozem. Tę wyżynę zajęła artylerya i piechota, której liczbę pozornie powiększali ciurowie przebrani za rycerzy; sam Sobieski z jazdą stanął zasadzką w wąwozie. Tatarzy musieli przechodzić wzdłuż tej wyżyny i koło zasadzki, bo równolegle do wyżyny o jaki kilometr na północ rozciąga się las dębowy, który im szerzej rozwinąć się nie dał. Weszli tedy jakby w pułapkę między wyżyną i lasem; tu z siłą Jan III. na nich uderzył i w pół godziny rozgromił*. Nie stawili

---

* Miejsce bitwy widać z Wysokiego zamku, na prawo od Zniesienia, na końcu widnokręgu.

silnego oporu, bo znając już dobrze Sobieskiego nie mieli wogóle do tej wyprawy ochoty. O całą milę ich ścigano i późno dopiero w noc powrócili zwycięzcy do uszczęśliwionego miasta, gdzie królowa z paniami klęczała u stopni ołtarzy w katedrze, a mężczyzni czuwali na wałach. Okolica lwowska i cały kraj na zachód od Lwowa był od pożogi tatarskiej ocalony.

Jeszcze w tym samym roku dał Sobieski odsiecz bronionej przez Chrzanowskich Trębowli, a w następnym zawarł szczęśliwy pokój pod Żórawnem, wytrzymawszy tam zwycięsko kilkutygodniowe oblężenie. Dwie trzecie części Ukrainy wracały do Polski. Jednakże nie mógł na tem poprzestać bohater krzyża, wszakże Podole zostawało jeszcze w ręku tureckim. Stąd przymierze Jana III. z Austryą przeciwko Turcyi, stąd wiekopomna jego pod Wiedeń wyprawa i walka do końca życia z półksiężycem. W tej walce jeszcze po raz trzeci groźne nad Lwowem zawisło niebezpieczeństwo.

Zimą na początku roku 1695 nadeszły do Lwowa zatrważające wieści, że nadciąga ogromna horda tatarska, którą co najmniej na 40.000 głów obliczano. Bawił naówczas w naszem mieście sam hetman, Stanisław Jabłonowski, ale udało mu się wszystkiego 4.000 żołnierza ściągnąć do obrony Lwowa. Warownie miejskie były w lichym stanie, prochu i kul zapas posiadano niewielki. Nadto przygotowano się głównie do obrony od strony gliniańskiego gościńca, którędy zwykle Tatarzy napadali, a oni tymczasem korzystając z zamarznięcia bagien przeszli pod Zboiska i uderzyli na Krakowskie przedmieście.

Tutaj przy kościele św. Marcina i przy Murowanym moście rozstawił hetman swoje zastępy, aby bronić wąwozu, prowadzącego do Lwowa pomiędzy górą Zamkową a Katowską. Zawrzał bój srogi dnia 11. lutego już od 8. godziny zrana. Po trzygodzinnej zaciętej walce przełamali Tatarzy hufce naszego rycerstwa. Hetman zmuszony był przez Sieniawszczyznę cofnąć się aż pod kościół św. Kazimierza.

Tu wśród wąskiej ulicy była nadzieja nowego oporu, gdy wtem od strony św. Wojciecha nadbiega nowy oddział tatarski i zajmuje tył wojsku polskiemu. Jabłonowski z dwóch stron

ściśnięty ustępuje ku murom miejskim, skąd obywatele witają wrogów strzałami. Szczególnie celne kule posyłał Stanisław Zywert, ławnik i poczmistrz lwowski. Pod ochroną tych pocisków szykuje hetman jeszcze raz wojsko swoje tuż przed samą bramą Krakowską.

Wobec otwartej bramy miejskiej, którą zapchały uciekające wozy, stoczono ostatni bój rozpaczliwy na placu przed kościołem N. P. Maryi. Obok rycerzy walczyli tutaj mieszczanie i chłopi z dzidami a nawet z cepami; z baszt i murów miejskich huczały działa. Była godzina 4. popołudniu; kończył się krótki, zamiecią śniegową zaćmiony dzień zimowy — Tatarzy musieli ustąpić.

Straszny był widok nazajutrz na placu P. Maryi; leżały zamarznięte wśród śniegu trupy z wyrazem dzikiej walki na twarzy. Ale Tatarów już więcej nie było pod Lwowem. Zrażeni rozpaczliwym oporem ustąpili w stronę Drohowyża. Był to już ostatni większy napad Tatarów.

Nie doczekał się wprawdzie bohaterski król Jan końca zapasów z półksiężycem, ale zaledwie w kilka lat po jego zgonie. Turcya złamana zwycięstwami Sobieskiego i wodzów cesarskich, musiała prosić o pokój. W Karłowicach nad Dunajem odstąpiła cesarzowi Węgry, które niegdyś za swoich lepszych czasów była zajęła, a Polsce Podole (1699 r.). Odtąd niebezpieczeństwo tureckie i plaga tatarska przestały istnieć dla Polski i dla Europy.

17.

SZWEDZI WE LWOWIE.

Skończył się napełniony wrzawą wojenną wiek XVII., ale epoka wojen nie dobiegła jeszcze do kresu. Jeszcze jedno nadeszło przenikające całą ojczyznę od końca do końca wstrząśnienie, zanim nastąpił spokój — chociaż już martwy spokój wycieńczenia. Wstrząśnieniem tem, które zakończyło epokę niszczących bojów, była druga wojna szwedzka, zwana w historyi powszechnej wojną północną, ponieważ nie tylko Polskę,

lecz całą północną Europę zajęła. Był to także dla Lwowa koniec wojennej epoki — lecz koniec równie jak i dla całej ojczyzny nieszczęsny.

Następca Jana III. na tronie polskim, August II., elektor saski, złączył się z carem Piotrem Wielkim przeciwko Szwedom, by im odebrać niektóre ziemie. Wybrzeża Bałtyckiego morza od Rygi aż do Finlandyi (włącznie) należały wówczas do Szwecyi; otóż te kraje miano zająć i między siebie rozdzielić. Ale król Szwedów, który naówczas panował, Karol XII., choć bardzo młody, był to bohater prawdziwy. W pospiesznych ruchach pobił on najprzód Moskali a potem zwyciężył także i polskie wojska Augusta II. W krótkim czasie znowu cała Polska znalazła się w mocy Szweda. Aby do reszty zgnębić Augusta, nakłonił Karol XII. część Polaków do złożenia z tronu elektora saskiego i wyboru nowego króla w osobie Stanisława Leszczyńskiego, poznańskiego wojewody. Toruń, Warszawa, Kraków były już w ręku króla szwedzkiego: czas już był Karolowi zwrócić się przeciw naszym ziemiom, które dotychczas wytrwały po stronie Augusta.

W połowie sierpnia r. 1704. stanął Karol XII. pod Jarosławiem i wysłał do Lwowian rozkaz, aby dla wojska szwedzkiego dostarczali piwa i mąki przez całych 10 tygodni. Za radą komendanta, którym był wówczas Zygmunt Gałecki, wojewoda kaliski, zostawili Lwowianie pismo króla szwedzkiego bez odpowiedzi, a natomiast udali się do Augusta z prośbą o pomoc. August II. stojący z wojskiem pod Sokalem, obiecał przysłać znaczne posiłki; zaczęto się zatem w mieście z otuchą gotować do obrony. Było kilkaset żołnierzy we Lwowie i około tysiąca mieszczan zdolnych do boju, strzelby i amunicyi miano podostatkiem, nawet granatów ręcznych nie brakło w arsenale.

Rozkład sił uczyniono następujący. Pułk pierwszy mieszczan zajął przestrzeń od narożnika dominikańskiego do bramy krakowskiej, pułk drugi stąd aż do jezuickiej furty, dalej aż do halickiej bramy pułk trzeci, a wreszcie od bramy halickiej do bosackiej furty pułk czwarty. Ważniejsze wśród tego obwodu

punkta obsadzono regularnem wojskiem. Był oddział żołnierzy na krakowskiej bramie, drugi niedaleko jezuickiej furty, a dwa oddziały zajmowały bardzo ważną przy obronie Lwowa linią od narożnika dominikańskiego aż do bosackiej furty. Tutaj też sam komendant założył sobie główną kwaterę w arsenale królewskim Władysława IV. Trzy najbardziej obronne klasztory przedmiejskie otrzymały także załogę wojskową: Bernardyni, Karmelici trzewiczkowi na Halickiem i Karmelici bosi na wzgórku. Nareszcie na odwachu w rynku stał odwodowy oddział piechoty. Wszystko było dobrze przygotowane i pełne ochoty do boju, szczególnie sami mieszczanie, dla których oblężenie nie było wcale nowiną.

Ledwie ranek zaświtał dnia 5. września 1704. r., pojawiły się od zachodniej strony wojska szwedzkie w dwóch oddziałach. Jeden od Rzęsny nadciągał janowskim gościńcem, drugi sokolnicką drogą (ul. Kopernika) do miasta się zbliżał. Była to sama jazda w liczbie 17.000 koni; piechota i artylerya zostały pod Jarosławiem. Tem większa napełniła mieszczan nadzieja ocalenia Lwowa. Jedno tylko było niepokojącem: pod Lwowem znajdował się sam król szwedzki, wojownik niezrównany, i pałał żądzą szybkiego zdobycia miasta.

Skoro się tylko Szwedzi pojawili, wysłano przeciw nim mały oddział konnicy miejskiej z 200 dragonów złożony. Ci jednak widząc tak przeważające siły, zemknęli szybko ku Sokolnikom. Natomiast z wałów i baszt miejskich przywitano Szwedów celnymi strzałami. Nie była jeszcze zamknięta furta jezuicka, ponieważ się do niej cisnęli przedmieszczanie. Z tej więc strony nasamprzód uderzyła dragonia szwedzka, ale gęsty grad kul zaraz ją do ustąpienia przymusił. Teraz ukrył się poza przedmiejskie dworki nieprzyjaciel, by stąd bezpiecznie ostrzeliwać wały. Ale wnet, doświadczonym już tylekrotnie sposobem, zapłonęły przedmieścia jasnym płomieniem: ogień niejednego w śmiertelnem objęciu zdusił najezdnika, innych daleko odpędził. Nie tylko z miasta, lecz także z klasztoru Karmelitów bosych celnie strzelano; dzielny komendant tamtejszej załogi Henig nigdy prawie daremnie lontu nie przyłożył. Stra-

cili tego dnia Szwedzi do 400 ludzi. Nawet koło ich króla gęsto kule świstały, kiedy ze szczytu Wysokiego zamku miasto oglądał. Zamek bowiem, jako zbyt podupadły, pozostawili nasi bez obrony.

Niestety powodzenia dnia tego ukołysały czujność lwowskiego komendanta. Nie spodziewał się tak rychło szturmu. Tymczasem Karol XII. nie zwykł był odpoczywać przed czasem. Jeszcze tej samej nocy walny szturm przygotował. Trzy pułki dragonów odkomenderował przeciw klasztorowi Karmelitów na wzgórku, a resztę wojska ustawił w pogotowiu, na wypadek gdyby miała nadejść obiecana mieszczanom odsiecz. Dragoni, była to jazda uzbrojona w strzelby i sposobna także do walki pieszej. Zsiedli z koni i wziąwszy granaty do rąk uderzyli z mocą na klasztor. Bronił się mężnie Henig ze swoją garstką, lecz wkrótce uległ przemocy; sam na sześć szpad wzięty na stanowisku ducha wyzionął. Działa miejskie nie mogły ostrzeliwać Szwedów, gdyż napad klasztoru nastąpił od tyłu, a komendant niczego nie przedsięwziął, ponieważ niestety zaspał sprawę... Zaledwie się go dobudził dzielny dowódca pierwszego pułku mieszczan, ławnik Józefowicz — ale już było zapóźno.

Od karmelickiego wzgórza zdobyć miasto było już rzeczą nietrudną. Wraz też skoczyli Szwedzi ku wałom, zachęceni obecnością króla, który sam ich ruchami kierował, ze szpadą w ręku. Piechota komendanta dała ognia i zmięszała na chwilę nieprzyjaciół, ale przy ówczesnem powolnem nabijaniu nie było już czasu na strzał drugi. Szwedzi w ponownym zapędzie skoczyli naprzód — i stanęli na wałach...

Miasto było zdobyte. Główny hufiec dragonów przez Ruską ulicę wkraczał do środka, na prawo i na lewo od niego pchnięto po jednym oddziale na wały. Jeden oddział oczyścić miał wały od strony krakowskiej, drugi od strony halickiej bramy, oba złączyć się miały przy jezuickiej furcie. Wojska załogowe ustępowały przed Szwedami, komendant zniknął w jednej z kamienic — najdłużej wytrwali na stanowiskach mieszczanie.

Od strony krakowskiej bramy gęste strzały padały na zdobywców; mieszczanie wzywali przechodzący tamtędy oddział wojska polskiego na pomoc, przyrzekając wytrwać do końca. Daremnie — dowódca oddziału pokiwał tylko smutno głową i kazał żołnierzom broń złożyć. Wówczas dopiero rozbiegli się nieszczęśliwi obrońcy Lwowa od młota i igły. Ale piętnastu kuśnierzy wytrwało aż do ostatka; zginęli wszyscy na swojej baszcie, przy swoich działach. Tymczasem na lewem skrzydle dotarli Szwedzi do Bernardynów, potem do Karmelitów na Halickiem przedmieściu. W obu klasztorach dowódcy chcieli się bronić, ale na prośby zakonników, którzy przedstawiali, że już wszelka obrona daremną, musieli się poddać. Także środkowy oddział Szwedów, wkraczający przez Ruską ulicę do Rynku, nie znalazł silnego oporu. Żołnierze z odwachu strzelili kilka razy, lecz widząc swoją nierówność, złożyli broń. Szwedzi na Rynku powyciągali wino z piwnic radzieckich i przypijając wołali do siebie: »mości panie witam cię w ruskim Lwowie«. Ranek zaledwie świtał dnia 6. września 1704. roku.

W sali radzieckiej na ratuszu zasiadł generał szwedzki Stenbock, przy nim kanclerz Piper i inni dygnitarze. Burmistrz miasta Dominik Wilczek i rajcy stali smutno przy ścianie, oczekując swojego losu. »Dlaczegoście broń przeciw nam podnieśli?« — zawołał groźnie Piper. — »Ponieważ taki otrzymaliśmy rozkaz« — odpowiedzieli rajcy. Byli przy tem obecni także kanonicy katedralni, więc jeden z nich, ksiądz Tomasz Józefowicz*, przemówił do kanclerza w te słowa: »Zostajemy tu w nadziei, że otrzymamy łaskę od ciebie Jaśnie Oświecony Panie, nie wiedząc co się z nami stanie. Tymczasem żołnierz zbrojny łupi domy nasze i kościoły, zabiera tak własność prywatną jak publiczną. Cóż wkońcu mieć będziemy, jeżeli zwycięski i rozwścieklony żołdak wszystko zabierze? Całe więc miasto zalane wojskiem, zbroczone krwią swych mieszkańców, pełne trupów, w pokorze błaga o miłosierdzie!« Zmiarkował

---

* Ten ksiądz Józefowicz napisał drugą po Zimorowiczu kronikę Lwowa, która obejmuje czas od r. 1634 do 1704.

się kanclerz, że nie będzie z czego wycisnąć kontrybucyi, więc porozumiawszy się z jakimś wojskowym, wydał rozkaz zaprzestania dalszego rabunku. Potem oświadczono rajcom, że mają w przeciągu 24 godzin złożyć 400.000 talarów okupu — w przeciwnym razie miasto będzie z dymem puszczone. Zaledwie wyproszono zniżenie do 300.000, a później przedłużenie terminu do dni sześciu.

Nastąpiły teraz smutne dni, w których wyciskano ostatki mienia od Lwowian. Jednakże mimo największego wysiłku zebrano w mieście nie wiele więcej jak 100.000 talarów. Na szczęście przybył do Lwowa świeżo obrany królem Stanisław Leszczyński i ten uprosił Karola, że na tej sumie poprzestał. Trzeba jednak było żywić jeszcze Szwedów aż do dnia 24. września. Wtedy dopiero odeszli, zabierając ze sobą prawie wszystkie działa, których jeszcze było we Lwowie 171. Za miastem rozsadzili je prochem.

Siła obronna Lwowa była raz na zawsze złamaną. Rozwiał się urok niezdobytej fortecy, który dotychczas otaczał nasze miasto. A przecież mimo wszystkiego tyle przynajmniej przyznać należy, że chociaż mniej szczęśliwie niż dawniej, to jednak bronili Lwowianie i tym razem z honorem rodzinnych kątów. Dłużej wytrwał na stanowisku mieszczanin niż zawodowy żołnierz i baczniej czuwał ławnik Józefowicz niźli komendant Gałecki.

18.

UPADEK STAROPOLSKIEGO LWOWA.

Po tylu i takich przejściach, po owych szeregach wypłat żołnierskich i nieprzyjacielskich okupów, któż się zadziwi, że tak bogate niegdyś zasoby były aż do samego dna wyczerpane, że przez to pełne życia miasto przeszło widmo nędzy i powiał chłód ruiny?

A jednak, same wojny nie są jeszcze w stanie wytłómaczyć trwałego upadku pewnego społeczeństwa. Upadają wprawdzie chwilowo narody i miasta pod ciężarem wojen, ale

się zwykle w dość krótkim czasie znowu podnoszą, jeśli mają w sobie dosyć wewnętrznej siły. Podobnie jak się człowiek rychło podnosi choćby po ciężkiej chorobie, jeśli organizm jego silny i zdrowy. Tymczasem nam właśnie tych sił wewnętrznych wówczas zabrakło. Nie w samym jednak Lwowie tkwiło źródło owej bezsilności, która Lwów coraz bardziej i bardziej trawiła — przyczyna leżała głębiej w ogólnym upadku mieszczaństwa polskiego, i jeszcze głębiej w ogólnym upadku całego narodu naszego, którego to mieszczaństwo i ten Lwów byli nierozdzielną częścią składową.

Mieliśmy sposobność już w średniowiecznej epoce zauważyć, jak obok nieograniczonej pierwotnie władzy monarszej zaczęły powoli urastać w siłę i znaczenie pojedyncze stany: najprzód duchowieństwo, potem szlachta, nareszcie mieszczaństwo. Władza królewska z nieograniczonej ojcowskiej władzy nad małoletnimi, stała się opiekuńczą tylko nad podrastającymi, baczną jedynie na to, aby zachowaną była między nimi pewna równowaga. Tymczasem owa równowaga w bardzo się krótkim czasie zachwiała: jeden nad wszystkimi innymi uzyskał stanowczą przewagę stan szlachecki. On nie tylko inne stany uczynił od siebie zawisłymi, ale i władzę królewską z biegiem czasu sprowadził prawie do zera. Zamiast króla rządził właściwie odtąd w Polsce sejm, ale sejm z posłów wyłącznie szlacheckich złożony. A gdy tak losy całej ojczyzny spoczywały w ręku jednego tylko stanu, to póki on kwitnął, kwitnęła także Polska, a kiedy on upadł i rwało się jego sejmowanie, musiał nastąpić upadek całego narodu. Poza stanem szlacheckim nie było bowiem już więcej niczego w Polsce — ani władzy monarszej, ani innego zdolnego do samodzielnego życia stanu.

Nie należy to do historyi jednego miasta rozważać, w jaki sposób się stało, że wszystkie stany w Polsce popadły w zawisłość od szlachty — nam chodzić może tutaj o jeden tylko stan mieszczański. Mieszczaństwo nasze w XV. wieku bardzo poważne zajmowało stanowisko, miało nawet w sprawach publicznych znaczący udział. Jednakże mieszczanie nasi sami

zaniedbali sprawę tego udziału w rzeczach publicznych; nawet na sejmy przestali mimo zachęty ku temu posyłać posłów. Tak więc przyszło do tego, że na sejmach załatwiano sprawy miejskie bez mieszczan. Jużto więc z nieznajomości stosunków miejskich, jużto z przestrzegania własnego przedewszystkiem interesu, wydała szlachta na sejmach wiele praw szkodliwych mieszczaństwu polskiemu. Niejedno znowu utarło się bez żadnego wcale prawa a tylko skutkiem istniejącej przewagi szlachty — dość, że nastąpiły z czasem ograniczenia sądownictwa miejskiego, zarządu miejskiego, a nawet ograniczenia przemysłu i handlu.

W czasach dawniejszych, kto chciał zaskarżyć mieszczanina, chociażby nawet był szlachcicem, mógł się udawać tylko do sądu miejskiego. W niektórych wypadkach nawet szlachcic sam bywał przez władze miejskie sądzony, a to jeśli schwytany został na jakim wybryku w mieście. Później mieszczanin oskarżony przez szlachcica stawać musiał zawsze przed sądem szlacheckim na zamku, a szlachcic nawet w razie popełnienia największego gwałtu w mieście, nie mógł być sądzony bez udziału starosty*. Cóż się więc działo, jeśli starosta swego udziału odmówił? Udawano się do sądów nadwornych królewskich. Lecz tutaj, w dalekiej Warszawie, przeciągały się sprawy bez końca, wymagając niezmiernych kosztów, a gdy nareszcie wyrok zapadł, to wykonanie jego — wobec bezsilności władzy królewskiej — zależało znowu tylko od dobrej lub od złej woli starosty.

Można więc sobie łatwo wyobrazić ile gwałtów uchodziło bezkarnie i zrozumiałą jest gorycz, z jaką się o tych stosunkach wyraża Sebastyan Cichnowicz rejent miejski we Lwowie (1659). »Naszego lwa i jego pazurów« — pisze Cichnowicz — »kiedyś takim swawolnikom strasznych i wielce ostrych zawsze się strachano. Teraz opak biją tego lwa, żal się Boże, i szczenięta jego«. Różni w różnych czasach ludzie ze swej swawoli po miastach do smutnej doszli sławy, ale najbardziej

* Statut toruński z r. 1519.

ze wszystkich Mikołaj Potocki, starosta kaniowski. Popełnił on i we Lwowie ze swoją kompanią bezkarnie wiele wybryków i gwałtów (1738), i potrzeba było aż osobnego rozkazu ze strony samego króla, do którego się bezsilne miasto z prośbą o ratunek udało, aby go skłonić do opuszczenia Lwowa.

Inne znów osłabienie powagi władz miejskich, które jednak dało się odczuć nie tylko w sądownictwie ale także w zarządzie miasta, wynikło skutkiem powstania tak zwanych jurydyk. Szlachta i duchowieństwo zakupowały nie tylko coraz więcej kamienic, ale i coraz więcej gruntów po miastach. Dawniej nikt w mieście nie był wolnym od obowiązków miejskich — później usunęły się od nich wyższe stany. Usunęły się nie tylko z pod sądownictwa i z pod zarządu miejskiego ale i od płacenia podatków miejskich. Osadnicy na takich gruntach wykupionych tylko dla swego pana mieli obowiązki i daniny i tworzyli pod jego naczelnictwem osobne zarządy, które się właśnie jurydykami nazywały.

Jak dawniej mieszczańskie Wólki tak teraz powstawały tylko szlacheckie albo klasztorne jurydyki. Takiemi były ze szlacheckich we Lwowie: Sieniawszczyzna, Sobieszczyzna, Jabłonowszczyzna, Chorążczyzna, Zborowszczyzna, Komorowszczyzna (ul. Zborowska i Czarnieckiego) i wiele innych — razem kilkadziesiąt. Dodajmy do tego jeszcze wszystkie klasztory, których właśnie w XVII. i XVIII. wieku największa ilość powstała we Lwowie, a które także od ciężarów miejskich się usunęły. Mieli wtedy Dominikanie cztery, Franciszkanie dwa, a Karmelici aż pięć kościołów i klasztorów we Lwowie. Prócz tego przybyli jeszcze wówczas do naszego miasta Reformaci, Paulini, Augustyni, Kapucyni, Trynitarze, Misyonarze, Pijarzy — a z zakonnic Brygidki, Kanoniczki de Saxia i Sakramentki*. Zważywszy to wszystko, poznamy łatwo, jak bardzo uszczupliła się wówczas władza miasta i jego dochody.

---

* Wkrótce po założeniu przeszedł w posiadanie Dominikanów kościół św. Maryi Magdaleny; prócz tego należał do nich obecny kościół luterski (1685), a do zakonnic tejże reguły obecna cerkiew

Jednakże nie tylko fundusze gminy doznały znacznego uszczuplenia — odczuwał je na samym sobie każdy ówczesny mieszczanin. Skoro już na sejmach zakazano mieszczanom kupować dobra ziemskie, to należało przynajmniej zostawić im nienaruszony ich właściwy zakres działania: przemysł i handel. Tymczasem i tutaj nastąpiły bardzo dotkliwe ograniczenia. Poddano cechy pod nadzór starosty, przyznając mu znaczny wpływ na stanowienie cen za wyroby rękodzielnicze; zamknięto granice dla wywozu krajowych, a otwarto dla przywozu towarów obcych. Nawet prawo składowe uległo znacznemu ograniczeniu. Przez takie postanowienia chciano zapewnić taniość potrzeb życiowych, a tymczasem pognębiono tylko przemysł i handel krajowy na korzyść zagranicznego. Wyrób krajowy nie mógł wytrzymać współzawodnictwa z wyrobem zagranicznym, kupiec polski znalazł się w mniej korzystnem od kupca obcego położeniu. W takich warunkach potrafili utrzymać się tylko żydzi, mieszczanie podupadli zupełnie.

---

seminaryum ruskiego (1729). Franciszkanie posiadali, oprócz swego dawnego kościoła pod niskim zamkiem, jeszcze kościół św. Antoniego na Łyczakowie (1718); Karmelici, oprócz trzech już powyżej wspomnianych kościołów (str. 98 i 107), jeszcze jeden klasztor męski św. Marcina (1736) i jeden żeński, w tem miejscu gdzie dzisiaj biblioteka Ossolińskich (1677). Do Reformatów należał kościół św. Kazimierza (1667), do Paulinów kościół, obecnie cerkiew św. Piotra i Pawła na Łyczakowie (1668), do Augustynów kościół św. Anny na Gródeckiem, do Kapucynów dzisiejszy kościół Franciszkański (1707), do Trynitarzy aż dwa kościoły: jeden ten, który obecnie przerobiono na cerkiew w pobliżu Narodnego domu, a drugi kościół św. Mikołaja (1745). Misyonarskie budynki na Żółkiewskiem (1744) obrócono na koszary, Pijarskie (1751) na szpital, Brygidzkie (1614) na więzienie. Kanoniczki (1763), które były na dzisiejszej ulicy Mickiewicza, zniknęły bez śladu, Sakramentki (1743) pozostały na dawnem miejscu.

Cyfry podane w klamrach oznaczają daty założenia stojących do dnia dzisiejszego murowanych kościołów lub gmachów pokościelnych — nie zaś daty przybycia zakonników, które są zwykle wcześniejsze.

Mamy przerażające dowody zubożenia mieszczaństwa lwowskiego w ciągu XVIII. stulecia. Zdarzył się w tym okresie czasu kilkakrotnie ten niesłychany wypadek, że kilkanaście, a czasem aż do trzydziestu, kamienic stanęło pustką. Właściciele pouciekali i nikt się nie chciał przyznać do spadku, bo więcej wynosił ciężar podatków i reparacyj, niżeli dochód z domu. Zniknął dawny dostatek przy stole, w urządzeniu i ubiorze; w skromnej czarnej kapocie, z ręką już nie na pałaszu, lecz tylko na lasce opartą, przesuwał się »łyk« lwowski cicho po tych ulicach i placach, na których się niegdyś dumnie rozpierał.

Cóż dziwnego, że wobec takiego zubożenia podupadła także oświata u naszych mieszczan? Nie było za co posyłać synów za granicę — ba nawet do szkół miejscowych. Gdy dawniej w szkole katedralnej kształciła się przeważnie młodzież miejska — wówczas w szkołach jezuickich, które bądź co bądź do większego od katedralnej doszły rozkwitu, znajdowała się prawie wyłącznie młodzież szlachecka. Nawet w aktach miejskich ówczesnych, pisanych niedbale i chaotycznie, odbija się ten upadek oświaty w mieszczaństwie.

Kiedy się rozpatruje w ten sposób, jakeśmy to powyżej uczynili, wszystkie po kolei objawy upadku mieszczaństwa polskiego w ogóle, a lwowskiego w szczególności, jedno spostrzega się wszędzie dziwne na pozór zjawisko. Oto ogólne pogorszenie stosunków miejskich w Polsce nastąpiło już na początku XVI. stulecia — we Lwowie zaś odbiło się ono dopiero w drugiej połowie XVII. wieku. Ta dość wielka różnica czasu nie jest jednak trudną do wytłumaczenia. Zwykle to się tak dzieje, że dopiero po upływie pewnego czasu pokazują się skutki jakiegoś nowego urządzenia. Tak i w tych stosunkach, im które miasto było potężniejsze, tem dłużej zasłaniało się dawnymi przywilejami swoimi. Nareszcie zjawiał się przecież jakiś powód, który sprowadzał przełom, który dawno już istniejącym przyczynom oddawał całą siłę działania. Takim powodem było we Lwowie owo palenie przedmieść w czasie oblężeń, które rujnując jurydyki i dworki szlacheckie, wywołało żywą nie-

chęć szlachty tutejszej przeciwko naszemu miastu i popchnęło ją do zastosowania przeciw niemu tych wszystkich środków, jakie już oddawna spoczywały w jej ręku.

Przy końcu XVII. i w ciągu XVIII. wieku mieszczaństwa już prawie nie widać we Lwowie. Wszystko co się odnosi do życia publicznego, tak religijnego, jak politycznego, towarzyskiego i artystycznego, wychodzi od szlachty. Był jeszcze naówczas wielki dobrobyt w stanie szlacheckim, ale go już trawił moralny upadek. Na domiar złego, prądy które przychodziły z zagranicy nie mogły działać ożywczo, bo czas ten najgorszy dla Polski był także czasem upadku dobrego smaku w życiu obyczajowem, w piśmiennictwie i w sztuce na całym świecie. Jakaś nienaturalna przesada ogarnęła wszystko. Objawiło się to w życiu obyczajowem przez nieumiarkowaną wystawność, w literaturze przez dziwną czczość treści a napuszystość wyrażeń (panegiryzm), a w sztuce przez styl nazwany barokiem.

I w naszym Lwowie sypały się wówczas dziwaczne mowy pochwalne przy każdej do tego sposobności i drukowały się jeszcze dziwaczniejsze a jednak bardzo rozpowszechnione książki n. p. »Nowe Ateny, czyli akademia wszelkiej wiedzy pełna« przez Benedykta Chmiełowskiego — prawdziwy zbiór niedorzeczności. Różne uroczystości publiczne i rodzinne odbywały się z nadzwyczajną wystawnością, którą nawet zastosowano do nabożeństwa. W razie przywiezienia jakich relikwij, albo ogłoszenia nowego Świętego, albo wprowadzenia nowego zakonu czy bractwa, były przedstawienia sceniczne, iluminacye, transparenta, salwy działowe i korowody muzyczne w użyciu. A cóż dopiero mówić o uroczystościach urządzanych przez ludzi świeckich, zwłaszcza magnatów. Kiedy w r. 1724. wydawał hetman Sieniawski córkę swą za mąż na nizkim zamku we Lwowie, to lało się wino strumieniami z rynien zamkowych na ulicę, wojsko nadworne dawało ustawicznie ognia, a miasto siliło się na oświetlenie i ognie sztuczne. A kiedy znowu w dwa łata później ten sam dygnitarz także na nizkim zamku zakończył życie, to wszystkie ceremonie pogrzebowe od śmierci aż do ostatecznego pochowania na zamku brzeżań-

skim zajęły nie mniej czasu jak sześć miesięcy! Łatwiej było naówczas w Polsce o pieniądz a nawet o wojsko dla czczej okazałości, niż na istotną potrzebę ojczyzny.

Najbardziej widoczne pamiątki swojego smaku zostawia jednak każda epoka w dziełach sztuki, a zwłaszcza budownictwa. Piękny styl odrodzenia, którego główną zasadą była miara we wszystkiem, w ciągu XVII. wieku zaczął się coraz bardziej i bardziej wypaczać. I tutaj gonienie za wystawnością doprowadziło do zepsucia stylu. Powzięto jakiś szczególny wstręt do skromnej linii prostej, wszystko musiało się uginać, falować, wykręcać. Nawet ściany zakreślały faliste wygięcia i odgięcia, jak n. p. u nas u Dominikanów lub u św. Jura. Wówczas to weszły w użycie kręcone słupy, wówczas muszla i ślimak do szczególnie ulubionych należały ozdób. W ogóle szafował wiek ówczesny ozdobami aż ponad miarę suto, tak w zewnętrznem, jak jeszcze bardziej w wewnętrznem urządzeniu gmachów. To wypaczenie renesansu, powstałe jak cały ówczesny kierunek smaku we Francyi, a panujące wszędzie w XVII. wieku, nazywa się stylem baroko, zaś doprowadzony już do skrajnej ostateczności barok w XVIII. wieku rokoko. Najwybitniejszym okazem pierwszego stylu jest u nas kościół Jezuicki, drugiego kościół Dominikański i katedra św. Jura.

Zakon Jezuicki, założony w XVI. wieku przez św. Ignacego Lojolę, głównie w celu nawracania innowierców i pogan, przybył do Lwowa już przy końcu tegoż stulecia, ale kościół swój tutejszy wybudowali Jezuici dopiero na początku wieku XVII. (1610—1630). Jeszcze wówczas styl odrodzenia był mało zepsuty, renesans dopiero zaczął przechodzić w barok — to też w budowie swojej nasz kościół Jezuicki niejedną posiada zaletę. Facyata jego, chociaż już w silnych wygięciach, ma jednak piękne gzymsy, obramienia i figury. Całość podnosiła dawniej (ukończona w r. 1701) wieża, niegdyś najwyższa we Lwowie, dziś całkiem prawie ucięta. Dopiero w wewnętrznem urządzeniu kościoła, które po roku 1630 nastąpiło, roztoczył barok cały blask sobie właściwy. Kronikarz jezuicki współczesny unosi się szczególnie nad przyozdobieniem sklepienia

w nawie środkowej. Były na niem »misternie w gipsie rzeźbione, w rzeźbach osadzone obrazy Świętych, bogato złocone, tak, że błyszcząc cudownie porywało to umysł i zachwycało. Niczego podobnego minione wieki nie widziały we Lwowie, a nasz wiek ani się mógł tego spodziewać«. Jeszcze większą staranność obrócono na ozdobienie bocznych kaplic, których było po cztery z każdej strony, zamiast naw bocznych. Bardzo często w ten sposób kościoły jezuickie budowano, chociaż się przez to przyciemniało wnętrze gmachu. Otóż w tych kaplicach oglądać było można mosiężne balustrady i balaski, srebrne obłoki i lustra, złociste i kamieniami drogimi wysadzane sukienki na obrazach, tudzież inne jaskrawe ozdoby, jak tego gust owych czasów wymagał. Dopiero w połowie XVIII. wieku przekształcono owe rzędy kaplic (przez usunięcie przegradzających ścianek) na boczne nawy, przyczem zastąpiono przesadną ozdobność sklepień i ścian dość udatnemi freskami, które wykonali sprowadzeni z morawskiego Berna malarze, dwaj Egsteinowie, ojciec i syn. Przypierający do kościoła od strony prawej wielki gmach, na przyczołku datą r. 1723. oznaczony, który dziś jest siedzibą urzędów, mieścił dawniej klasztor i szkoły OO. Jezuitów*.

Poznawszy bliżej znamienne cechy kościoła jezuickiego, łatwo już zrozumiemy rozkład i urządzenie dwu najważniejszych u nas w stylu rokoko kościołów, ponieważ styl ten jest tylko odmianą baroku. Tak katedra św. Jura jak i kościół OO. Dominikanów w swojej teraźniejszej postaci pochodzą z połowy XVIII. wieku: pierwszy z tych gmachów stanął ofiarnością metropolitów Szeptyckich, drugi nakładem Potockich (Józefa i Mikołaja) a pod artystycznem kierownictwem Jana de Witte, późniejszego komendanta kamienieckiej twierdzy. Oba te kościoły mają też układ kaplicowy, tylko że zasklepienie kopułowe otwiera w nich bardziej przestrzeń i dodaje

---

* Głównymi dobrodziejami Jezuitów lwowskich byli: najprzód Sieniawscy a później Jabłonowscy i Dzieduszyccy, których pomniki w tym kościele widzimy.



Fig. 19. Katedra ruska św. Jura.

światła. W szczegółach natomiast nie trudno odnaleść i tutaj dziwactwa baroku, np. kręcone słupy u Dominikanów albo owe kamienne latarnie na szczytach ruskiej katedry. Bądź co bądź jednakże kościół św. Jura należy do najpiękniejszych okazów stylu rokoko na całej przestrzeni ziem polskich. Jest on i w tem szczęśliwszym od innych kościołów lwowskich, że w urządzeniu wewnętrznem uniknął właściwej swemu stylowi przesady, ponieważ urządzeniem tem głównie już wiek obecny się zajął.

W wewnętrznem zaś urządzeniu wszystkich innych kościołów lwowskich barok się nad miarę rozgościł, usuwając zabytki innych stylów. Wyjątkowo tylko znaleść można we Lwowie ołtarz dawniejszej konstrukcyi. Najbardziej jednak jaskrawo ze wszystkich odbija od poważnego stylu budowy urządzenie wewnętrzne u Bernardynów, którego autorem jest prowincyał Wdziekoński, w połowie XVIII. wieku żyjący. Nawet gotycki korpus katedry i jej renesansowe kaplice nie uniknęły gipsowych firanek i innych ozdób barokowych. Dzisiejszy kształt swój zawdzięcza katedra Wacławowi Sierakowskiemu, który był arcybiskupem w czasie pierwszego rozbioru Polski. Żaden z arcybiskupów lwowskich ani przedtem ni potem nie poświęcił swojej katedrze tyle trudów i tyle grosza — nawet własne futro sobolowe ofiarował 70-letni starzec na cel fabryki — lecz nic dziwnego, że restauracyą przeprowadził w guście swojego wieku.

A więc w sztuce tak samo jak i w innych kierunkach życia publicznego stwierdzić można we Lwowie w XVIII. wieku to nienaturalne zjawisko, że mieszczaństwa prawie nie widać w mieście. Tylko wyższe stany wypływają na powierzchnię publicznego życia, tylko one budują kościoły i pałacyki na jurydykach; tylko kościelne obchody lub uroczystości rodzinne magnatów przerywają ciszę codziennego życia. Lecz choć mieszczaństwo w tak wielkiem już znalazło się poniżeniu, ubóstwie i ciemnocie, to jednak rządzące warstwy w narodzie nie po-

myślały o zastąpieniu go w utrzymywaniu ładu miejskiego. W innych krajach podkopano także w tym czasie stanowisko mieszczan i ograniczono samorząd miejski, ale przynajmniej natomiast obowiązek utrzymania porządku w mieście poruczono urzędnikowi monarchy. U nas odebrano mieszczanom środki, ale nie uwolniono ich od obowiązków zarządu.

W takim stanie rzeczy nic dziwnego, że obowiązkom podołać nie mogli. Lwów w XVIII. wieku przygnębiający przedstawiał widok. Baszty walące się, mury w wielu miejscach poprzerywane, pozbawione ganków i wschodów. Uzbrojenie w takim stanie, że kiedy w r. 1757 trzeba było strzelać na wiwat z powodu przyjazdu nowego arcybiskupa, nie było ani ziarnka prochu w zapasie i ani jednego szeląga na jego kupienie! Ratusz w zaniedbaniu. kamienice nawet prywatne tu i ówdzie na poły w ruinie.

Cóż dopiero powiedzieć o utrzymaniu ulic i gościńców? Na ulicach i placach leżały sterty nawozu i śmiecia, którego już od niepamiętnych czasów żadna nie dotknęła miotła. Bruki rozpłynęły się prawie w błocie. Nie było ich za co utrzymywać, więc polecono właścicielom domów opiekę nad częściami chodników, które przed ich domami przechodziły. Ale jakżeż mogli podołać temu zadaniu ci, których nie stać było nawet na utrzymanie w całości własnych domów. Na drogach i na gościńcach napotykali podróżni odwieczne kałuże i wyboje, tak że przy każdym powozie musiało iść po kilku hajduków i co chwila go barkami swojemi to z jednej to z drugiej strony podpierać albo wyciągać z błota. Słowem wszędzie ruina i najokropniejsze zaniedbanie.

Zaczęto uznawać, że stan ten już dalej trwać nie może. Od czasu pierwszego upomnienia królewskiego, które przy końcu rządów Zygmunta III. nastąpiło, odzywały się nieraz głosy wzywające do lepszego porządku; nawet jeszcze August III. rozkazywał staroście i magistratowi aby zbadali przyczyny upadku miasta i myśleli o środkach zaradczych. Ale dopiero za czasów Stanisława Augusta zjawiła się pierwsza komisya królewska dla bliższego zajęcia się tą sprawą. Równocześnie

zapowiedziano otwarcie nowego trybunału we Lwowie, jako wyższego sądu miejskiego dla całej Rusi.

Były to pierwsze we Lwowie znaki zapowiadające tę poprawę wszystkich stosunków w narodzie, a stosunków miejskich w szczególności, która się ostatecznie w konstytucyi 3. maja dokonała. Wprawdzie Lwów nie doczekał się już tej konstytucyi, a konstytucya nie ocaliła Polski od rozbioru, ale uratowała przynajmniej społeczeństwo polskie od rozbicia, nadając mu jeszcze w ostatniej chwili samoistnego bytu przez zbratanie stanów niespożytą potęgę na przyszłość.



CZĘŚĆ III.

NAJNOWSZA EPOKA LWOWA.

(1772—1892).

19.

PRZEJŚCIE LWOWA POD RZĄDY AUSTRYACKIE.


chwili śmierci drugiego króla z rodziny saskiej, Augusta III. (1763), była Polska już tak podupadłą, że tronem jej swobodnie mogła rozporządzać carowa Katarzyna. Włożyła koronę Jagiellonów na skronie człowieka, którym według własnej woli kierować zamierzała. Stanisław August Poniatowski, zdolny i ożywiony najlepszą chęcią ale słabego charakteru monarcha, doskonale nadawał się do takiej roli zawisłego władcy. Odkąd też dla poparcia jego wyboru wkroczyły do Polski wojska moskiewskie, odtąd już z niej więcej nie wyszły. Poseł moskiewski w Warszawie Repnin potężniejsze miał w Polsce stanowisko, niżeli król Stanisław August.

Nareszcie otworzyły się narodowi oczy na otchłań, nad którą zawisł. Powstały dwa stronnictwa: jedno z ludzi rozważniejszych złożone pragnęło najprzód wewnętrznego wzmocnienia — drugie, do którego należeli ludzie gorętszego serca, przed wszystkiem innem myślało o wypędzeniu Moskali. Najprzód popróbowali pierwsi, z królem na czele, przeprowadzić zniesienie *liberum veto* i innych wad ustroju, które ubezwładniały Polskę; ale im w tem przeszkodził Repnin. Wzięło więc teraz przewagę w narodzie stronnictwo drugie i zawiązała się konfederacya w Barze, celem wygnania Moskwy (29. lutego 1768). Jednakże konfederacya barska mimo bohaterskich wysileń nie zdołała odwrócić ani nawet opóźnić upadku ojczyzny. Ówczesne siły polskie nie mogły wystarczyć przeciwko

Moskwie, tem bardziej, że powstało rozdwojenie w narodzie, bo konfederaci wystąpili także przeciw królowi. Nie wystarczyła nawet uzyskana przez konfederatów pomoc turecka. Owszem wmieszanie się Turcyi sprowadziło tylko nowe zawikłania, które przyspieszyły rozwój wypadków.

Na tronie Prus zasiadał wówczas Fryderyk II., monarcha, który bez żadnego względu na prawa drugich pragnął wyzyskać na swoją korzyść każde zamieszanie. Nie podobało mu się, że Rosya zwycięża i Polskę i Turcyą. Jeśli Rosya jakie korzyści odniesie, to i Prusy przytem coś zyskać powinny — to było jego hasłem. Przedstawił więc FryderykI I. w Petersburgu projekt, aby Rosya nie powiększała się krajami tureckimi a tylko polskimi — a przytem »dla równowagi« pozwoliła także Prusom i Austryi zabrać po kawałku Polski. Wprawdzie cesarzowa austryacka Marya Teresa nie zgadzała się na takie ratowanie Turcyi kosztem Polski, ale ostatecznie przeważyło na dworze wiedeńskim zapatrywanie ministra Kaunitza tudzież syna i współrządcy Maryi Teresy, cesarza Józefa II. Według tego zapatrywania, Austrya, usuwając się od podziału, poniosłaby stratę a nie przeszkodziłaby podziałowi. Tak więc przyszedł do skutku układ pierwszego rozbioru Polski między Rosyą, Prusami i Austryą, dnia 5. sierpnia 1772. Sejm polski zmuszony był w roku następnym na ten układ dać swoje przyzwolenie.

W mieście Lwowie stali Rosyanie załogą już od początku konfederacyi barskiej (t. j. od r. 1768); trzeba było ich żywić i rozmieszczać. Generał Kreczetnikow zamieszkiwał kamienicę narożną w Rynku od strony ulicy Ruskiej. Gdy wybuchła wojna turecka pomaszerował Kreczetnikow na Podole (z początkiem r. 1769), a z tego poruszenia skorzystali konfederaci aby wykonać atak na Lwów. Silny oddział jazdy, przy którym znajdował się sam bohater konfederacyi Kazimierz Pułaski, uderzył dnia 1. czerwca 1769. wieczorem na wały miejskie. Atak nastąpił od zachodniej strony. Jednakże i w mieście znajdował się z ramienia króla Stanisława Augusta jako komendant mąż dobrze rzemiosła wojennego świadomy, wysłu-

żony gwardzista pruski, Felicyan Korytowski. Konfederaci, mimo kilkakrotnych szturmów, które trwały od 8 wieczorem aż do 6 rano, musieli ustąpić z pod Lwowa. Ogień działowy i ręczny od strony krakowskiej bramy zadał im znaczne straty, tak że zginęło 60 ludzi, a 60 wozów uwieziono z rannymi. Przy tej sposobności użył komendant Lwowa jeszcze po raz ostatni manewru zapalenia przedmieścia. Ogień podłożony od strony jezuickiej furty rozszerzył się ku południowi i zniszczył wiele domów i dworów, tudzież wieżę kościoła Karmelitów trzewiczkowych na Halickiem przedmieściu.

Szczęśliwszym dla konfederatów był podjazd pod Lwów wykonany przez dzielnego pułkownika Szyca w nocy z dnia 6. na 7. lipca roku następnego (1770). Postawiwszy 100 ludzi przy bramie krakowskiej, tyleż przy Halickiej i tyleż w rezerwie pod katedrą św. Jura, uderzyli konfederaci w 200 koni na dworek w pobliżu klasztoru Brygidek, gdzie był wielki odwach moskiewski. Miał tam główną kwaterę major Trautenberg, dowodzący Moskwą w nieobecności generała Kreczetnikowa. Konfederaci tak niespodziewanie spadli na nieprzyjaciela, że nie mógł ani razu dać ognia. Zginęło 40 ludzi od szabel konfederackich; pięciu oficerów, trzy sztandary, kilka działek, koni kilkadziesiąt i cała kasa wojenna dostały się w ręce zwycięzców. Major rosyjski ratował się ucieczką, oknem przez ogrody, ale żona jego, która przebrana w męski płaszcz i kapuzę zachęcała żołnierzy do boju, zginęła w tem zamieszaniu. Konfederaci, straciwszy 7 tylko zabitych a kilkunastu mając rannych, cofnęli się o wschodzie słońca ze zdobyczą ku Nawaryi. Tutaj odparli jeszcze skutecznie ścigający ich oddział moskiewski.

Rok następny był spokojny, trzeba było tylko po dawnemu dostarczać prowiantów dla Moskali we Lwowie i pod Lwowem stojących — dopiero rok 1772. przyniósł nadzwyczajnie doniosłe odmiany. Jeszcze układy podziałowe były w toku, a już zaczęły wkraczać do naszego kraju wojska austryackie. Od strony Dukli maszerował generał Hadik i stanął w pierwszych dniach lipca w Skniłowie pod Lwowem.

Wojska austryackie przez półtrzecia miesiąca stały obozem w Skniłowie — nie dlatego, żeby się miano spodziewać jakiego oporu ze strony Lwowa, gdzie nie było żadnej załogi, ale ponieważ czekano na ukończenie układów podziałowych*. Traktat podziału przyszedł do skutku dnia 5. sierpnia 1772. w Petersburgu; ale nim o tem przyszła wiadomość do Wiednia, a stamtąd znowu rozkazy do Hadika, była już połowa września. Wówczas zjawił się na ratuszu lwowskim kapitan austryacki Braun z żądaniem pomieszczenia 22 urzędników cywilnych (14. września). Trzeba było zadość uczynić temu żądaniu. Wkrótce potem, w sobotę dnia 19. września 1772., wkraczały wojska austryackie przez bramę Krakowską do Lwowa. Hadik zajął mieszkanie po Kreczetnikowie, żołnierzy, o ile nie pomieścili się w obu arsenałach, musieli po domach rozkwaterować mieszczanie. W przeciągu kilku dni kazano zrestaurować odwach, stojący przed ratuszem, który później był aż do r. 1848. w użyciu.

W kilka dni po jakiem takiem urządzeniu się wojskowości, w samą wigilią św. Michała (28/9), wjeżdżał wśród huku dział pierwszy gubernator nowej prowincyi austryackiej Galicyi i Lodomeryi, bar. Pergen, w mury Lwowa. Zajął mieszkanie w tej samej kamienicy co Hadik. Najbliższa niedziela, t. j. dzień 4. października przeznaczony był na uroczystość instalacyi nowego namiestnika. Zaproszono na nią dostojników duchownych i świeckich. Księdza arcybiskupa Sierakowskiego nie było we Lwowie — prawdopodobnie umyślnie wyjechał zawczasu. Zastępca jego sufragan Głowiński wymawiał się od urządzenia nabożeństwa w katedrze, ale musiał uledz rozkazowi.

Wezwano także i radę miejską do asystencyi. Rada w odpowiedzi na to uchwaliła wysłać do jenerała Hadika de-

* Zachodził prócz innych także i o Lwów spór pomiędzy trzema dworami. Prusy i Rosya nie chciały go zrazu przyznać Austryi i ustąpiły dopiero na przedstawienie, że jest to jedyne większe miasto w całym zaborze austryackim.

putacyą z przedstawieniem pismiennem, w którem prosi o uwolnienie od tego aktu, jako ubliżającego zaprzysiężonej królowi polskiemu wierności. Jednakże jenerał nie przyjął ani deputacyi, ani pisma; oświadczył tylko prywatnie, że odprowadzenie bar. Pergena do katedry nie będzie uważane jako złożenie hołdu nowemu monarsze. Zresztą nieodwołalnie ponowił swój rozkaz. — Nie było znikąd rady ni pomocy — nie pozostawało nic innego jak tylko ocalić honor. Wzruszającem szlachetną prostotą swoją jest pismo, wystosowane przez naszych mieszczan do kanclerza Młodzianowskiego, którem dają wyraz uczuciom swoim, w wilią owej poniewolnej asystencyi. »Królewskie miasto Lwów« — piszą w niem zacni mieszczanie — »które zawsze niezachwianą zachowało wobec królów polskich, a także i wobec szczęśliwie nam teraz panującego króla Stanisława Augusta, wierność, otrzymawszy onegdaj rozporządzenie jen. Hadika, aby wziąć udział przy instalacyi cesarskiego »ministra«, wszelkimi sposobami starało się od tego uwolnić — niestety bezskutecznie. »Tak więc dnia jutrzejszego to miasto od wszystkich opuszczone, nie bez ciężkiego umysłów przygnębienia, w nakazanym akcie obecnością swoją będzie musiało uczestniczyć! Jednakże czyn ten, samą tylko podyktowany przemocą, stałości miasta tego w zachowaniu nieskazitelnej wiary Najj. królowi polskiemu, panu swemu miłościwemu, w niczem na przyszłość zachwiać nie potrafi«. — List ten był ostatniem pożegnaniem naszego miasta z tą Rzecząpospolitą, z którą je tyle wieków w dobrej i złej doli serdecznym węzłem złączyło.

Nadszedł nareszcie ów przykry dla Lwowa a nieunikniony dzień 4. października. Na wały miejskie wytoczono działa, od mieszkania gubernatora aż do wielkiego ołtarza w katedrze zrobili szpaler grenadyerowie odświętnie przybrani; przed ratuszem ustawiły się cechy z chorągwiami. Szedł »minister« cesarski w okazałym stroju wśród huku dział i dźwięków kapeli, poprzedzony garstką radnych tudzież orszakiem radców i sekretarzy swojego biura. Przed bramą kościoła katedralnego powitali go sufragan Głowiński i drugi biskup tytularny i wpro-

wadzili na uroczyście przystrojone podwyższenie (t. zw. *teatrum*) przed głównym ołtarzem. Odbyło się solenne nabożeństwo z odśpiewaniem hymnu »Te deum laudamus« (Ciebie Boże chwalimy), a potem — znowu wśród salw armatnich — wzniesiono okrzyk: »Vivat Marya Teresa cesarzowa i Józef II. pan nasz!« Miasto było odświętnie przystrojone zielem, ale usposobienie ludności przygnębione. Przez cały czas uroczystości bramy miejskie były zamknięte i przechodziły przez ulice patrole dragonii; wiwaty grenadyerów słabo tylko i bez ochoty lud powtarzał. Nawet w Wiedniu nie zrobił dobrego wrażenia opis tej uroczystości, który nadesłał bar. Pergen. Szczególnie uderzał ten ustęp, w którym jedynie stosownym zarządzeniom wojskowym jen. Hadika przypisuje sprawozdawca, »że tak w czasie pochodu jak i w czasie wieczornej illuminacyi ratusza nie zaszły żadne nieporządki«. — Po kościele odbyło się przyjęcie u gubernatora, na które za przykładem ostatniego polskiego we Lwowie starosty, Jana Kickiego, żaden z dotychczasowych polskich urzędników nie przybył. Wszyscy wymówili się chorobą. Król Stanisław August w osobnym liście podziękował staroście za ten postępek, oświadczając, iż »tem mu jest szacowniejszy, że nie był nakazany i że własne światło, własne sumienie, jedynym były do niego powodem«.

Po uroczystościach instalacyjnych rozkazano władzom miejskim podpisywać tymczasową formułę przysięgi na posłuszeństwo. Zaledwie do 10. stycznia 1773. znalazła się wystarczająca liczba podpisów. Właściwe złożenie hołdu naznaczono dopiero na czas najbliższy po przyzwoleniu Rzeczypospolitej na traktat podziałowy. Cesarzowa Marya Teresa, dla której cała sprawa podziałowa była nadzwyczaj przykrą, nie chciała gwałtu zadawać sumieniom. Mieszkańcy Galicyi mieli przysięgać nowemu rządowi dopiero po uwolnieniu od posłuszeństwa przez rząd dawny. »I tak przysięga wierności« — pisze cesarzowa — będzie tylko ceremonią na tych biednych ludziach wymuszoną i wyciśniętą«. Gdy sejm polski dał swoje poniewolne przyzwolenie na podział, gdy układ z Austryą podpisany został w Warszawie (18. września 1773), natenczas ustanowiono

w Wiedniu termin do złożenia hołdu (*hommagium*). Był na ten cel przeznaczony dzień 29. grudnia r. 1773. W tym dniu we wszystkich wsiach składali przysięgę wierności włościanie, po miastach mieszczanie, a we Lwowie prócz mieszczan także naczelnicy duchowieństwa i szlachta całego kraju przez wysłanych na ten cel z każdego powiatu delegatów. Nowe rządy były faktycznie i formalnie wprowadzone.

20.

NOWE URZĄDZENIA.

Wprowadzenie nowych rządów pociągnęło za sobą zupełną zmianę wszystkich urządzeń wewnętrznych w całym kraju. Zaraz po zajęciu kraju ogłoszono, że wszystkie dobra koronne przechodzą na własność nowego rządu i że ustają wszystkie dotychczasowe urzędy: wojewodów, kasztelanów, starostów i t. d. Natomiast wprowadzono we Lwowie rząd krajowy, czyli t. zw. gubernium, a na prowincyi podległe mu urzędy obwodowe. Tych obwodów urządził Józef II.* 18 i tak zostało (z małemi zmianami) aż do r. 1848. Naczelnik obwodu nazywał się »Kreishauptmann«: w polskim zaś języku na oznaczenie tego nowego urzędu podstawiono dawną nazwę starosty.

Jednakże ogromna zachodzi różnica między staropolskim a austryackim starostą co do zakresu władzy. Różnica ta da się najlepiej w trzech punktach zaznaczyć. 1) W Polsce sprawy publiczne podzielone były między starostę a urządzenia autonomiczne, jakiemi były w miastach rady miejskie a na powiatach sejmiki szlacheckie i wybrane przez nie organy wykonawcze. Zbieranie n. p. podatków, utrzymywanie dróg, należało do władz autonomicznych. Teraz to wszystko przeszło

---

* Józef II., który był za życia matki, cesarzowej Maryi Teresy, współrządcą, objął po jej śmierci samodzielnie rządy w r. 1780. i panował do r. 1790. Po nim nastąpił brat jego Leopold II. (1790 do 1792), a potem syn Leopolda Franciszek I.

na urzędy cesarskie. 2) Przybyły nadto urzędom tym takie sprawy, o które się dawniej wcale nikt, zwłaszcza na powiecie, nie troszczył, n. p. stosunki zdrowotne, melioracye i t. p. 3) Nawet nad sprawami prywatnego zarządu dóbr rozciągnął rząd swoją opiekę: wobec szlachty, co się tyczy powinności włościańskich, (które znacznie obniżył), wobec miast, co się tyczy zarządu funduszami gminy. Tak dalece skrępowano władzom miejskim ręce w zawiadywaniu własnym majątkiem, że na każdy najmniejszy wydatek potrzeba było zasięgać pozwolenia urzędu obwodowego. Jeżeli zaś wydatek przekraczał kwotę 100 złr. (a w mniejszych miastach kwotę 50 złr.), to należało udawać się aż do gubernium!

Bardziej uwzględniono dawne stosunki przy urządzeniu sądownictwa. W Polsce udawała się szlachta do sądów grodzkich i ziemskich, mieszczanie do miejskich; chłopów sądził właściciel wsi, odsyłając ich zazwyczaj w sprawach gardłowych do najbliższego sądu miejskiego. W chwili zajęcia kraju ogłoszono, że każdy sędzia dotychczasowy ma i nadal pełnić swoje czynności, pozostawiając tylko stronom wolność odwołania się do nowo założonego we Lwowie trybunału apelacyjnego. Dopiero Józef II. zniósł sądy grodzkie i ziemskie a ustanowił natomiast dla szlachty t. zw. sądy szlacheckie *(fora nobilium)*; mieszczan sądziły i nadal magistraty a chłopów ich panowie — tylko że musieli do tego utrzymywać mandataryuszów. Te sądy niższe miejskie i wiejskie obejmowano wspólną nazwą sądów miejscowych (Ortsgerichte). To wszystko odnosi się jednak tylko do sądownictwa spornego (cywilnego). W sprawach karnych zaprowadził Józef II. t. zw. sądy okręgowe, wspólne dla wszystkich stanów. Tylko drobniejsze sprawy karne pozostawiono magistratom i mandataryuszom (sądom miejscowym). Mimo tego większego uwzględnienia dawnych stosunków, spostrzeżemy jednak i w sądownictwie znaczne ukrócenie autonomicznych urządzeń — jeżeli zważymy, że dawniej tak szlachta jak mieszczanie sami sobie sędziów wybierali, teraz zaś byli to mianowani przez władzę urzędnicy.

Ukrócenie samorządu odnosi się także i do szkolnictwa Wszystkie szkoły oddano pod ścisły nadzór państwowy. W miastach obwodowych zaprowadził rząd 4-klasowe szkoły normalne; w mniejszych miastach szkoły 3-klasowe, czyli trywialne, po wsiach mieli nauki udzielać organiści. Gminy nie miały żadnego głosu w szkolnictwie. Natomiast duchowieństwo, które dawniej wyłącznie zajmowało się uczeniem, zachowało i teraz przeważny wpływ na szkołę*. Wprawdzie nauczyciele byli w większej części ze stanu świeckiego, ale inspekcya szkół, a w gimnazyach dyrekcya, spoczywała w ręku duchownych. Tylko że dawniej przeważnie zajmowali się szkołami księża zakonni a teraz świeccy. Ponieważ zakon Jezuitów zniesiono (1773). więc ustała też we Lwowie utrzymywana przez nich wyższa szkoła; natomiast założył Józef II. w naszem mieście uniwersytet (1784).

Rozpatrzyliśmy się tedy w zarządzie kraju, sądownictwie tudzież szkolnictwie i poznaliśmy jak dalece rząd wszystko ujął w swoje ręce i jak mocno ukrócił dawne swobodne urządzenia. Gdyby zamiast obszerniejszego wywodu, na jednym tylko przykładzie chcieć zasady nowego rządu poznać od razu, to należałoby wskazać na ówczesny sejm galicyjski, czyli t. zw. Stany. Stany te nie miały prawa najmniejszych uchwalać ustaw, miały tylko zastanawiać się, jakby najlepiej wykonać przysłane z Wiednia zarządzenia. Co najwyżej wolno im było przedstawiać prośby, czyli t. zw. postulata, które prawie zawsze w Wiedniu rzucano do kosza.

Jedno jeszcze prócz ukrócenia samorządu. Oto we wszystkich szkołach od najniższych zacząwszy, we wszystkich urzędach, z wyjątkiem chyba owych malowanych Stanów, niemiecki język objął panowanie, z zupełnem wykluczeniem języka polskiego. Najwyraźniej było to postawione jako zasada rządu, że mieszkańcy Galicyi mają być przemienieni na Niemców!

---

* Chwilowo tylko ograniczono i w tem jak we wszystkiem innem duchowieństwo za Józefa II.

Ażeby teraz poznać, jak te wszystkie nowe urządzenia zastosowano do naszego miasta, wystarczy rozpatrzyć się bliżej w przywileju wydanym dla Lwowa przez cesarza Józefa II. i w dalszych tego aktu losach. Zaraz po wprowadzeniu nowych władz w naszym kraju rozkazano miastu przedłożyć wszystkie przywileje do zatwierdzenia. Długo trwało przepisywanie a jeszcze dłużej zastanawianie się nad tymi dokumentami, wreszcie uznano, że zamiast tych wszystkich odrębnych nadań, z których wiele nie zgadzało się z zasadami nowego rządu, należy wydać jeden nowy zbiorowy przywilej. Jako wzór posłużył podobny, właśnie niedawno (1783) Wiedniowi nadany przywilej. Tak powstał ów akt cesarza Józefa II. z 6. listopada r. 1789., w niemieckim spisany języku. Zawiera on 15 punktów, które ułożyć można w 3 grupy: 1. majątek i dochody miasta, 2. honorowe prawa, 3. władze i urzędy.

1. Przywilej zatwierdza miastu wszystkie jego posiadłości: wioski, grunta, realności, domy — i płynące z nich pożytki. Przyznaje mu także nadal taksy sądowe i policyjne, dochód z wagi miejskiej i czynsze jarmarczne. Dawny jarmark styczniowy (na św. Agnieszkę) w mieście ma trwać przez 4 tygodnie, zacząwszy od pierwszego poniedziałku po Trzech Królach; pozostawiają się także oba jarmarki przedmiejskie pod św. Jurem w maju i październiku. Miasto zachowuje także wyłączne prawo propinacyi piwa, miodu i wódki. Za pozwolenie wyrabiania trunków każdy fabrykant musi opłacać do kasy miejskiej pewną kwotę; przywożący do miasta piwo obcego wyrobu płaci daleko więcej. Pozostaje miastu także dochód rogatkowy, według zwyczajnej, przez rząd potwierdzonej taryfy.

2. Prawa honorowe. Z 10 posad kanoników katedralnych połowę mianuje rząd sam bez odnoszenia się do kogokolwiek, a połowę na rozmaite przedstawienia. Otóż z tych ostatnich jednego przedstawia miasto, t. j. jedna kanonia jest patronatu miejskiego. Do stanów krajowych Lwów ma prawo

posyłać 2 delegatów. Przyznany także miastu zostaje dawny jego herb, który przywilej bliżej opisuje.

3. Władze i urzędy. Do wymiaru sprawiedliwości, do utrzymywania porządku i zarządzania majątkiem gminnym ustanowiony został magistrat, składający się z burmistrza, wiceburmistrza i 16 radców. Z tych 8 tworzy senat sądowy a 8 senat polityczny. Senat sądowy lwowski miał w sprawach cywilnych mniejszy, zaś w karnych rozleglejszy, zakres działania. W cywilnych sprawach należały do niego tylko wszystkie procesy w obrębie Lwowa i jego posiadłości — i to z wyłączeniem szlacheckich. Natomiast w sprawach karnych podlegali mu wszyscy bez różnicy stanu mieszkańcy całego obwodu (»Kreisamt«) lwowskiego, a w sprawach zdrady stanu nawet wszyscy mieszkańcy Galicyi *. — Drugi oddział magistratu, zwany senatem politycznym, miał sobie powierzony cały zarząd miasta; tylko opieka nad poddanymi, mieszkańcami miejskich wiosek, należała do lwowskiego urzędu obwodowego (starostwa). — Zresztą od zarządzeń władz miejskich wolno odwoływać się w sprawach sądowych do apelacyi, w sprawach politycznych i administracyjnych do gubernium.

Prawo wyboru burmistrza, wiceburmistrza i radców magistratu oddaje przywilej Józefa II. t. zw. wydziałowi miejskiemu, który przedstawia obywatelstwo stolicy i pochodzi z wolnych wyborów. Burmistrza, jego zastępcę i radców obiera wydział w obecności komisarzy rządowych. Wybierać wolno tylko takich mężów, którzy, na podstawie złożenia odpowiednich egzaminów rządowych, otrzymali od urzędu obwodowego t. zw. dekrety wybieralności. Przez to miał rząd

* W sprawach cywilnych był zatem senat sądowy lwowski tylko sądem miejscowym, zaś w sprawach karnych sądem okręgowym, a w niektórych wypadkach nawet sądem krajowym (porównaj str. 158). Dopiero w r. 1820. utworzono we Lwowie (jak wszędzie w Austryi) osobny sąd karny, a w r. 1855. osobny sąd cywilny. Odtąd pozostała magistratowi tylko władza administracyjna. (Zarząd i sprawy polityczne).

możność niedopuszczenia do magistratu żadnej dla siebie niemiłej osoby. — Podwładnych urzędników miał sobie magistrat sam dobierać.

Zdawałoby się, że Lwów stosunkowo jeszcze nie najgorzej wyszedł przy tych nowych urządzeniach. Jednakowoż to właśnie, co stanowiło całą wartość autonomiczną przywileju Józefa II., ów wolny wybór burmistrza, wiceburmistrza i magistratu, to już w najbliższym czasie całkiem inaczej się przedstawiło. Zaraz w pierwszych latach cesarza Franciszka I. wyszły w tej mierze odmienne postanowienia, znoszące wybory, a na posadach burmistrzów, wiceburmistrzów i radców magistratu widzimy samych mianowanych przez rząd urzędników, prawie wyłącznie Niemców. Pozostał tylko jakby błędny cień, jakaś pusta mara dawnego samorządu, ów wydział miejski, którego urzędnicy Niemcy tylko wtedy o zdanie pytali, kiedy chodziło o przyjęcie nowych a trwałych zobowiązań. Później (od r. 1837) pozwolono mu także wglądać w rachunki miejskie, tak jak dawniejszym czterdziestu mężom, ale to więcej dla formy. Liczba wybieranych do tego wydziału obywateli wynosiła 60, a od r. 1848. 100 członków.

Widzimy zatem, że Lwów nie stanowił żadnego wyjątku w ogólnym systemie nowych rządów. Niesprawiedliwą byłoby rzeczą we wszystkiem je potępić. »Pod Niemcami swawolić nie można« — napisał żyjący podówczas poeta Karpiński w swoim pamiętniku. Zaprowadzono większy ład i sprężystość w sądownictwie, ukrócono samowolę możnych, poczyniono znaczne ulgi w pańszczyźnie chłopów, podnoszono miasta, porządkowano poczty i drogi, postarano się o urządzenia zdrowotne. Poznamy bliżej te ulepszenia i we Lwowie w ust. 22. Prawda, że trzeba było dawać rekruta i ciężkie pieniądze tytułem podatków — ale któreż państwo może się obyć bez skarbu i bez wojska? Nie chcieliśmy dawać za królów polskich, musieliśmy, kiedy ich nie stało. Mimo jednak poprawy stosunków w tym lub owym kierunku, smutno było naówczas w naszym kraju. Owe dwa kierunki, któreśmy już mieli sposobność powyżej dostatecznie nacechować, t. j. przytłumienie

wszelkiego samorządu i wyraźna dążność do wynarodowienia kraju, kazały zapominać o wszystkich choćby największych ulepszeniach. Gdybyż jeszcze wykonawcy tak przeciwnego krajowi systemu starali się postępowaniem swojem mniej go bolesnym uczynić! Lecz właśnie działo się całkiem przeciwnie. Do surowego wykonywania uciążliwych przepisów, dodawali urzędnicy obcy od siebie samowolę, butę, nieznośne lekceważenie ludności polskiej — sami po większej części życiem swojem i prowadzeniem nie wzbudzając bynajmniej szacunku. Już sam widok takiego urzędnika niemieckiego w kusym fraczku i długich pończochach, z puklami albo warkoczem na głowie, rozśmieszał i drażnił Polaka; sama nazwa »Kreisamtu« odrazą go napełniała. Pod spokojną na pozór powierzchnią wszystko na wewnątrz burzyło się i przewracało; cały kraj na wskróś był przejęty uczuciem gorzkiego niezadowolenia.

21.

PIERWSZE PODŹWIGI NARODOWE.

A tymczasem w sąsiedniej Polsce, nauczonej bolesnem doświadczeniem pierwszego podziału, coraz szerzej, coraz powszechniej przyjmować się zaczęły rzucone już dawniej hasła poprawy. Podniosły się nauki i szkoły, powstawały fabryki, porządkowały się miasta — nareszcie sławna konstytucya z 3. maja r. 1791. nadawała równouprawnienie mieszczanom a ochronę chłopom. Wszystko się przeobrażało, wszystko zmieniało na lepsze — ale z tą tylko różnicą, że na gruncie narodowym, że z zachowaniem dawnych polskich swobód! — Cóż więc dziwnego, że Galicya, że Lwów tęskny wzrok obrócił ku Warszawie?...

A w Warszawie nawzajem zaczęto myśleć o Galicyi. Rosya zajęta była nową wojną turecką, tym razem przy pomocy Austryi — zaś król pruski na przekór swoim dawnym sprzymierzeńcom popierał Polskę. Obiecywał nawet dopomódz do odzyskania Galicyi. Wśród takich widoków zawiązano w sto-

licy polskiej komitet, który miał się postarać o rozbudzenie ruchu narodowego w Galicyi.

Zadanie to nie było trudnem. Niezadowolenie w naszym kraju doszło do szczytu przy końcu rządów cesarza Józefa. Józef II. był monarchą, który z wielką sprężystością zaprowadzał ład i ulepszenia wewnętrzne, ale z większym jeszcze naciskiem tłumił resztki samorządu i dążył do zniemczenia wszystkich podległych sobie krajów. Prócz tego uszczuplił bardzo prawa i dochody duchowieństwa, co nie mogło się podobać ludności tak wiernej kościołowi, jak polska. Podatki przy tem podniósł nadzwyczajnie. Póki Józef II. stał w całym blasku powodzenia, póty nieśmiałe podnosiły się tylko w Galicyi głosy, żądające dla kraju przynajmniej takich praw, jakie miały naówczas Węgry *. Kiedy jednak Józef doznał niepowodzeń na wojnie tureckiej, kiedy burzyć się zaczęły podległe mu kraje, a do tego król pruski groźne zajął stanowisko, wtedy skargi Galicyi stały się także głośniejszemi. Nareszcie przybył z Warszawy delegat komitetu, Kazimierz Rzewuski, wszędzie z upragnieniem witany, i zorganizował akcyą.

We Lwowie powstał komitet najprzód tajny i z 13 tylko osób złożony, który wkrótce jednak przemienił się w jawny i szerokie przybrał rozmiary. Dnia 23. kwietnia 1790. przyszedł w naszem mieście akt związkowy do skutku — pokryty niebawem pięcią tysiącami podpisów — w którym szlachta galicyjska oświadcza, że łączy swoje usiłowania, celem odzyskania naruszonych praw religii i obywatelstwa. Dla przeprowadzenia swoich życzeń ustanawia we Lwowie komisyą złożoną z 30 osób, która jedna zaufaniem narodu obdarzona, będzie wydawać zlecenia bawiącej w Wiedniu deputacyi galicyjskiej.

Właśnie bowiem niedawno wysłano do stolicy austryackiej pod przewodnictwem Ossolińskiego kilku mężów wybranych, którzy mieli powitać nowo na tron wstępującego monarchę i przed-

---

* Dowodzono, że ponieważ monarchowie austryaccy zajęli nasz kraj na podstawie mniemanych praw Węgier do Rusi, przeto powinna Galicya należeć do Węgier i dzielić ich swobody.

stawić mu życzenia kraju. Obejmował wówczas rządy Austryi z powodu śmierci cesarza Józefa brat jego młodszy Leopold II., monarcha, który oględnością swoją w tych trudnych czasach uratował państwo Habsburgów. Okazał Leopold i dla naszego kraju szczerą przychylność — ale cóż kiedy żądania galicyjskie były tak daleko idące, iż z góry małe było prawdopodobień-



Fig. 21. Józef Maksymilian Ossoliński.

stwo, aby je rząd wiedeński przyjąć zechciał. Ostrzegał wprawdzie rozważny Ossoliński, ale nie usłuchano jego rady pod wpływem wielkich nadziei płynących z Warszawy. Żądano sejmu niezawisłego od monarchy, oddania dóbr koronnych pod zarząd kraju, utworzenia wojska polskiego i usunięcia

języka niemieckiego z urzędu a zastąpienia go językiem polskim i łacińskim. Ta cała ustawa miała się nazywać konstytucyą czyli kartą leopoldyńską. Jednak skończyło się wszystko na pewnem zniżeniu podatków; żadnego z życzeń powyżej przytoczonych nie uwzględniono, tem bardziej że umarł wkrótce cesarz Leopold i że zaszły niebawem wypadki, które podkopały do reszty siły i znaczenie naszego narodu.

Carowa Katarzyna, uporawszy się z Turkami, wszystkie siły swoje zwróciła przeciwko Polsce. Mimo świetnej walki uległy wojska polskie przemocy, a król pruski, nasz »sprzymierzeniec«, wezwany o pomoc... ułożył się z Rosyą o drugi podział Polski (1793). Austrya w tym drugim podziale nie miała uczestnictwa. Wzięła jednak udział w podziale trzecim, gdy Rosya i Prusy pobiły zrywający się pod wodzą Tadeusza Kościuszki do nowej bohaterskiej walki naród polski. Wszystko się jak najsmutniej dla Polski skończyło. Cesarz Franciszek I., następca Leopolda przyłączył do Galicyi jeszcze część południową dzisiejszego Królestwa, którą nazwano Galicyą drugą czyli zachodnią; Prusy zajęły Warszawę, Rosya litewskie i ruskie ziemie (1795).

Pomimo tak smutnego spraw naszych obrotu, Lwów jednak w usiłowaniach narodowych nie tylko nie ustał, lecz owszem stał się teraz jednem z najważniejszych ognisk ruchu. Doznawszy bolesnego zawodu na drodze prawnej, zeszedł na drogę rewolucyjną. Była to właśnie epoka wielkiej rewolucyi francuzkiej. W Paryżu obalono władzę królewską i zaprowadzono rzeczpospolitą; rząd rzeczypospolitej wzywał wszystkie ludy do walki przeciwko królom. Nie widząc z nikąd ratunku usłuchał naród polski tego głosu. Emigranci polscy, wojskowi i mężowie stanu, ułożyli z rządem francuzkim utworzenie legionów polskich. Francya potrzebowała pomocy, mając do walczenia z koalicyą całej prawie Europy — Polska jej chętnie udzieliła, w nadziei odzyskania niepodległości.

Kraj cały poparł zabiegi, mające na celu postawienie legionów. W Krakowie zawiązała się tajna konfederacya, we Lwowie założono główny komitet spiskowy, zwany centralnością. Resztki wojska polskiego zbierały się na wołoskiej ziemi — i wtedy to na ulicach naszego miasta można było czytać plakaty z napisem: »Kto kocha ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę!« Jednak legiony na Wołoszczyźnie nie przyszły do skutku, gdyż dowódzca tamtejszego oddziału polskiego Denysko w 150 zaledwie ludzi porwał się do szalonego napadu na Bukowinę. Zginęło piętnastu w bitwie, czternastu wziętych do niewoli stracono (1797).

Natomiast przyszły w tym samym czasie do skutku legiony polskie we Włoszech. Wojska polskie pod wodzą Henryka Dąbrowskiego pomagały do zwycięstw generałowi Bonaparte i spiewały prostą piosenkę, pełną otuchy, że »nie zginęła jeszcze« ojczyzna i że powrócą do niej, aby się »złączyć z narodem«. I rzeczywiście miała Polska, miał nawet Lwów nasz obaczyć legiony — ale nie tak to jeszcze rychło nastąpiło.

Generał Napoleon Bonaparte ogłosił się cesarzem Francuzów. Polacy jeszcze silniej przylgnęli do Francyi — zdawało im się, że Napoleon ziści ich nadzieje. I rzeczywiście, zadawszy Prusakom dotkliwą klęskę pod Jeną, odbiera im cesarz Francuzów Warszawę i tworzy księstwo warszawskie (1807). W dwa lata potem wybucha wojna francuzko-austryacka. Podczas gdy główne armie walczą nad Dunajem, wkracza arcyksiążę Ferdynand d'Este do księstwa warszawskiego, a Polacy mimo bohaterskiego oporu pod Raszynem nie są w stanie przeszkodzić w zajęciu Warszawy. Jednakże wodzowie polscy i tak nie tracą ducha; za radą Dąbrowskiego Józef Poniatowski nawzajem przekracza granice Galicyi. Drobne i rozrzucone oddziały austryackie zaskoczone tym niespodziewanym atakiem cofają się na południe: jedno miasto po drugiem wpada w ręce wkraczającej armii księcia Józefa.

Nadszedł pamiętny w historyi Lwowa dzień 27. maja 1809 r. Jeszcze w nocy poprzedzającej ostatni oddział austryacki przeszedł przez nasze miasto, a już z pierwszym brzaskiem

dnia pokazały się na gródeckiej rogatce mundury polskich jeźdźców. Chociaż ich było wszystkiego razem z dowodzącym porucznikiem (Starzeńskim) 17, jednak bez wahania wkraczają do miasta. Załogi wojskowej nie było — a mieszkańcy Lwowa przyjęli przybywających z otwartemi ramiony. Na rynku, dokąd najprzód wkroczyli, a potem przed odwachem w pobliżu komory celnej, ogromne tłumy ludności, nie wyłączając żydów, wznosiły radośne okrzyki na cześć polskiego wojska. W jednej chwili pokazały się wszędzie narodowe odznaki i godła. Około południa deputacya szlachty i inteligencyi pod przewodnictwem Teodora Potockiego, Waleryana Dzieduszyckiego, tudzież adwokatów Węglińskiego i Dzierzkowskiego jawiła się z powitaniem u dowódzcy polskiego oddziału. Następnego dnia, późnym już wieczorem, wśród odgłosu dzwonów i okrzyków ludu wkroczył jenerał Rożniecki na czele 350 żołnierzy w rzęsiście oświecone ulice Lwowa.

Tylko 60 ludzi zostawiono jako załogę miasta, reszta nazajutrz (29./5.) pomaszerowała dalej. Generałowi Rożnieckiemu przedstawiały się wszystkie władze; on zaś pozostawił urzędników niemieckich na posadach, przydał im tylko polskich inspektorów. Ponieważ jednak zajęto się wkrótce we Lwowie tworzeniem nowych oddziałów i zarządzono nawet po biurach przysięgę wierności dla nowego rządu, przeto wszyscy wyżsi urzędnicy niemieccy złożyli swoje urzędowanie. Zastąpiono ich polskimi z grona tych obywateli, którzy pierwsi witali wkraczające wojsko. Ustąpił też mianowany przez rząd burmistrz, radca gubernialny Lorenz, a obywatelstwo Lwowa, po raz pierwszy od lat wielu a po raz ostatni na długi znowu lat szereg, dokonało wolnego wyboru burmistrza, zaszczycając zaufaniem swojem złotnika Koberweina.

Cały Lwów zakipiał naraz gorączkowem życiem. Szlachta tworzyła nowe oddziały jazdy dla legionów, ze wsi okolicznych sprowadzano uzbrojonych wieśniaków, rzemieślnicy żwawą mieli krzątaninę około dostarczenia wojskowych potrzeb. Jeden tylko arcybiskup ruski Angełowicz odsunął się od całego ruchu. Niemcy zniknęli bez śladu. Jakby za pierwszym powiewem

prysnęła niemiecka powłoka przez lat trzydzieści siedm z takim mozołem nakładana; urzędnicy niemieccy nie mogli się łudzić co do wyniku swoich usiłowań. Niejeden z nich drżał ze strachu, jednakże ani rząd polski ani ludność Lwowa nie splamiła się najmniejszym gwałtem. Nawet ci urzędnicy, których z rozkazu Napoleona uwięziono, z największem uznaniem wyrażali się później o postępowaniu, jakiego doznali. Zawierały szczerą prawdę te słowa Rożnieckiego, któremi przy końcu wojny żegnając Galicyan wyraził, że wszystkie ich postępki nie miały za cel, aby szkodzić rządowi, lecz aby się przyczynić do dobra swojego narodu.

Zajęcie Lwowa przez wojsko polskie nie trwało jednak dłużej jak dni 24. Na wiadomość że generał austryacki Egermann na czele 4.500 ludzi zbliża się do naszego miasta, wycofał się z niego nocną porą drobny oddzialik polski. Następnego poranku — a było to dnia 20. czerwca 1809 r. — wkroczył generał Egermann od janowskiego gościńca na rynek Lwowa. Zjawili się znowu Niemcy, aby powitać wojsko, przybył nawet gubernator Wurmser — ale zaledwie ośm dni upłynęło od przybycia Egermanna, a już nowa nastąpiła we Lwowie odmiana.

Dnia 28. czerwca w samo południe wyruszyła załoga austryacka na Sambor, a w 3 godziny potem od strony Janowa 6000 Moskali przy odgłosie hałaśliwej muzyki i z zapalonymi lontami dział wkroczyło do Lwowa. Dowodził nimi generał Müller-Zakomelski. Moskale weszli do Lwowa jako przyjaciele Napoleona, z którym car Aleksander I. zniewolony był zawrzeć przymierze, ale w gruncie rzeczy więcej sprzyjali Austryi. Najbardziej zaś chodziło im o to, aby przeszkadzać powodzeniu Polaków. Dlatego zajęli prawie całą Galicyą aż do Tarnowa, z wyjątkiem tylko Podola i obwodów żółkiewskiego tudzież złoczowskiego. W Żółkwi był aż do końca wojny rząd polski; tam też prawie cały Lwów pociągnął na uroczystość w dniu urodzin Napoleona (15. sierp.). W naszem mieście jednak nie pozwolili Moskale na powrót rządu polskiego, tylko ustanowili generała Müllera wojennym guberna-

torem, a cywilny zarząd zostawili Wurmserowi i jego urzędnikom. Dały się rządy moskiewskie dobrze Lwowianom we znaki: prócz dostawów musieli kilkadziesiąt tysięcy wydać z kasy miejskiej dla rosyjskiego wojska. A trwało to gospodarstwo prawie pół roku. Wprawdzie wojna była już w lipcu przez zwycięstwo Napoleona pod Wagram rozstrzygniętą, ale aż do połowy października przeciągnęły się układy pokojowe. Potem powoli, przez cały listopad wyciągali się Moskale z Galicyi; Lwów opuścili dopiero 14. grudnia z wielkim żalem za minionymi dniami hulanki.

Pokój, zawarty 17. października 1809. r. w Schönbrunnie pod Wiedniem, oddawał księstwu warszawskiemu całą zachodnią czyli nową Galicyą, a starej Galicyi zakreślał mniej więcej te same granice jakie miała po pierwszym rozbiorze i jakie do dzisiaj posiada. Tylko obwód tarnopolski został przy Rosyi aż do roku 1815. W tym roku zaś po zwycięstwie sprzymierzonych mocarstw europejskich nad Napoleonem, kongres wiedeński zwrócił Austryi obwód tarnopolski, a z księstwa warszawskiego utworzył Królestwo polskie pod panowaniem monarchów rosyjskich. Kraków tylko jeden z obwodem utrzymał jeszcze przez jakiś czas (do r. 1847) niezawisłość, jako rzeczpospolita krakowska — we Lwowie dawne stosunki wróciły na stałe.

22.

NOWOŻYTNE PRZEKSZTAŁCENIE LWOWA.

Jedną z najciekawszych rycin do objaśnienia przeszłości Lwowa, jakie się zachowały, jest ta, która przedstawia nasze miasto w pierwszych latach rządów austryackich*. Jakkolwiek tutaj nasze kościoły już w dzisiejszym niemal przedstawiają się kształcie i o wiele je łatwiej wyróżnić niż na owym rysunku Brauna (z r. 1617), to jednak daleko bardziej zbliża się całość obrazu do dawniejszego niż do dzisiejszego widoku

* Obacz rycinę 20. między str. 156 a 157.

Lwowa. Jeszcze stoi jeden i drugi zamek, jeszcze nasz gród zachował cały potężny swój pancerz obronny. Widać mury i baszty, widać krakowską i halicką bramę i jezuicką furtę dla pieszych z długim zwodzonym mostem. A w koło, w rozległym promieniu, z wyjątkiem kościołów znowu tylko folwarki i dworki. Prawda że zapełnione są już te pola od strony zachodniej, jakie widzimy na samym froncie rysunku Brauna, ale zapełnione jeszcze więcej drzewami niźli domami. Cała ulica Kopernika — wówczas sokolnicka droga — to jedna aleja drzew, od samej Pełtwi zacząwszy; blisko św. Jura już widać pola otwarte. Od wschodu poza pagórkiem Karmelitów jeszcze zupełne pustki. Słowem jeszcze stary Lwów we wszystkich swoich głównych zarysach.

Tymczasem w kilkanaście zaledwie lat potem widok zupełnie odmienny — już kształty dzisiejsze Lwowa zaznaczone całkiem wyraźnie. Cóż spowodowało ten przełom, to przekształcenie tak szybkie? Oto dwie okoliczności wielkiego znaczenia: Lwów stał się stolicą znacznej prowincyi i Lwów przestał stanowić fortecę.

Kiedy nowe rządy rozgościły się w naszem mieście, cały żarząd cywilny i wojskowy skupiał się w owej podwójnej kamienicy rynkowej od rogu Ruskiej ulicy. Tam przebywali Pergen i Hadik wraz ze swojemi biórami. Wkrótce zaczęło być ciasno w tym domu; myślano o przeniesieniu gubernium do dawnego zamku niskiego. Jednakże niebawem nadarzył się inny gmach o wiele dogodniejszy. W r. 1773. papież Klemens XIV. zniósł zakon Jezuitów; rządy pozabierały majątek zakonu. We Lwowie kościół jezuicki uczyniono kościołem wojskowym, a gmach klasztorny i szkolny przeznaczono na urzędy. Mieściło się tam aż do r. 1848 gubernium i prawie wszystkie władze rządowe; stąd nazywano budynek ten wprost gmachem urzędowym (Dicasterialgebäude*).

---

* Zamek zaś niski Józef II. oddał na własność Stanów, które sprzedały go miastu (1802), poczem nastąpiło rozebranie walących się budynków. Powstał stąd plac »castrum«, który dopiero w ostatnich czasach zabudowano.

Gdy w 10 lat po rozwiązaniu zakonu jezuickiego, Józef II. zarządził zniesienie wielu innych klasztorów, opróżniło się we Lwowie naraz mnóstwo gmachów. Przeznaczono je znowu na cele publiczne: na parafie, na szkoły, na teatr, na magazyny, nawet na więzienia. W klasztorze Trynitarzy, na miejscu, gdzie dzisiaj »narodny dom«, urządzono uniwersytet i gimnazyum; w przyległym kościele (obecnie nowej cerkwi) biblioteka uniwersytecka znalazła umieszczenie. Franciszkanów z pod niskiego zamku przeniesiono do dzisiejszego kościoła (dawniej kapucyńskiego) — zaś dawny ich klasztor przerobiony został na szkoły normalne, a kościół na teatr. W tym teatrze odbywały się przedstawienia niemieckie i polskie aż do wybudowania teatru Skarbka (1842). Odbywały się także reduty i bale — aż pewnego razu w czasie restauracyi gmachu, zrobiono przerażające odkrycie, że się bawiono... na grobach. Przeniesiono wprawdzie znalezione zwłoki z piwnic kościelnych na cmentarz i odprawione były uroczyste egzekwie w kościele jezuickim — ale gmach przeznaczenia swego nie zmienił.

Lwów bowiem odkąd stał się prowincyonalną stolicą, rozbawił się na dobre i nie potrafiły go od zabaw odciągnąć ani dawne wspomnienia ani powaga chwili bieżącej*. Właśnie w czasie drugiego i trzeciego rozbioru Polski największe odbywały się tutaj hulanki. Owych licznie do stolicy napływających niemieckich urzędników, kupców i przemysłowców nic nie obchodziły nieszczęścia Polski, ale niestety zdawało się czasem, że zapominają o nich i sami Polacy**. Był zaś także i przypływ polski do Lwowa naówczas niemały. Warszawa była najprzód pod bronią, później przez lat dwanaście (1795—1807)

---

* Ówczesne życie towarzyskie we Lwowie bardzo dobrze jest przedstawione w zajmującej powieści Wł. Łozińskiego: »Pierwsi Galicyanie«.

** Prawda, że równocześnie prawie odbywały się także bardzo poważne narady, skoro tylko jaka nadzieja zaświtała (por. str. 164, 166 i następne), ale po każdem niepowodzeniu rozpacz znowu kazała szukać zapomnienia w zabawach.

pod rządem pruskim. Wiadomo zaś, że społeczeństwo nasze zawsze łatwiej umiało zbliżyć się do austryackich niżeli do pruskich Niemców — a już tem bardziej niż do Moskali. Przybywało więc gości z za kordonu pruskiego i rosyjskiego niemało; ale i naszą galicyjską szlachtę sprowadzały w pokaźnej liczbie do stolicy interesa urzędowe i sądowe sprawy. Szczególnie wielki był przypływ obywatelstwa w czasie tak zwanych kontraktów, które odbywały się w styczniu, t. j. właśnie podczas wielkiego jarmarku i podczas karnawału. Pamiętają jeszcze starsi ludzie, jak wielkie znaczenie miała przed powstaniem kolei »okazya«. Dziś jeśli kto ma interes poza miejscem swego pobytu, jedzie zaraz; dawniej czekano na czas i na miejsce do tego przeznaczone, bo wtenczas można się było zobaczyć za jednym zachodem z mnóstwem znajomych. Więc i we Lwowie w czasie kontraktów był zjazd tak liczny, że z trudnością przychodziło znaleść pomieszkanie; dla kupców prawdziwe było to żniwo. Kontrakty i bale szlacheckie odbywały się w kasynie Hechta, w miejscu, gdzie dzisiaj gmach sejmowy; mniej zamożna ludność bawiła się w t. zw. »Veteranische Höhle« przy Kurkowej ulicy. Daremnie starali się o sprowadzenie zabaw do należytej miary ludzie tacy jak arcybiskup Kicki lub kasztelanowa Kossakowska.

Rzecz łatwa do zrozumienia, że temu stołecznemu miastu, w którem już zakotłowało nowoczesne życie, za ciasno się zrobiło w starodawnym pancerzu. Wojskowość także uznała, że fortyfikacye już nie odpowiadają swemu przeznaczeniu. Zarządzono więc w r. 1777. zniesienie obu bram i powolne usuwanie obwarowań. W kilka lat potem były już mury i baszty na całej zachodniej stronie usunięte, a wały zasadzone drzewami i zamienione w miejsce przechadzki. Ciągnęły się one jednak i z jednej i z drugiej strony dalej niż dzisiaj. Ani plac Gołuchowskich ani Maryacki nie istniał jeszcze, bo nietylko że przecinały miejsca te na wskróś aż do samego końca wały, ale i Pełtew jeszcze otwarcie płynęła. A przytem wyobrazić sobie należy jeszcze wały nie tylko z imienia ale i w rzeczywistości — to znaczy nasyp, wyższy od dzisiejszych szkarpów,

pogłębiony nadto z jednej strony korytem Pełtwi, a z drugiej oddzielony od miasta głębokim rowem — nasyp na który się wchodziło po schodkach.

Komunikacya między przedmieściem zachodniem a miastem otwierała się tylko w trzech miejscach. Jednem był most na Pełtwi u wylotu Kazimierzowskiej ulicy, drugiem most i przerwa wśród wałów przy jezuickich gmachach, trzeciem most aż w tem miejscu gdzie Pełtew ku Akademickiej ulicy się skręca. Tylko że Akademickiej ulicy nie było jeszcze ani w zarysie; zaczynały się tam ogrody przedmiejskie, zamknięte od ulicy poręczą, z której środka sterczała wielka latarnia. Kierunek mostu szedł w stronę Halickiego placu, zaś przez te przedmiejskie ogrody Pełtew sobie spokojnie płynęła — jeszcze dość czysto i dosyć obficie, aby chłopcom przynajmniej wystarczać do kąpieli. Ciekawą też była owa przerwa pomiędzy wałami przy jezuickich gmachach; robiła wrażenie tunelu. Most bowiem u góry zawieszony łączył ze sobą obie przerwane ulicą części nasypu. Nie było więc tutaj miejsca na schodki; te na jednym i na drugim końcu z prawej i z lewej strony prowadziły po zboczach wałów.

Nie da się zaprzeczyć, że wały takie, jak je opisujemy, były jeszcze pewną przeszkodą w komunikacyi, ale miały zato daleko więcej powabu jako miejsce przechadzki. I były też wówczas rzeczywiście ulubioną całego eleganckiego świata »promenadą« — zwłaszcza że nie brakło tam już »nawet włoskich kiosków limonadowych, gdzie można dostać wszelkiego rodzaju lodów, jak gdyby w środku Wiednia*«. Gdybyśmy mogli zakląć do życia tych kilka pokoleń, które się przesunęły przez wały, to mielibyśmy ożywiony obraz mody naszych pradziadów i dziadów. Najprzód kolorowe fraki i spodnie w jedwabnych pończochach albo w skórzanych sztylpach, później już dolne ubranie takie jak dzisiaj, ale surduty szerokie i kolorowe

* Tak się wyraża Niemiec Rohrer w swoim opisie podróży, wydanym w r. 1804. p. t. »Bemerkungen auf einer Reise durch Ost- und West-Galizien«.

kamizelki, a na głowach okazałe cylindry. U pań za napoleońskich czasów suknie greckim krojem obciśle spadające, a na głowach lekkie przepaski: później głębokie jak budki kapelusze i szerokie suknie — aż do panowania krynoliny.

Daleko dłużej, niżeli strona zachodnia, zachował swoje warownie bok wschodni. Tu jeszcze dziadowie nasi od Karmelitów na Ruską ulicę przechodzili przez bramę bosacką i spoglądali na reszty murów i baszt. Dopiero po r. 1820., odkąd gubernator Hauer przeniósł swoje mieszkanie (nie urząd) tam gdzie dzisiaj namiestnictwo, rozpoczęło się i w tej stronie przekształcenie. Szczególnie czynnym w tym kierunku był radca gubernialny Reitzenheim. Za jego staraniem usunięto reszty warowni i założono na drugich wałach plantacye dawniej »Reitzenheimówką«, dziś szkarpami zwane. I szkarpy były dawniej dłuższe, bo skręcały się jeszcze dość znacznym kawałkiem na plac Strzelecki. W miejscu, gdzie niegdyś był »wielki beluard« (główna baszta) a obecnie jest t. zw. rondo (z letnim teatrem), była założona szkółka drzew, która rozsadniki swoje posunęła aż na Wysoki Zamek. Ten wspaniały park przed 50-ciu laty był jeszcze nagą piasczystą górą! Rok 1841., wyryty nad grotą, to data jego założenia, z którą się znowu nazwisko i zasługa innego urzędnika, radcy Lazańskiego, łączy. Od czasu powstania Szkarpów ożywiła się cała tamtejsza strona. Gdzie pierwej szarzały liche domki dawnej »Komorowszczyzny«, powstał teraz szereg pokaźnych kamienic od Karmelitów aż do Bernardyńskiego placu, a ulica przybrała nazwę »Pańskiej«. Z drugiej zaś strony, od Podwala, otworzyły się nowe przejścia do miasta, dawniej murami zamknięte: od ulicy Skarbkowskiej, od »Nowej« (Sobieskiego) i od Wałowej ulicy.

Z chwilą, w której przerwane zostało to odgrodzenie murowe zamykające z czterech stron miasto, rozpoczęła się także i nowa epoka dla przedmieść. Odtąd przedmieścia z za-



Fig. 22. Wały hetmańskie w r. 1835.

dziwiającą szybkością zaczęły się podnosić, rozszerzać i w jedną z miastem zlewać całość. Nowy rząd popierał bardzo ruch budowlany, udzielając uwolnienia podatkowe dla budujących a nawet dla restaurujących domy i ściągając zdolnych rzemieślników obcych. Oporządzały się więc nie tylko domy w mieście ale i wybiegały na przedmieścia szeregi nowych kamienic.

(Dzielnica II.). Nasamprzód podniosła się strona zachodnia. Przyczynę tego pierwszeństwa nie tylko w tem upatrywać należy, że tu prędzej usunięto warownie, ale bardziej jeszcze tej okoliczności słusznie przypisać można, że jest to wogóle obszar najdogodniejszy do rozszerzenia się miasta. Tu bowiem kotlina lwowska lekko w rozległą wyżynę przechodzi. Niestety jednak całą, przylegającą do Krakowskiego, połowę tej części zajęli przeważnie żydzi ze swemi kamienicami lichej budowy i z szeregami brudnych zajazdów. Te zajazdy wysuwały się daleko w głąb gródeckiego traktu — tego pierwszego murowanego gościńca, jaki ze Lwowa poprowadzono dla połączenia go na Bochnię z Wiedniem, a na Przemyśl z Węgrami. Dopiero od ulicy Jezuickiej ku halickiemu przedmieściu piękniejsze pobudowały się domy, zacząwszy od generalnej komendy, która stała na miejscu dzisiejszej kasy oszczędności, aż do hotelu George'a, który się wówczas hotelem rosyjskim nazywał. Po za tym pierwszym, wałom przeciwległym, szeregiem kamienic powstawały już także piętrowe domy w głębi Jezuickiej, Syxtuskiej i »Szerokiej« ulicy. Jednak jeszcze mnóstwo było w tych stronach rozległych ogrodów. Cały wielki prostokąt między ulicą Szeroką (Kopernika), Syxtuską, Szajnochy i Ossolińskich zajmował ówczesny ogród botaniczny. Nie było ani ulicy ani zakładu Ossolińskich, tylko wielki ogród, w głębi którego stały budynki po Karmelitkach — frontem zwrócone do ulicy Szerokiej. Dopiero kiedy Józef Maksymilian Ossoliński otrzymał pozwolenie otwarcia narodowej biblioteki (1817) i kiedy zakupił od rządu realność po Karmelitkach, powstała tutaj ulica i zakład narodowy, którego budowę wykończył jenerał Bem, wsławiony w polskiem a później także w węgierskiem powstaniu.

Jeszcze później (bo dopiero w r. 1840) przez ogrody Maiera poprowadzono ową piękną ulicę, która obecnie mianem Trzeciego Maja jest oznaczona. Poza ogrodem Jezuickim kończył się już ówczesny Lwów, a gdy przed 50 laty na dzisiejszej ulicy Leona Sapiehy pierwsze zaczęły wznosić się domy, tedy tę część »Nowym Światem« nazwano.

(Dzielnica I.). Kto z tych okolic puścił się wąwozem pomiędzy cytadelą a stawem Pełczyńskim, ten odbywał już całkiem zamiejską przechadzkę: a dochodząc z ulicy Pełczyńskiej do owej studni nad Pełtwią, znajdował się już przy samej stryjskiej rogatce. Staw Pełczyński oporządził i zamienił na wojskową pływalnię dopiero około r. 1820 generał Fresnel, od którego się dawniej dzisiejsza ulica Kościuszki nazywała. Cytadela jeszcze o 20 lat później powstała, a na początku naszego wieku nazywała się po dawnemu górą Kaleczą, albo też górą Wronowskich. Kto chce wiedzieć, co się wówczas nazywało zamiejskim pałacem, niech się przypatrzy małej i podupadłej kamieniczce Wronowskich na ulicy tejże nazwy. Tam przed 90 laty odbywały się wielkie zabawy i teatry amatorskie, a w r. 1809. poważne narady. Rozłożona u stóp »góry Wronowskich« Chorążczyzna zaledwie się z jurydyki podnosić zaczęła. Jeszcze tam nawet pojedynczych ulic nie nazywano — cały obszar nosił jedno wspólne miano: dopiero po r. 1840. zaczęto rozróżniać Chorążczyznę górną, dolną, boczną i t. p. Takie oznaczenie ulic było naówczas modnem: były dwie Ormiańskie, dwie Piekarskie, trzy Garncarskie ulice. Dobrze to znamionuje ową dobę pierwszego rozrostu. Właściwie na całej halickiej części były tylko dwie okazalsze ulice: Halickie przedmieście — obecnie ulica Batorego — i ulica Zbożowa, czyli teraźniejsza Pańska. Już nawet ta druga ulica nazwą swoją ówczesną przypominała bliskość przedmieścia; i w istocie kto się z niej zapuścił na »Zielone« albo na »Rury«, ten znalazł się odrazu jakby pośród małego miasteczka.

(Dzielnica IV.). Jeszcze mniej rozwiniętą była dzielnica czwarta, najtrudniejsza do zabudowania z powodu nierówności gruntu. Nazywała się wówczas przedmieściem brodzkiem. Na

ulicy Piekarskiej były przeważnie dworki; na Łyczakowskiej piątrowe domy nie sięgały dalej jak do Franciszkańskiej ulicy. Naprzeciw Franciszkanów plac o wiele szerzej się rozprzestrzeniał, bo nie było jeszcze dzisîejszych koszar. W tę stronę przeniosło się towarzystwo strzeleckie już w pierwszych latach po zajęciu kraju, gdyż rząd uznał miejsce przy krakowskiej bramie jako mniej odpowiednie do ćwiczeń ze względów bezpieczeństwa publicznego. Jeszcze w czasie wojen napoleońskich pełnili strzelcy w razie wymarszu wojska służbę wojskową we Lwowie, jako umundurowana milicya miejska.

(Dzielnica III.). Najbardziej jednak ze wszystkich pozostała w tyle dzielnica żółkiewska i jeszcze w dzisiejszych czasach wyłaniać się zaledwie zaczynają jakieś projekta, które jej uporządkowanie mają na celu. Ludność tutaj przeważnie żydowska, mało wybredna w budowaniu i utrzymywaniu swoich domów — a położenie niskie, podwilgocone różnemi odnogami Pełtwi. Wówczas tych odnóg pełtwianych było jeszcze znacznie więcej; największa z nich (dzisiaj już całkiem osuszona) przepływała całą ulicę Słoneczną. Najprędzej zabudowała się kamienicami ta część, która się ciągnie od wałów do placu Misyonarskiego. Jednakże jest to właśnie główne siedlisko żydowskiej ludności. Poza placem Misyonarskim z tej i z tamtej strony Pełtwi rozciągały się największe we Lwowie sady. Ziemia tutejsza torfiasta bardzo sprzyjała hodowli owoców — że przypomniemy tylko kleparowskie czerechy, które słynęły niegdyś nie tylko w naszym kraju ale i za granicą*. Dziś już te sady nie mają tego znaczenia co dawniej, bo łatwość dowozu zniechęciła niestety Lwowian do ich uprawy.

Ażeby świeżo obudzone w naszym grodzie nowoczesne życie poznać w całej pełni — wypada jednak przekroczyć

* Generał Fresnel, ten sam którego staraniem zbudowano wojskową pływalnię, posyłał szczepki czerech Kleparowskich aż do Francyi.

nawet granice przedmieść, i choćby pobieżnym rzutem oka ogarnąć jeszcze lwowskie okolice. Ci przybywający do nas Niemcy byli to miastowcy w całem tego słowa znaczeniu: przynosili ze sobą i rozbudzali wszystkie upodobania miejskie. Jest to zaś rzeczą stwierdzoną, że mieszkaniec miast daleko jest więcej wrażliwym na piękności przyrody niż wieśniak, bo dla wieśniaka są one niemal codziennem zjawiskiem. Zwłaszcza, jeżeli do piękności natury przybędą pewne urządzenia dla wygody, to nic nie powstrzyma w lecie mieszczanina w pogodne dni świąteczne od wycieczki.

Różne w różnych czasach zamiejskie okolice Lwowa szczególnem cieszyły się ożywieniem. Najprzód Zboiska ze swoją kręgielnią, którą raz nawet cesarz Józef odwiedził, i Lonszanówka od pobytu tegoż monarchy laskiem cesarskim nazwana. Mało co później okolica Winnik, odkąd wioska ta ożywiła się przez założenie fabryki tytoniu, kolonii niemieckiej i bitego gościńca (także za Józefa II.). Na początku naszego wieku liczne towarzystwa dążyły w wolnych chwilach do Żelaznej wody, gdzie nawet letni teatr założył dyrektor niemieckiej sceny Franciszek Kratter*. Potem przyszła kolej na Pohulankę. Lasek »Węglińskiego« to dawniejsza tej miejscowości nazwa, pochodząca od znanego nam z historyi roku 1809. adwokata lwowskiego, który później został ministrem w księstwie warszawskiem. Węgliński pierwszy to miejsce oporządził, ale właściwie zasłynęła Pohulanka, i to już pod dzisiejszą swą nazwą, w 20 lat później, kiedy w innych (mieszczańskich) była już rękach. »U nas na Pohulance — W domu gościnność znana — Wesołość i tańce — I najlepsza śmietana« — spiewano wówczas w teatrze, w obrazku dramatycznym Suchorowskiego p. t. »Hanusia z Pohulanki«. — Po r. 1848. zwrócono się znowu ku Krzywczycom, aż nareszcie dalsze jeszcze laski otworzyła Lwowianom żelazna kolej, która ich teraz latem w długich

* Jestto ten sam Kratter, który się rozgłosił swoim złośliwym opisem Galicyi. (Briefe über den itzigen Zustand von Galizien. Leipzig. 1786.).

pociągach co niedziela i święto zawozi do Zimnej Wody i do Brzuchowic.

23.

REWOLUCYJNE CZASY.

Upadł Napoleon a z nim razem i wolnomyślne zasady, które głosiła Francya od czasów wielkiej rewolucyi. Zwycięscy sprzymierzeni byli zwolennikami absolutyzmu, czyli nieograniczonej władzy monarchicznej i ten kierunek pragnęli wprowadzić wszędzie. Świat miał wrócić do spokoju, do nieograniczonego posłuszeństwa monarchom, takiego, jakie winne są dzieci wobec ojca, i wyrzec się wszystkiego co zwykł był dotychczas oznaczać mianem wolności lub postępu. Jeżeli zaś gdzie, to właśnie w Austryi znalazł kierunek ten nieugiętego wykonawcę w osobie księcia Klemensa Metternicha, pierwszego ministra za czasów cesarzy Franciszka i Ferdynanda *.

W całej Austryi przeto, a więc i w naszym kraju, wróciły podobne do dawniejszych stosunki. Podobne — bo istnieje jednak pewna różnica między tym a dawniejszym okresem czasu. Za Józefa II. panował reformatorski, za czasów Metternicha zachowawczy absolutyzm. Postępowanie rządu stało się mniej bezwzględnem w tem co było niemiłem krajowi, ale także i mniej dbałem o to coby mu jaką korzyść przynieść mogło. A więc nie ograniczano już praw duchowieństwa, nie mówiono już tak otwarcie o potrzebie zniemczenia kraju — ale z drugiej strony ustały też ta chęć ulepszeń, i ta sprężystość w zarządzie, jakie cechowały cesarza Józefa II. Prawie wszystkie urządzenia państwowe, które istniały aż do r. 1848., pochodziły z czasów Maryi Teresy i Józefa II.; później cofnięto niektóre za daleko idące, ale nowych nie wprowadzono w zasadzie żadnych. Pod względem budowy dróg, pod względem

* Franciszek I. panował od r. 1792. do r. 1835.; Ferdynand I. do 3. grudnia r. 1848., w którym to dniu zrzekł się korony na rzecz swego bratanka Franciszka Józefa I.

handlu i przemysłu w tych czasach kraj nasz bardzo był zaniedbany. Wszystko w urzędach szło tylko według utartych formułek, a ludność starano się utrzymać w zupełnej obojętności dla spraw publicznych. Dlatego i cenzura książek stała się tak ostrą jak nigdy. Broń Boże, aby komu miało wpaść na myśl, że może być coś inaczej i łepiej!

Taki stan rzeczy doprowadził do jakiegoś martwego zastoju, do dziwnego zobojętnienia i przytępienia. To piętno czasu odbiło się także i na lwowskiem społeczeństwie jak najwyraźniej. Niższe warstwy żyły bezmyślnie z dnia na dzień, wyższe starały się zapełnić pustkę życia czczą zabawą*.

Wtem jakby iskra elektryczna przebiegła całą Europę wieść o rewolucyi lipcowej w Paryżu, a wkrótce potem cały obszar ziem polskich wiadomość o powstaniu w Warszawie (1830). Nagle Lwów ożywił się nie do poznania. Cały gościniec żółkiewski zaroił się od spieszących do Zamościa ochotników. Urzędnicy niemieckiego pochodzenia z przerażeniem widzieli, jak ich właśni synowie wybierają się do polskich szeregów. Konsyliarz Reitzenheim wyśmiewał się z drugiego, którego syn podążył do Królestwa, że nie umie wychowywać dzieci w duchu rządowym — aż tu w najbliższym czasie własny syn jego jedynak prosto z balu wymknął się do powstania. Nawet żołnierze w koszarach spiewali nasze narodowe pieśni: ulicznicy dotkliwe psoty wyrządzali bawiącemu we Lwowie rezydentowi rosyjskiemu. Przychodziły wiadomości o świetnych czynach oręża polskiego pod Grochowem, pod Wawrem, pod Wielkim Dębem. Jednakże krótką była niestety chwila radosnego uniesienia. Powstanie uległo przemocy: a ci sami Lwowianie, którzy z pierwszą wiosną r. 1831. odprowadzali pełnych nadziei ochotników, witali w jesieni smutnych i rozbrojonych rozbitków.

---

* Te stosunki w wyższem społeczeństwie, które przeciągnęły się i poza rok 1830., wyszydził dowcipnie i trafnie Leszek Borkowski w głośnej swojego czasu książce p. t. »Parafiańszczyzna« (1843).

Jednakże umysły raz poruszone tak potężnem wrażeniem nie powróciły już więcej do dawnego zobojętnienia. Nie mając żadnego innego pola dla pielęgnowania narodowego życia, zeszły na niebezpieczną drogę spisków. Wszystko co żyło spiskowało wówczas we Lwowie — spiskowało przez lat kilkanaście. Rozbudzali ten ruch uczestnicy powstania listopadowego pozostali w Galicyi i przybywający świeżo od czasu do czasu z Francyi emigranci. Coraz to nowe powstawały związki tajemne: »Węglarzy polskich«, »Przyjaciół ludu« i »Wzajemnej pomocy«; potem »Stowarzyszenie ludu polskiego«, potem liczne inne, zostające pod wpływem »centralizacyi towarzystwa demokratycznego polskiego« we Francyi. Były różne waśnie między tymi związkami, były najrozmaitsze odcienia. Najumiarkowańsi dążyli tylko do uzyskania swobód politycznych, do rozbudzania ducha narodowego, zwłaszcza u ludu: gorętsi zmierzali do zbrojnego powstania; najskrajniejsi do jakichś międzynarodowych przewrotów, zbliżonych do dzisiejszego socyalizmu.

W tych spiskach jeden mąż przewyższył wszystkich innych tą trzeźwością poglądu, która się nie da ułudzić choćby najponętniejszym nadziejom, tą siłą charakteru, która się nie lęka groźby ni swoich ni obcych, a u jednych i drugich równe budzi poszanowanie. Któż we Lwowie nie zna i nie szanuje Franciszka Smolki? Wtenczas właśnie zaczynał on zasłużony swój zawód publiczny. Porzucał widoki świetnej karyery, które mu przedstawiano, ponieważ postanowiwszy należeć do spisków, nie chciał składać przypisanej w urzędach przysięgi. Inni przysięgali i spiskowali — ale Smolka dla żadnego celu krzywoprzysięgać nie umiał. Umiał jednak dla sprawy, którą za słuszną uważał, narazić się na niedostatek, na więzienie, nawet na karę śmierci, od której go tylko ułaskawienie monarsze ocaliło. Szlachetne pojmowanie przysięgi znacznie przy tem ułaskawieniu zaważyło na szali. — Narażając siebie, działał jednak Smolka w sprawach publicznych zawsze z największem umiarkowaniem i przezornością. Dzięki tym jego przymiotom »Stowarzyszenie ludu polskiego«,

do którego należał, przetrwało wszystkie inne związki (do roku 1841.). A kiedy mu później, w roku 1846., emigrant Dembowski, gorąca głowa, ofiarował dowództwo powstania we Lwowie, obiecując 60.000 chłopów na zawołanie, odpowiedział Smolka ze smutkiem, że staną chłopi, ale nie za powstaniem, tylko przeciw powstaniu. Odmówił więc udziału w tem niebezpiecznem dla sprawy narodowej przedsięwzięciu, a groźba śmierci, której użył Dembowski, ani na chwilę nie zachwiała jego postanowienia.

Skutkiem takiego stanowiska Smolki było, że powstanie we Lwowie nie znalazłszy zdolnego kierownika nie doszło do wybuchu. Skończyło się wszystko na ślepym alarmie załogi, gdy dnia 23. lutego 1846. wieczorem władze rządowe wzięły postawione na gościńcu winnickim warty chłopskie za zbliżających się powstańców. W innych stronach kraju natomiast nastąpił wybuch, a smutne przewidywania Smolki sprawdziły się w zupełności. Na nieszczęśliwy kraj spadła klęska chłopskiej rzezi, pod wrażeniem której wydobył się z zakrwawionej piersi poety rozpaczliwy chorał »Z dymem pożarów« *. A kiedy wreszcie przeszła ta straszna burza, nastąpiły znowu liczne wyroki na uczestników powstania. Dwóch ukarano śmiercią, a wielu odwieziono do więzień fortecznych w Kufsteinie i Spilbergu. Dla Lwowa nie było boleśniejszej chwili jak dzień 31. lipca r. 1847., w którym Teofil Wiśniowski zginął na rusztowaniu.

Zdawałoby się że teraz wszystko przycichnie na długie lata. Tymczasem ruchy galicyjskie były tylko przedwczesnym i częściowym wybuchem tej powszechnej rewolucyi, na którą się już długo zbierało w całej Europie. Już w pierwszych miesiącach roku 1848. płomień rewolucyi ogarnął Francyą, Niemcy, Włochy — wreszcie całą monarchią austryacką. Dnia

* Korneli Ujejski: »Skargi Jeremiego«.

13. marca 1848. ogromne tłumy ludu ruszyły w Wiedniu przed pałac cesarski i przedłożyły tam przez swoich wysłanników żądania ludu (»Sturmpetition«). Następstwem tego wypadku było ustąpienie znienawidzonego Metternicha, przyzwolenie rządu na gwardyą narodową i obietnica dalej idących reform.

Wieść o tem wszystkiem rozpowszechniła się dopiero dnia 19. marca we Lwowie. Koleje i telegrafy były bowiem w Austryi jeszcze w zawiązku i nie dochodziły dalej jak do granic* naszego kraju. Była piękna niedziela wiosenna; wszystko co żyło w kilku chwilach znalazło się na ulicy. Przed domem krawca Kulczyckiego, który wydawał głośny w swoim czasie »Dziennik mód paryskich«, zajmujący się więcej sprawami bieżącemi niż modą, zebrały się liczne gromadki ludzi. Kulczycki zapraszał do siebie do podpisywania ułożonej przez Franciszka Smolkę petycyi. Petycya w 13 punktach zawierała to wszystko, co wówczas ludziom leżało na sercu. Była zredagowaną w duchu narodowym, autonomicznym i domokratycznym. Żądała więc wprowadzenia języka polskiego do szkoły i do urzędu, autonomii dla kraju i miast, a wreszcie zrównania wszystkich stanów i wyznań wobec prawa. Pańszczyzna miała być zniesioną, cenzura usuniętą, więźniowie polityczni wypuszczeni na wolność; porządek wewnętrzny utrzymywany nie przez wojsko ale przez narodową gwardyą. Niebawem tysiące podpisów pokryło petycyą, a Jan Dobrzański w gorącej przemowie wezwał do wysłania deputacyi z tem pismem do namiestnika. Namiestnik ówczesny, hr. Franciszek Stadion, człowiek wolnomyślnych zasad, bardzo przychylnie przyjął wysłanników i obiecał jak najrychlej przedłożyć petycyą monarsze. Wówczas zapał powszechny ogarnął mieszkańców, tysiące ludu zgromadzone przed pałacem namiestnika wznosiły na jego cześć głośne okrzyki a wszystkie okna zapłonęły illuminacyą. Tak skończył się ogólną radością ten dzień pamiętny dla Lwowa.

---

* Dopiero w r. 1859. wykończoną została kolej Karola Ludwika i zawitał pierwszy pociąg do Lwowa.

Następne dni przynosiły coraz to nowe ustępstwa: uwolnienie więźniów, zniesienie cenzury, przyzwolenie na gwardyą narodową. Wreszcie dnia 25. kwietnia wyszedł patent cesarski nadający konstytucyą, która wszystkim ludom Austryi zapewniała swobodny rozwój narodowy i autonomiczne urządzenia. Lwów z nie mniejszym zapałem przyjął tę wiadomość, jak wszystkie inne miasta w monarchii austryackiej.

Było teraz w co ręce włożyć, aby tylko wyzyskać należycie otrzymane już ustępstwa — ale przewódzcy lwowscy zamiast tego woleli żądać coraz więcej. Nie mieli tej zimnej krwi, jaka potrzebna jest w polityce. Im dalej tem bardziej czczemi stawały się demonstracye. Jednego razu ogromne



Fig. 23. Gwardya narodowa lwowska z r. 1848.

tłumy niezadowolonych wyruszyły za miasto, aby wkrótce śpiewając powrócić napowrót; innym razem znowu rozlepiano po rogach kamienic karykaturę hr. Stadiona. Wszystko to drażniło niepomiernie rząd a jeszcze bardziej wojskowość, której najtrudniej przychodziło pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy. Następstwa takich naprężonych stosunków zaczęły się coraz dotkliwiej dawać we znaki.

W tych czasach kiedy tak silny prąd autonomiczny i narodowościowy przechodził całą Europę, obudzało się poczucie odrębności nawet między najbliżej spokrewnionymi szczepami. Rusini w Galicyi spiskowali dawniej razem z Polakami; jeszcze na początku marca r. 1848. całe seminaryum ruskie przybrało się w niebieskie konfederatki, a już przy końcu tego miesiąca stanęli Rusini odrębnie od Polaków i przeciw Polakom. Stąd powstał naówczas dowcip, że hr. Stadion jest »wynalazcą Rusinów«. Oczywiście, że Stadion Rusinów nie wynalazł, bo naród to tak dawny jak i polski — ale nie ulega wątpliwości, że znacznie się przyczynił do pogłębienia rozdziału między nami a nimi. Być może, że zyskał przezto Stadion na razie jakąś pomoc przeciw ówczesnemu ruchowi polskiemu, ale nie postąpił sobie jak głębszy polityk, który przewiduje także i dalsze następstwa. Następstwa takiego rozbudzania przeciwieństw nie mogą być nigdy korzystne ani dla kraju ani dla państwa.

Jednak na tym niekorzystnym sprawy ruskiej obrocie nie kończą się jeszcze u nas dzieje owego starcia między rządem a stronnictwem ruchu w r. 1848. Zaznaczyliśmy już powyżej, że po stronie rządowej najbardziej rozdrażnioną była wojskowość. Między gwardyą narodową a wojskiem ciągłe zdarzały się zaczepki, które doprowadziły wreszcie w jesieni r. 1848. do krwawego dramatu. I w tym względzie Lwów poszedł w ślady Wiednia.

Było to dnia 1. listopada r. 1848., w sam dzień Wszystkich Świętych. Właśnie w Wiedniu w ciągu października wzięły górę najskrajniejsze żywioły. Minister wojny Latour zamordowany został wśród rozruchu, dwór cesarski opuścił stolicę; już ani ministeryum, ani obradująca pod prezydencyą Smolki pierwsza austryacka rada państwa nie miały żadnego znaczenia. Wiedeń cały był w ręku rewolucyi. Od Pragi zbliżał się na czele wojsk cesarskich jenerał Windischgrätz, a od Pesztu ciągnął na pomoc Wiedeńczykom wódz węgierskiej armii powstańczej Moga.

We Lwowie rozchodziły się wieści, że zwyciężył Moga. To dodawało ducha i lwowskim skrajnym żywiołom. Pragnęły doprowadzić do zbrojnego starcia. Wśród tego zdarzył się wypadek, o jaki nie trudno było przy rozdrażnieniu między gwardyą a wojskowością, a który ostatecznie spowodował wybuch.

Wieczorem w ów dzień Wszystkich Świętych artylerzyści wśród kłótni porąbali gwardzistę. Na pół żywego przyniesiono na odwach gwardyi w ratuszu, a wkrótce dzwonek poprzedzający księdza z Najśw. Sakramentem zapowiedział ostatnie chwile nieszczęsnego. W całem mieście zaczęły się zbierać liczne tłumy w najwyższem rozdrażnieniu. W takich razach gwardya narodowa obowiązana była stawić się dla przywrócenia porządku w mieście. I rzeczywiście już się były tłumy zaczęły na wezwanie gwardyi rozchodzić, uspokojone obietnicą ukarania zabójcy, gdy wtem trzy wystrzały działowe od strony koszar artyleryi sypnęły gradem kulek kartaczowych po dachach rynku.

Były to strzały alarmowe. Komenderujący Hammerstein uzasadniał je tem, że jedna kompania gwardyi na placu Franciszkańskim broń nabijała. Według jego zapatrywania zachodziło niebezpieczeństwo, aby gwardye nie zajęły arsenału przy dominikańskim kościele, celem uzbrojenia ludu. Na znak alarmu cała załoga w pospiesznym pędzie zajęła przeznaczone miejsca. Wojsko stanęło na wałach i na szkarpach, na placu Strzeleckim, Maryackim i Bernardyńskim, a opuściło odwach na rynku. Wyloty dział od strony Zamku i seminarzyckiej góry, od przedziałów pomiędzy szkarpami, od wszystkich placów między wałami a szkarpami, skierowały się ku ulicom miasta. Słowem, jakby za czasów dawnych oblężeń, śródmieście znalazło się osaczonem od strony przedmieść.

Od strony placu Halickiego, gdzie był także odwach wojskowy, padły strzały na jakiegoś uzbrojonego drągiem chłopaka szewskiego, który nie odpowiedział na okrzyk warty. To stało się hasłem do budowy barykad. Między pospólstwem snuły się jakieś nieznajome a groźne postacie, które wzywały

do obrony. Za ich przewodem rzucono się do zrywania bruków i do wywlekania beczek ze sklepów, a sprzętów z mieszkań. Koło Dominikanów, na Ruskiej i Serbskiej ulicy, na ulicy Sobieskiego i przy ujściu Halickiej do Rynku; na Trybunalskiej, Krakowskiej, Ormiańskiej, a nawet na Teatralnej ulicy (przy starej akademii) stanęły barykady. Z wyjątkiem tej ostatniej, obsadzonej przez akademików, wszystkie były nadzwyczajnie liche i do żadnego odporu niezdolne. Uzbrojenie ludu polegało na drągach i kosach sznurkami przymocowanych; tu i ówdzie snuli się tylko owi przewódzcy ruchu z dubeltówkami w ręku.

Na ten widok generał Wybranowski, stary żołnierz z powstania listopadowego a wówczas dowódzca naczelny gwardyi, nie chcąc narazić ludu i miasta na okropną klęskę, udał się z przedstawieniem do Hammersteina. Prosił, aby wojsko ustąpiło do koszar, a wówczas barykady natychmiast będą rozebrane i gwardya rozejdzie się do domów. Komenderujący oświadczył, że wojsko pierwsze ustąpić nie może; nie zgodził się nawet na równoczesne ustępowanie stron obu. Na pytanie, którędy właściwie gwardye rozejść się mają, gdy wszystkie wyjścia z śródmieścia zamknięte, odpowiedział, że po zniesieniu barykad każe wojsku otworzyć luki, któremi się gwardye przeprawić będą mogły. Według umowy miało to nastąpić o godzinie 6-tej zrana (2. listopada).

Rzeczywiście o oznaczonym czasie były barykady rozebrane a gwardye zaczęły się przeprawiać przez owe luki. Jednakże wojsko wyszydzało gwardzistów, a na placu św. Ducha obalili nawet żołnierze jednego z nich na ziemię i bili go kolbami. Wówczas z kamienicy Andriollego padły strzały na wojsko, które je zmusiły do opuszczenia placu i obsadzenia gmachu gubernialnego. W mieście rozległ się znowu okrzyk »do barykad! do broni!« Wtedy już żadne usiłowania gwardyi nie powstrzymały ludu od powtórnego wystawienia barykad. Wybranowski udał się znowu do generalnej komendy, a wróciwszy stamtąd w towarzystwie generała Bordolo, wezwał stojących przy barykadzie na ulicy Sobieskiego do ustąpienia.

Daremne usiłowania! — obrońcy barykad odpowiedzieli, że już teraz niczemu nie wierzą i że muszą się bronić przed wojskiem. Od strony gmachu dominikańskiego padły nawet strzały na stojącą w pogotowiu artyleryą.

Gdy te wiadomości generał Bordolo przyniósł komenderującemu (po godz. 9-tej), zagrały działa na wszystkich punktach..... Barykady rozlatywały się w puch, tu i ówdzie zabłysły już ogniste języki na dachach; ludzie chronili się po domach. Z wieży ratuszowej podniesiono białą chorągiew, a kilku zacnych mężów z wydziału miejskiego z Michałem Gnoińskim na czele, nie zważając na grad kul, udało się na Wysoki Zamek do Hammersteina, aby go prosić o oszczędzenie miasta. Komenderujący zezwolił na krótką przerwę do godziny 11-tej. Jednakże nawet teraz tłumy nie usłuchały głosu poważnych obywateli, kilka zapaleńców strzeliło nawet znowu do wojska.

Natenczas działa ciężkiego kalibru rzuciły bomby na miasto. Huk okropny wstrząsał domami, w powietrzu krzyżowały się race, w kilku miejscach naraz wybuchnął pożar. Akademia, stary teatr, technika ówczesna i ratusz stanęły w ogniu. Straszliwym był widok ratusza. Cały dach kłębił się ognistem morzem, z którego wysterczała wieża jakby w koronie z płomienistych języków. Powtórna deputacya miejska uprosiła Hammersteina, że po godzinie zaprzestał ognia. Pełnomocnicy miejscy podpisali kapitulacyą, która zastrzegała sprowadzenie gwardyi na stopę prawem przepisaną, zupełne rozwiązanie legionu akademickiego i wydalenie w przeciągu 3 dni wszystkich nienależących do gminy osób, zwłaszcza emigrantów.

Była godzina południowa. Wojsko wznosiło przeraźliwe okrzyki radości, tem bardziej, że niebawem nadeszła wiadomość o zajęciu Wiednia przez Windischgrätza. Nieszczęśliwe miasto jednak smutny przedstawiało widok. Ogień, spustoszenie od kul i barykad; po wałach trupy ludzkie bez różnicy płci i wieku. Rozjątrzone żołnierstwo strzelało bowiem przy końcu do każdego, kto się nawinął. Szczególnie dokazywał pułk

»Deutschmeister« ustawiony w oknach gmachu gubernialnego. Zginęło wskutek wypadków dnia tego 55 osób cywilnych a 75 było ranionych. Z wojska poledz miało 3 ludzi, a 13 odnieść rany. Wielką stratą dla miasta było spalenie świeżo wystawionego ratusza*, a nieocenioną klęską dla nauki zniszczenie ogniem zbiorów naukowych i biblioteki uniwersytetu. Zaledwie szóstą część uratowano z dawnej liczby 48.000 dzieł. W następnych dniach po owem nieszczęsnem bombardowaniu zawieszono stan oblężenia i wydalono ze Lwowa przeszło 100 nienależących do gminy osób.

Hammerstein stał się we Lwowie przedmiotem nienawiści. Ale i w sferach rządowych wzięto mu za złe jego postępowanie i wkrótce go z Galicyi odwołano. Gdyby po zgruchotaniu barykad za pierwszem zaraz strzelaniem najmniejszy oddział wojskowy wkroczył do śródmieścia, tłum byłby się rozpierzchnął w jednej chwili. Hammerstein jednak przeceniał siły swych przeciwników i myślał, że w takim razie byłoby wojsko wystawione na niebezpieczeństwa walki ulicznej. Przytem była wojskowość nadzwyczajnie rozdrażniona ciągłem pogotowiem i pragnęła stosunkom ówczesnym rychły położyć koniec. Nowy porządek państwowy nie był jej wcale po myśli; pragnęła aby wróciły znowu dawne stosunki.

24.

AUTONOMIA.

Rewolucya we wszystkich częściach monarchii austryackiej została zgnieciona; na Węgrzech przy pomocy Rosyi. Minęły czasy złotej wolności — ale już nie powrócił dawny absolu-

* W r. 1826. zawaliła się stara wieża ratuszowa, poczem rozebrano dawny ratusz i domy na środku rynku koło niego stojące, a wybudowano nowy; ten sam który stoi do dzisiaj. Pożar z r. 1848. zniszczył tylko górne części i wieżę, która dawniej nie była zakończoną blankami tylko kopułką. W rok po bombardowaniu była

tyzm. W swoim manifeście wstępnym wypowiedział cesarz Franciszek Józef zasadę, że pragnie odmłodzenia Austryi »na podstawie prawdziwej wolności, na podstawie równouprawnienia wszystkich ludów monarchii i równości wszystkich obywateli wobec prawa, a zarazem ich współudziału w prawodawstwie«. Prawda, że nie zaraz wróciło u sfer rządzących zachwiane przez rewolucyą zaufanie do form konstytucyjnych, i że z początku wiele reform cofnięto lub zawieszono — ale z czasem przełamały się przecież te lody. Niepowodzenia wojenne z r. 1859. i 1866. doprowadziły do uznania tej prawdy, że potęga państwa nie tylko od siły wojskowej, ale także od obywatelskiego ducha zawisła. Przywrócił więc monarcha urządzenia konstytucyjne dyplomem październikowym z r. 1860. Zarzucano jednak tej konstytucyi, że była »narzuconą«, ponieważ przyszła do skutku bez współudziału posłów, a szczególnie niezadowolone były Węgry, dlatego że je postawiono na równi z innymi krajami, na stanowisku prowincyi. Po dłuższych więc naradach, w których już brali udział przedstawiciele ludów, a Węgry uznane zostały jako osobne państwo, tylko przez unią z Austryą złączone, przyszła nareszcie w r. 1867. ta konstytucya do skutku, którą się dotychczas cieszymy.

Podwaliną nowych urządzeń w naszem mieście stała się powszechna ustawa gminna z 17. marca 1849., opracowana na wzór pruskiej przez hr. Stadiona. Hr. Stadion wychodził ze słusznej zasady, że »podstawą wolnego państwa jest wolna gmina«. Wrócić więc miał do Lwowa dawny samorząd, przez lat tyle do swoich praw niedopuszczany. Magistrat, który dotychczas kierował obywatelstwem, miał się stać znowu podwładnym urzędem rady z wolnych wyborów powstającej. Radzie miejskiej przyznano prawo wyboru burmistrza i oddano

---

restauracya ukończona i wieża tudzież górne części ratusza doprowadzone do dzisiejszego kształtu. — Niektóre herby ze starodawnego ratusza umieszczono w grocie na zamku a inne w studni koło św. Łazarza.

jej nie tylko cały zarząd miasta i jego majątku, ale także wszystkie czynności państwowe w mieście — te które gdzieindziej przysługują starostwom. Tak samo jak to już za dawnych czasów bywało, z wyłączeniem tylko obrony, która jest powierzona wojskowości. Te czynności państwowe nazywają się »zakresem poruczonym«, zaś zarząd miasta »zakresem własnym«.

Jednakże krótko tylko obowiązywała nowa ustawa gminna, a potem była większa część tych postanowień, jak wszędzie w Austryi tak i u nas, w zawieszeniu (1851—1860). Nawet »zakres własny« był pod dozorem rządu, a »zakres poruczony« sprawował magistrat, zawisły nie od rady tylko od namiestnictwa. Burmistrzem ustanowiony był radca namiestnictwa Karol Höpflingen v. Bergendorf, biurokrata dawnego pokroju. Wyborów nie odnawiano, tylko pozostała aż do r. 1861. wybrana w r. 1849. rada, zwana jeszcze po dawnemu »wydziałem miejskim«. Dopiero tyle zasłużony około samorządu w naszym kraju namiestnik hr. Agenor Gołuchowski spowodował nowe wybory, a burmistrzem zamianował radcę namiestnictwa Franciszka Kröbla. Był to wprawdzie także urzędnik państwowy, ale człowiek odmiennych zasad, który pomimo trudnych warunków r. 1863. i 1864. jak najlepsze zostawił po sobie wspomnienie, i który w stroju narodowym kazał się położyć na spoczynek wieczny. Za jego to czasów dopiero język polski odzyskał na ratuszu dawne swoje prawa i stał się znowu językiem urzędowym. Franciszek Kröbl był to ostatni burmistrz-urzędnik. Po jego śmierci (1869) jeszcze raz rząd zamianował burmistrza ale już z grona wydziału miejskiego: notaryusza Juliana Szemelowskiego. Potem nastąpił uchwalony przez sejm statut miasta Lwowa z 14. października 1870., a z nim długo oczekiwana zupełna autonomia stolicy.

Zasady statutu naszego te same są mniej więcej, co zasady ustawy gminnej z r. 1849. Bliższe zaś szczegóły czynności miejskich poznajemy z »porządku czynności«, który rada miejska w pierwszych latach autonomii sobie przepisała. Najważniejszem z tego jest: instytucya delegatów i podział rady

na sekcye. Prócz prezydenta* i wice-prezydenta wybieranych na lat trzy (bo tak długo trwa teraz jeden okres wyborczy, czyli kadencya) wybiera jeszcze rada miejska 20 delegatów, ale zawsze tylko na rok jeden. Zadaniem tych delegatów jest nadzór nad należytem wykonaniem zarządzeń rady i wogóle nad całym porządkiem w mieście. Każda dzielnica oddana jest opiece 3 lub 4 delegatów. — Podział na sekcye uczyniony jest w tym celu, aby każdy radny mógł się szczegółowo zajmować taką sprawą, do której jest najbardziej uzdolniony. Dlatego każdy ze stu radnych należeć musi do jednej z pięciu sekcyj. Sekcye pomniejsze sprawy załatwiają same, a do każdej większej uzbierać winny potrzebne szczegóły i objaśnienia, aby potem pełna rada z należytem przygotowaniem uchwalać mogła. Do sekcyi I. należą sprawy duchowne i dobroczynności; do II. układ dochodów i wydatków miasta (budżet), tudzież sprawy handlowe i przemysłowe; do III. sprawy budownicze; do IV. stosunki zdrowotne, policyjne i wogóle cały zakres poruczony; do V. wreszcie oświata. Wykonanie uchwał rady poruczone jest magistratowi, komisaryatom dzielnic i innym podwładnym organom, które także mają swoje osobne, przez radę miejską uchwalone, instrukcye.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że samorząd król. stołecznego miasta Lwowa ma zakres obszerny; obszerniejszy nawet we wielu względach niżeli samorząd krajowy, którego sejm jest przedstawicielem. Obywatel Lwowa dumnym jest ze swego statutu, a zarazem głębokie odczuwa przywiązanie dla tego monarchy, któremu odnowienie praw swoich ma do zawdzięczenia. Od dwustu już lat żaden monarcha nie był we

* Prezydentami Lwowa w okresie autonomicznym byli następujący mężowie (których portrety umieszczone są w biórze prezydyalnem): 1) Dr. Floryan Ziemiałkowski 1871—1873. 2) Aleksander Jasiński 1874—1879. 3) Michał Gnoiński 1880—1882. 4) Wacław Dąbrowski 1883—1885. 5) Edmund Mochnacki od r. 1886.

Lwowie z takim zapałem, z takiem wszystkich bez wyjątku warstw serdecznym współudziałem witany, jak cesarz Franciszek Józef I., kiedy we wrześniu r. 1880. przybył do naszej stolicy. Z drugiej strony także zaprzeczyć się nie da, że Lwów umiał dobrze z praw swoich korzystać, że postęp jaki miasto nasze w tych 20-stu latach autonomii (1871—1891) uczyniło jest nadzwyczajny i dotychczas niebywały. Rozpatrzmy się w nim szczegółowo, według tych pięciu działów, na które się czynność rady miejskiej w jej pięciu sekcyach rozpada.

I. Franciszek Kratter, ów znany nam już autor listów o Galicyi, wydanych w r. 1786., opowiada, że we Lwowie wszystkie kościoły, ulice i bramy miasta obsadzone są żebrakami. Nie można ujść dziesięciu kroków, aby się nie spotkać z nędzarzem albo z kaleką. W zimie zdarza się widzieć sterczącą z kupy nawozu głowę żebraka, który się tam zakopał, aby uniknąć śmierci od mrozu. Co za przerażający opis! Wiele jest jeszcze dzisiaj nędzy ludzkiej w naszem mieście, ale czegoś podobnego już chyba zobaczyć nie można. Są obszerniejsze szpitale i liczniejsze domy ubogich, są dla najbiedniejszych przynajmniej ogrzewalnie, w których się w porze zimowej wydziela codziennie kilkaset porcyj zupy rumfordzkiej. Znowu około tysiąca ubogich otrzymuje w zimie i w lecie objad mięsny za 5 centów w taniej kuchni ludowej, a za jeszcze mniejszą kwotę podwieczorek w herbaciarniach. Są to przeważnie zdobycze ostatnich czasów. W bieżącej chwili dwie ważne sprawy w tym zakresie stoją na porządku dziennym. Jedną jest założenie domu przymusowej pracy dla tych włóczęgów, którzy teraz bez żadnego celu przepełniają miejskie areszta — drugą zakład dla nieuleczalnych. Przed kilku laty stwierdził Wydział krajowy ten fakt przerażający, że ze szpitalu krajowego, z powodu przepełnienia, usuwani być muszą nieuleczalni, aby przynajmniej pomieścić uleczalnych. Odtąd szlachetni dobroczyńcy cierpiącej ludzkości nie przestają myśleć o przytułku dla nieuleczalnych. Dzięki kilku fundacyom, a szczególnie hojnej ofierze obywatela ziemskiego Antoniego Bilińskiego, sprawa jest już niedaleką urzeczywistnienia. Już

wznoszą się pierwsze budynki na ten cel przeznaczone przy ulicy noszącej odtąd imię Bilińskich (na Gródeckiem), a tymczasem jakaś przynajmniej część nieuleczalnie chorych ubogich mieści się w realności miejskiej przy ulicy Zamkowej (l. 12) i w szpitalu Sióstr Miłosierdzia.

II. W roku pańskim 1422. cały dochód miasta Lwowa wynosił 61 kop groszy polskich, 2 kłody pszenicy a 5 żyta. Jeżeli to wszystko przemieni się na wartość dzisiejszą srebra, to otrzyma się wszystkiego półtora tysiąca złr. w. a.*. Obecnie (1892.) dochód roczny Lwowa już niedalekim jest półtora miliona. A więc od pierwszej cyfry do ostatniej pomnożenie jest tysiąckrotne! W tym samym czasie ludność Lwowa nie pomnożyła się jednak tysiąc razy, lecz co najwyżej 20 razy**. Azatem potrzeby cywilizacyjne Lwowa nie wzrastały w tym samym stosunku, co jego ludność, tylko w stosunku nadzwyczajnie przyspieszonym. W ten sposób rosną tylko stolice europejskie. W rubryce dochodów Lwowa najważniejsza kwota (około 700.000) płynie z podatku konsumcyjnego, który się opłaca od przywozu wszelkich potrzeb żywności, a najbardziej od wódki. Drugą ważną pozycyą jest podatek wprost przez mieszkańców opłacany, jako dodatek do podatków rządowych (blisko 400.000). Podatek ten miałaby prawo rada miejska podnieść w razie potrzeby, ale ma wzgląd na to aby zbyt nie obciążać ludności. Z wydatków czwarta część idzie na urzędy miejskie a czwarta część na szkoły. To są dwie najwyższe pozycye. Pozostała druga połowa dochodów obraca się na wszystkie inne potrzeby: na drogi i bruki, na oświetlenie, na utrzymanie czystości, na dobroczynność i t. d. W tej połowie zawarte są już także wydatki na upiększenie i uzdrowotnienie miasta (inwestycye). Czasem wypadnie w tym kierunku wyłożyć więcej niż na to dochód roczny pozwala. Wówczas za-

* W r. 1627. budżet Lwowa wynosił już około 48.000 złr. (24.000 złp. ówcz.), w r. 1774. spadł był poniżej 10.000 złr.; za cesarza Józefa II. przedstawiał już kwotę 100.000 złr.

** Por. str. 50.

ciąga się dług. Jednakże takie długi już przezto są mniej uciążliwe, że oszczędza się przez nie w stałych wydatkach. Tak n. p. wybuduje się gmach jaki za pożyczkę, to nie potrzeba już płacić za najem lokalu: uporządkuje się gruntownie jakąś sprawę to nie trzeba nadrabiać ciągłemi poprawkami. Przytem rada miejska ma zawsze baczne oko na to, aby się w tych pożyczkach za daleko nie posunąć. Rozważając to wszystko przychodzi się do wniosku, że gospodarka miejska autonomiczna jest wyrozumiałą, ostrożną, a przytem jednak dbałą o ciągły postęp miasta; cieszy się przeto słusznie zaufaniem ludności.

III. Ruch budowlany w okresie przejściowym, poprzedzającym autonomią, był u nas w zastoju. Jeden tylko w tym czasie (1863) powstał gmach wspaniały: dom inwalidów, projektowany przez znakomitego wiedeńskiego architekta Teofila Hansena. Dopiero okres autonomiczny skierował i na nasze miasto większą troskliwość rządu, a swojskim siłom dał możność swobodnego rozwoju. Nowo zorganizowana technika dobrych krajowi dostarcza sił, zwłaszcza w dziale budowniczym, pod kierownictwem takiego mistrza jak Zacharjewicz, którego dzieła nawet obce miasta ozdabiają (n. p. Czerniowce). Zacharjewicz budował technikę, tak doskonałą w swym skromnym lecz harmonijnym układzie, najpiękniejszy we Lwowie kościółek (Franciszkanek) i kasę oszczędności. J. Hochberger, naczelnik miejskiego bióra budowniczego, wykonał okazały gmach sejmowy: a na podstawie planów z Wiednia przysłanych powstał bardzo udatny gmach pocztowy. Takie przykłady lepszego smaku artystycznego oddziałały już korzystnie i na budownictwo prywatne, które się dawniej zadowalniało stylem istnie koszarowym. Natomiast słabą stroną dzisiejszych domów — zwłaszcza takich, które stawiają budowniczowie bez egzaminów technicznych — jest ich mniejsza trwałość i nadzwyczajna ciasnota pomieszkań.

W tym ruchu budowlanym zarząd miasta także uczestniczył przez wystawienie kilku pokaźnych gmachów szkolnych: na budownictwo zaś prywatne wpływał korzystnie przez wy-



Fig. 24. Gmach sejmowy.

dawanie stosownych przepisów (o dachach ogniotrwałych, o linii regulacyjnej i t. p.). Szczególniejsze jednak staranie zwrócił w kierunku podniesienia samych ulic, placów i plantacyj. Najważniejszem z tego wszystkiego jest zasklepienie Pełtwi. W r. 1841. zrobiono początek, tworząc przez pokrycie kawałka Pełtwi dzisiejszy plac Maryacki, wówczas placem Ferdynanda zwany. Odtąd upłynęło lat 40, zanim się wzięto do dalszych robót na większe rozmiary. Zasklepiono Pełtew wzdłuż całych wałów Hetmańskich i wzdłuż całej ulicy Akademickiej — a obecnie jest w toku zasklepienie Pasieki od kręconych słupów aż do ulicy Gosiewskiego. Trawniki, klomby i drzewa ożywiają każdą wolniejszą przestrzeń, a na dawnych debrach przy gościńcu stryjskim rozprzestrzenia się (od r. 1879.) wspaniały i szczególnie przez obecne pokolenie ulubiony park stryjski. Tuż obok arena wyścigowa i corso dla powozów, które ma z czasem okrążać cały Lwów, przecinając najpiękniejsze okolice: Zofiówkę, Pohulankę i parowy łyczakowskie aż do Wysokiego Zamku. — Oświetlenie miasta już od r. 1858. odbywa się za pomocą gazu; w r. 1898. zakład gazowy, należący obecnie do towarzystwa dessauskiego, przechodzi na własność miasta. Wówczas jednak gaz oświecać będzie zapewne tylko boczne ulice, gdyż w dzisiejszych czasach już nawet mniejsze od Lwowa miasta pomyślały o oświetleniu elektrycznem.

IV. »Lwów nie każdemu zdrów« powiada słusznie dawne przysłowie. Pył wapienny bardzo niekorzystnie oddziaływa na płuca i oczy. Za prezydenta Jasińskiego zaczęto już w tych ulicach, w których niema bruku kostkowego, używać kamieni rzecznych do szutrowania — i wielka szkoda, że później powrócono znowu do tej wapiennej martwicy, która się tak prędko w proch rozsypuje. — Natomiast zrobiono bardzo wiele przez usuwanie licho płynących albo stojących wód, które zanieczyszczały powietrze wyziewami. Nie tylko że Pełtew i Pasieka uwięzione zostały w podziemnych lochach, ale sprowadzono jeszcze lub zasypano wiele ścieków i kałuż, szczególnie w okolicy ulicy Korytnej, jednej z najmniej zdrowych wskutek nizkiego położenia. Ogród jezuicki osuszono przez założenie

drenów i uwolniono przezto od owej mglistej zasłony, która się nieraz nad nim zwieszała z wieczora. Pod względem kanalizacyi jest jeszcze wiele do zrobienia, ale już uczyniło miasto i w tym kierunku znaczny postęp ostatnimi czasy. Dawniej kanały były tylko rowami — nieraz bez należytego spadku — obecnie wykłada się je betonem, aby nieczystości nie mogły wsiąkać i zatruwać przyległych gruntów. A jak z jednej strony sprowadza się niezdrowe wody za miasto, tak znowu wody źródlane przypływają w żelaznych rurach z Wulki i innych okolic do coraz liczniejszych w mieście studzien. — Ale nie tylko niezdrowe wody — wogóle wszystko co się przyczynia do zepsucia powietrza, starają się nowsze czasy usuwać za miasto. Dawniej n. p. cmentarze bywały przy kościołach, a tylko w wypadkach nadzwyczajnych (podczas zarazy, wojny, w razie samobójstwa i t. p.) chowano zmarłych za miastem *. Dopiero z końcem zeszłego wieku zarządziły wszystkie państwa, za przykładem Francyi, grzebanie ciał na cmentarzach zamiejskich. W najnowszych czasach starają się o usuwanie na dalsze przedmieścia nawet większych zbiorowisk ludzi żyjących, jakiemi są n. p. więzienia i koszary. I miasto nasze, stawiając nowe koszary (do czego je zniewala włożony na gminy obowiązek kwaterunkowy), coraz je bliżej ku rogatkom pomyka.

V. Największą chlubą autonomicznego zarządu Lwowa jest bezwątpienia rozwój szkolnictwa. W r. 1850. istniało w naszem mieście wszystkiego 6 szkół ludowych; obecnie jest ich 24. Promienie oświaty dosięgają już nawet najodleglejszych przedmieść, jak Zofiówki, Pasiek, rogatki łyczakowskiej

* W ten sposób, w czasie wojen i morów w drugiej połowie XVII. wieku, powstały u nas cmentarze: na Paparówce (pod Zamkiem), stary Stryjski (poniżej parku z lewej strony) i Gródecki. Dwa pierwsze znikają już z powierzchni ziemi, trzeci jeszcze istnieje ale jest zamknięty. Cmentarze Łyczakowski i obecny Stryjski powstały przy końcu zeszłego i w pierwszych latach bieżącego wieku. W najnowszych czasach otworzono nowy wielki cmentarz na rogatce janowskiej.

(szkoły św. Zofii, św. Mikołaja i Zimorowicza). Jednak nie tylko pod względem ilości jest rozwój tak nadzwyczajny, lecz też i pod względem stopnia nauki. Z owych 6 szkół r. 1850., połowa miała po 4, a druga połowa po trzy tylko klasy. Obecnie takie szkoły istnieją tylko po krańcach Lwowa — wszystkie inne są 5-, 6- lub 8-klasowe. Mamy cztery szkoły żeńskie wydziałowe (nie rachując już szkół klasztornych), liczące po 8 klas, inne szkoły żeńskie są 6-klasowe, a i męskie będą w najkrótszym czasie do tego stanu (6 kl.) doprowadzone. Wprawdzie dla chłopców mających udać się do gimnazyum wystarczy 4-letnie przygotowanie, ale jakżeż pożyteczne są owe wyższe klasy dla takich, którzy poprzestają tylko na szkole ludowej, albo którzy chcą wstąpić do szkoły przemysłowej. Szkoła przemysłowa, której gmach okazały stanął właśnie na dawnym placu »Castrum« kosztem hojnej fundacyi galic. kasy oszczędności, jest urzeczywistnieniem dawnych i gorących życzeń miasta Lwowa. Od czasu lwowskiej wystawy krajowej z r. 1877., która się tak dobrze powiodła, głównie dzięki zasługom Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, wszystkie nasze władze autonomiczne szczególną troskliwość obróciły ku podniesieniu przemysłu w kraju. Wydział krajowy założył szkołę snycerską i koronkarską w Zakopanem, ślusarską w Świątnikach, płócienniczą w Korczynie — miasto nasze doczekało się wyższej szkoły przemysłowej. Oczekiwać po niej należy, że podniesie znowu nasze rękodzieła, które zagrożone są konkurencyą obcą, ponieważ już od dłuższego czasu nie dotrzymują kroku z postępem zagranicy. Szkoła przemysłowa jest wprawdzie rządową nie miejską, ale miasto nasze znacznie się przyczyniło do jej założenia, tak samo jak się przyczynia do powstania nowych gimnazyów, a nawet wydziału medycznego, przez ofiary pieniężne i różne zobowiązania.

Historya umysłowego ruchu we Lwowie w najnowszym czasie zapisała na kartach swoich cały szereg mężów, których

sława wybiegła daleko poza mury naszego grodu i poza granice naszej prowincyi. Najdawniejszem ogniskiem polskiego życia umysłowego, a swojego czasu jedynem pośród zalewających wszystko fal niemieczczyzny, był w galicyjskiej stolicy teatr. Początki jego sięgają jeszcze ostatnich lat ubiegłego stulecia. Mimo trudnej walki z protegowaną sceną niemiecką poszczycić się może teatr lwowski takimi kierownikami jak Wojciech Bogusławski, jak Jan Nep. Kamiński i takim pisarzem jak Aleksander Fredro. Mistrz komedyi polskiej dla lwowskiego teatru pisał swoje utwory, tu one po raz pierwszy wchodziły na deski sceny (1822—1834). — Drugie ognisko to zakład nar. im. Ossolińskich. Założony był jeszcze w r. 1817 przez nieśmiertelnej pamięci Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, ale największe jego znaczenie przypada właśnie na sam środek naszego wieku. Wówczas te mury były stałym przybytkiem albo przynajmniej ulubioną gościną Augusta Bielowskiego, Wincentego Pola, Józefa Dzierzkowskiego i Karola Szajnochy. Ci wszyscy spędzali w zakładzie poważne godziny pracy i ożywione chwile »wieczorów literackich«. Utwory swoje umieszczali albo w Czasopismie zakł. nar. im. Ossolińskich albo w znanym nam już »Dzienniku mód paryzkich«; później w »Dzienniku literackim«. — Korneli Ujejski, Mieczysław Romanowski, Zygmunt Kaczkowski, Walery i Władysław Łozińscy — oto drugi szereg talentów opierających się o zakład Ossolińskich, a wprowadzonych do literatury przez »Dziennik literacki«. Nareszcie w zaraniu autonomii przyszła kolej na uniwersytet. Wówczas najobszerniejsze sale wszechnicy nie mogły pomieścić spieszących na wykłady literatury polskiej Antoniego Małeckiego. Z pod tego też pióra i z naszego miasta wyszła w świat ta gramatyka, z której uczyło się prawideł polskiej mowy już kilka pokoleń całego narodu. Po zupełnem spolszczeniu naszego uniwersytetu (1872), rozwinął swą znakomitą działalność Ksawery Liske, który wychował całe pokolenie historyków, związanych obecnie w towarzystwo historyczne. Z uniwersytetu też wyszło towarzystwo przyrodników im. Kopernika, a świeżo przybywający nam wydział

medyczny przyczyni zapewne naukom przyrodniczym we Lwowie nowych sił i nowego blasku. I wydział prawniczy wykazać się może kilkoma siłami, które zasłynęły w nauce i w życiu publicznem (Rittner, Biliński i t. d.)*.

Miała i sztuka we Lwowie przedstawicieli europejskiej miary. Z najdawniejszego ogniska naszej umysłowości, z teatru, a dokładniej mówiąc z orkiestry teatralnej wyszedł skrzypek Karol Lipiński, który swojego czasu mógł rywalizować z Paganinim. A wieleż spiewaków naszych zasiliło europejskie stolice? — Tyle, że gród nasz zasłużył na miano »gniazda słowików« w Warszawie, ojczyznie Chopina i Moniuszki. Już to muzyka ze wszystkich sztuk najbardziej dotychczas kwitła we Lwowie. — W drugiem znowu umysłowem ognisku naszem, w zakładzie Ossolińskich, odbyła się pierwsza we Lwowie wystawa obrazów (1847). W tej sztuce trudno, aby kiedykolwiek jaki gród polski rywalizować mógł ze starożytną stolicą Piastów, z miastem rodzinnem Matejki. Jednakże i u nas oglądać można w gmachu sejmowym dwa sławne płótna wielkiego mistrza: Unią i konstytucyą, a na nieustającej wystawie »towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych« przesuwają się coraz to nowe utwory malarstwa. Zamiłowanie do obrazów coraz się bardziej w warstwach zamożnych a oświeconych rozpowszechnia; a skutkiem tego zgromadziło się w ostatnich cza-

---

* Należy się jeszcze kilka słów dziennikarstwu. Dzienniki powstały w zachodniej Europie już w XVII. wieku, w Polsce dopiero na początku wieku następnego. W naszem mieście pierwszym dziennikiem była francuska »Gazette de Leopol« (1776—1787). Póżniej powstała urzędowa gazeta »Lemberger Zeitung« (1787.) i »Gazeta Lwowska (1811.). Najdawniejszym niezawisłym dziennikiem był »Dziennik patryotycznych polityków«, wychodzący od r. 1792. do r. 1798. Właściwy jednak rozwój dziennikarstwa datuje się od nowej ery, od r. 1848. Z mnóstwa powstałych wówczas po zniesieniu cenzury dzienników przetrwała do dnia dzisiejszego »Gazeta Narodowa«. Drugi okres rozwoju lwowskiego dziennikarstwa zaczyna się od daty naszej dzisiejszej konstytucyi, od r. 1867. Od tego czasu istnieje »Dziennik Polski«.

sach i we Lwowie na stały pobyt już wcale poważne grono artystów pędzla. — Tylko rzeźba za mało się jeszcze rozwinęła w naszem ubogiem w pomniki mieście. Jednak i tutaj otwierają się przynajmniej nadzieje na przyszłość. Kilka pomników jest w projekcie, a najdawniej już pomnik tej najbardziej znanej i ukochanej na całej Rusi postaci króla bohatera, Jana III. U stóp jego mogliby znaleść pomieszczenie ci wszyscy, jemu współczesni, dzielni obrońcy Lwowa: Arciszewski, Grodzicki, Łącki i Jabłonowski.

A więc i nasz lew starożytny powstaje w odmłodniałej sile do nowego życia, odkąd mu powrócono swobodę ruchu i pozwolono pełną oddychać piersią. Strzeżmy tego naszego samorządu, znojem kilku pokoleń okupionego, tak jak się strzeże najdroższego klejnotu, który troskliwa ręka nie tylko zachować od skazy, ale jeszcze nowym umie uświetnić blaskiem. On daje nam możność być tem czemeśmy niegdyś byli, i czemeśmy znowu stać się powinni.

Czy wrócą się jeszcze dawne czasy, kiedy przemysł i handel Lwowa panował aż za Dunajem, kiedy patrycyusze lwowscy bogactwem i oświatą mogli się mierzyć z najwyższemi w ojczyźnie warstwami, kiedy o nasze mury rozbijały się fale wschodniego barbarzyństwa, jakby od puklerza Polski i Europy?...

Rozwój przemysłu i handlu w znacznej części zawisłym jest od stosunków politycznych, od skutecznego poparcia państwa, w którem jest miasto położone. Wiele nam się jeszcze z tej strony należy po dawnem zaniedbaniu; wiele innych czynników jest w ręku samej tylko Opatrzności... Nie wynika jednak z tego, aby ręce założyć bezczynnie, aby nie pracować z całem wytężeniem sił, z całem poświęceniem godnem dobrej sprawy.

A oświata? — ta już od nas samych zależy, tu mamy pole całkiem otwarte. Możnaby na to powiedzieć: a wszakże pod tym względem Lwów nowożytny przewyższył już Lwów

stary. Tak przewyższył — ale na tem nie dosyć. Jeszcze tysiące mieszkańców Lwowa nawet czytać i pisać nie umieją, jeszcze nawet zamożny mieszczanin lwowski nie może się równać pod względem oświaty z patrycyuszem złotego wieku.

A i o tem także zapomnieć nie wolno, że odmienne czasy odmienne stawiają zadania. Kurczą się coraz bardziej przestrzenie życia naszego narodu. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty Wilno i Krzemieniec mogły wysyłać ze siebie życiodajne promienie światła aż do ostatnich kresów naszego narodu. Dziś Lwów jest najbardziej na wschód wysuniętą strażnicą polskiej cywilizacyi, ostatniem miastem zachodniej Europy. Nie wiele mil za Lwowem już się zaczyna panowanie rosyjskie, z całym swoim brutalnym uciskiem, z całą ciemnotą wschodniego barbarzyństwa.

Już teraz żądają od nas bracia nasi na Wołyniu, Podolu i Ukrainie zdolnych lekarzy, umiejętnie wykształconych techników, i posyłają swoich synów po nauki rolnicze do Dublan. A może jeszcze i dla nich gotuje Opatrzność lepsze czasy, w których będą mogli w większej ilości zapotrzebować wyrobionych sił swojskich. Wstyd nam jeśliby wtedy musieli dalej sięgnąć na zachód! Jeżeli rzeczywiście Lwów chce się chlubić tym zaszczytem, który mu przyznał jeden z najdzielniejszych posłów naszych, Otton Hausner, że jest »mnożycielem polskości«, to niech się godnym tego okaże. I w tem znaczeniu może nawet sięgnąć jeszcze po ten wieniec wawrzynu, który jest najwyższą chlubą jego historyi, a który otrzymał za to, że był przedmurzem Polski i całej zachodniej Europy.



Spis i objaśnienie rycin.

Fig. 1. (str. 15): *Oblężenie grodu ruskiego w XIV. wieku.* Ponieważ się żadne podobne przedstawienie ze Lwowa nie przechowało, a nawet i wizerunki ks. Lwa, jako pochodzące dopiero z XVII. lub XVIII. wieku, nie mają wcale historycznej wartości, przeto podajemy tu jedyny w tym rodzaju pomnik ze staroruskich czasów, t. j. wizerunek oblężenia Nowogrodu przez Suzdalców w r. 1169., wymalowany na tamtejszym cudownym obrazie NP. Maryi (»Drewnosti ruskoj imperii«, t. I., fig. 5). Malowanie to zdaje się pochodzić z XIV. wieku, lecz choćby nawet było i w początku XVI. dopiero wieku wykończone (a późniejszem być nie może), to i tak ubiory i zbroje na niem są bardzo starożytne. Podobne zbroje (szpiczaste hełmy i tarcze czyli »szczyty«) używane były na Rusi jeszcze przez waregskich (normandskich) wojowników; ubiory zaś (futrzane szuby szamerowane i futrzane czapki czyli »szłyki«) od czasów jarzma tatarskiego. Tak tylko mógł się ubierać i zbroić książę Lew i podobnie musiało wyglądać oblężenie Lwowa przy końcu XIII. i w pierwszej połowie XIV. wieku.

Fig 2. (str. 20)*: *Dzwon świętojurski z r. 1340.* — jedyny zabytek Lwowa z ruskich czasów. Napis na nim brzmi: **Въ лѣ. ѕѿмѳ сольѧнъ би колоколъ сиї с҃тмꙋ Юрью при кнѧзи Димитриїи гꙋменомъ Євъфимьемь. — Ꙗ писалъ Скора Ꙗковъ.** To jest: W r. 6849. (od stworzenia świata, czyli według naszej rachuby 1340. r.) wylany był dzwon ten św. Jerzemu za kniazia Dymitra przez mnicha Eufemiego. A napis wykonał Skora Jakób. — Starożytne dzwony miały kształt podłużny gruszkowaty. Fotografia tego dzwonu znajduje się w muzeum historycznem stauropigialnem.

Fig. 3. (str. 25): *Kazimierz Wielki*, według pomnika wzniesionego wkrótce po śmierci tego króla w katedrze na Wawelu.

Fig. 4. (str. 31): *Pieczęć radziecka z r. 1353.*, wyciśnięta w wosku i przywieszona do najstarszego dokumentu pergaminowego, znajdującego się w archiwum miejskiem we Lwowie. (Ob. Łoziński: »Patrycyat i mieszczaństwo«, wyd. 2., str. 52).

Fig. 5. (str. 38): *Scena z życia miejskiego w XIV. w.* — także nie lwowska — może nawet nie krakowska, chociaż z krakowskiego rękopisu pochodzi — tylko zapewne szematyczne przedstawienie ulicy większego miasta polskiego lub niemieckiego w XV. w. (Por. opis Lwowa na str. 47. i nast.). Pochodzi ta rycina z rękopisu rajcy krakowskiego M. Behema, który wydał B. Bucher p. t. »Die alten Zunft- und Verkehrs-Ordnungen der Stadt Krakau«. Wien 1889. Tabl. III.

Fig. 6. (str. 39)*: *Półgrosz lwowski z lat 1404—1405*, srebrny, z orłem jagiellońskim na głównej, a lwem tutejszym na odwrotnej stronie. Por. Piekosiński: »O monecie i stopie menniczej w Polsce w XIV. i XV. wieku«. (Rozprawy akad. krakow. Wydz. hist. t. IX., str. 141; Tab. V., nr. 67).

Fig. 7. (str. 43): *Wysoki Zamek za polskich czasów,* według przedstawienia na tle portretu Lwa, pochodzącego z XVII. lub XVIII. wieku. Oryginał tego portretu znajduje się w klasztorze OO. Bazylianów na Żółkiewskiem, kopie na ratuszu i w Narodnym Domu.

Fig. 8. (str. 51): *Katedra od strony rynku.* Od tej strony najlepiej się uwydatniają gotyckie części katedry (mianowicie prezbyterium, czyli część kapłańska). Według współczesnego rysunku.

Fig. 9. (str. 62): *Paweł Boim*, według ówczesnego portretu, znajdującego się w kaplicy ogrojcowej (wewnątrz). Ten zaś portret, który na zewnętrznej ścianie kaplicy ogrojcowej (od strony ul. Halickiej) widzimy, przedstawia ojca jego Jerzego Boima, a drugi małżonkę tegoż Jadwigę. Jerzy Boim, który pierwszy z tej rodziny z Węgier do Lwowa przybył, nosi na sobie strój węgierski, Paweł Boim już strój hiszpański, przyniesiony do Polski przez Wazów.

Fig. 10. (str. 66): *Mikołaj Torosowicz,* pierwszy unicki arcybiskup Ormian lwowskich, według portretu znajdującego się w tutejszym pałacu arcybiskupim ormiańskim. Ciekawszym byłby zapewne portret jakiego świeckiego Ormianina ówczesnego, ale takiego nie posiadamy. Jeszcze trudniej o wizerunek starolwowskiego Żyda. Rusini lwowscy prawie nie różnili się strojem od Polaków.

Fig. 11. (str. 73): *Ratusz dawny* po restauracyi dokonanej przez Marcina Kampiana (por. str. 84), według rysunku zdjętego przez budowniczego Zinna przed katastrofą z r. 1826. (por. str. 191).

Fig. 12. (str. 76): *Marcin Kampian*, według pomnika w kaplicy Kampianów. Por. o nim str. 84.

Fig. 13. (str. 80)*: *Wołoska cerkiew*, według współczesnej fotografii.

Fig. 14. (str. 83): *Kaplica Boimów*, według współczesnego rysunku.

Fig. 15. (str. 91)*: *Kościół Bernardynów*, według współczesnej fotografii.

Fig. 16. (str. 101)*: *Widok Lwowa w r. 1617.*, według ryciny znajdującej się w dziele Brauna: »Civitates orbis terrarum«, t. VI. Kolonia 1617., str. 49. Opis Lwowa, umieszczony przy tej rycinie u Brauna, wyszedł z pod pióra Jana Alembeka, rajcy lwowskiego. (Por. uw. na str. 46).

Fig. 17. (str. 114): *Oblężenie Lwowa w r. 1648.*, według drzeworytu wykonanego przez lwowskiego rytownika Kaźm. Andrz. Niedbłowicza, a dołączonego do dzieła kanonika i historyka lwowskiego X. Tomasza Józefowicza: »Krótkie zebranie życia i cudów bł. Jana z Dukli«. Lwów 1702. Z tej ostatniej daty widać, że rycina ta nie jest całkiem współczesna z wypadkiem, tylko o 50 lat późniejsza. Jednakże prawdopodobną jest rzeczą, że rytownikowi służył za wzór jakiś dawniejszy obraz, a zresztą żył on we Lwowie jeśli nie w czasie kozackich, to jednak w czasie turecko-tatarskich wojen, więc musiał nam przynajmniej ogólne rysy przekazać owych lwowskich oblężeń. Zasługa zwrócenia uwagi na bardzo rzadką książeczkę Józefowicza należy się drowi Czołowskiemu.

Fig. 18. (str. 123): *Dom Sobieskich* przedtem Korniaktów w Rynku l. 6., według współczesnego rysunku.

Fig. 19. (str. 144)*: *Katedra św. Jura*, według współczesnej fotografii.

Fig. 20. (między str. 156 a 157): *Widok Lwowa około r. 1775.* (1775—1777). Por. opis na str. 170 i nast. Jestto najstarsze przedstawienie Lwowa jako stolicy Galicyi, Lwowa takiego jakim go rząd austryacki objął w posiadanie. Musiało ono powstać przed r. 1782., gdyż jeszcze klasztory, z wyjątkiem Jezuitów, nie są zniesione (por. l. 7, 12, 19 na rycinie) — a nawet przed r. 1777., gdyż jeszcze nie tknięto zupełnie fortyfikacyi. Komenderujący generał i gubernator mieszkają jeszcze w Rynku, w kamienicy Lubomirskich (por. l. 9 i 10), jest jednak już poczta (pod l. 17), którą dopiero w r. 1775. urządzono. Z tych względów oznaczamy jako czas powstania tej ryciny lata 1775. do 1777., wykonaną zaś została w zakładzie Haffnerów (w Wiedniu?). Jeden jej egzemplarz zachował

się w muzeum zakładu Ossolińskich pod l. 1591 a drugi w bibliotece Pawlikowskich pod l. 4055.

Fig. 21. (str. 165): *Józef Maksymilian Ossoliński*, przewodniczący deputacyi galicyjskiej w Wiedniu w r. 1790. i założyciel zakładu nar. im. Ossolińskich (1817). Według ówczesnej litografii.

Fig. 22. (str. 176): *Wały około r. 1835.*, według litografii wykonanej w zakładzie Pillera we Lwowie na podstawie rysunku Auera. Znajduje się w zbiorze widoków wydanych przez Pillera w r. 1837. p. t. »Galicya w obrazach«. Wcześniejszego przedstawienia wałów (któreby zupełnie odpowiadało opisowi str. 173—4) niestety nie posiadamy.

Fig. 23. (str. 186): *Gwardya narodowa lwowska z r. 1848.*, według wzoru podanego w czasopismie wydawanem przez Kulczyckiego p. t. »Tygodnik polski«, dawniej »Dziennik mód paryskich«, Lwów 1848., nr. 19, z 6./5. (Między str. 156 a 157).

Fig. 24. (str. 198)*: *Gmach sejmowy,* zbudowany na podstawie planu Hochbergera w latach 1877—1881., według współczesnej fotografii.

Uwaga. Ryciny oznaczone gwiazdką wykonane są w pracowni E. Trzemeskiego we Lwowie, inne w zakładzie C. Angerera i Göschla we Wiedniu.



Spis najważniejszych opracowań
odnoszących się do historyi Lwowa.

DUNIKOWSKI: Ze Lwowa do Beskidu. Lwów 1892. (Geologiczne uwagi).

KAWCZYŃSKI: Nauka geografii w polu w okolicy Lwowa. (»Muzeum« VI.).

CZOŁOWSKI: Lwów za ruskich czasów. Lwów 1891. (Odbitka z »Kwartalnika hist.« t. V.).

PROCHASKA: W sprawie zajęcia Rusi przez Kazimierza W. (»Kwart. hist.« VI., 1892.).

PROCHASKA: Konfederacya lwowska 1464. (»Kwart. hist.« t. VI. 1892.).

RAPS: Beiträge zur Geschichte der Stadt Lemberg. (»Archiv für österr. Gesch.« t. 43. Wien 1870.).

RAPS: Beschreibung des Bürgerspitals St. Lazar in Lemberg. (Tamże).

ŁOZIŃSKI WŁAD.: Lwów starożytny. T. I. Złotnictwo lwowskie. Lwów 1889. T. II. Patrycyat i mieszczaństwo lwow. w XVI. i XVII. wieku. Wyd. 2gie. Lwów 1892.

KULCZYCKI T.: Rys hist. towarz. strzelców lwowskich. Lwów 1848.

ŁOBESKI: Opis obrazów po kościołach lwowskich. (Dodatek do »Gazety lwow.« 1851—6.). Por. też Encyklopedyą kościelną pod Lwów, kościoły lwowskie, Ormianie etc.

KUBALA: Oblężenie Lwowa 1648. (»Szkice hist.« T. I. wyd. 2gie. Lwów 1880.).

BIELOWSKI: Wtargnięcie Muhameta IV. do Polski. (Oblężenie Lwowa 1672.). Obacz Dodatek do »Gaz. lwow.« 1858. nr. 45 i nast.

RADZIMIŃSKI: Materyały do historyi oblężenia Lwowa 1672. Kraków 1884.

CZOŁOWSKI: Bitwa pod Lwowem i odsiecz Trembowli 1675.

FINKEL: Napad Tatarów na Lwów 1695. (Odb. z »Kwart. hist.« t. IV. 1890.).

Hirschberg: Z czasów niedoli i upadku 1704. (Odb. ze »Sprawozdania zakładu nar. im. Ossolińskich za r. 1888.).
Dzieduszycki Maur.: Żywot arcyb. W. Sierakowskiego (z planem Lwowa w XVIII. w.). Kraków 1868.
Dzieduszycki Maur.: Kościół katedr. lwowski. Lwów 1872.
Łoziński Wład.: Galiciana. Lwów 1872.
Łoziński Wład.: Towarzystwo lwowskie przy schyłku XVIII. w. Lwów 1872.
Kunasiewicz: Lwów w r. 1809. Lwów 1878.
Widmann: Franciszek Smolka. Lwów 1886.
Wybranowski: Pamiętniki. T. II. (Raporty gwardyi nar. z r. 1848.).
Pepłowski: Teatr polski we Lwowie. Lwów 1889.
Lemberg 1849.: Największa i najlepsza mapa Lwowa. (Znajduje się w bibl. Ossolińskich).

Zimorowicz B.: Historya miasta Lwowa (do r. 1672.), w tłumaczeniu polskiem wydał Piwocki. Lwów 1835. (Rękopis łaciński w bibl. Ossolin. Nr. 1876.).
Józefowicz T. X.: Kronika miasta Lwowa (1634 do 1704.), w tłumaczeniu polskiem wydał Piwocki. Lwów 1854. (Rękopis łac. w bibl. Ossol. Nr. 124).
Chodynicki Ig. X.: Historya Lwowa. Lwów 1829.
Zubrzycki Dyon.: Kronika m. Lwowa. Lwów 1844.
Dziedzicki L.: Artykuł »Lwów« w Słowniku geograficznym. T. V. Warszawa 1884. (Znajduje się tu szczegółowa bibliografia dzieł dotyczących Lwowa).



SPIS TREŚCI.

CZĘŚĆ I.

LWÓW STARODAWNY (1250—1527).

CZĘŚĆ II.

ŚREDNIA EPOKA LWOWA (1527—1772).

CZĘŚĆ III.

NAJNOWSZA EPOKA LWOWA (1772—1892).



apée, Fryderyk
Historya miasta Lwowa w
arysie

